



Współczesna dziewczyna porwana w mityczne zaświaty  
w jednej z najbardziej oczekiwanych powieści roku  
ulubionej autorki wszystkich dziewczyn świata

# Cabot Meg

## Porzuceni

*Współczesna dziewczyna porwana w mityczne zaświaty w jednej z najbardziej oczekiwanych powieści roku ulubionej autorki wszystkich dziewczyn świata, autorki światowych bestsellerów nr 1.*

*Odkąd powróciła z Hadesu, pojawia się przy niej on. Zawsze wtedy, gdy się go najmniej spodziewa i gdy go najbardziej potrzebuje. To tylko halucynacje – przekonują psychiatrzy. – Miałś wypadek. Przeszłaś śmierć kliniczną. Cudem powróciłaś do życia.*

*Ale siedemnastoletnia Pierce im nie wierzy. Odkąd omal nie utonęła, czuje się dziwnie... jakby nie należała do tego świata. Może teraz, po przeprowadzce do nowego miasta, będzie inaczej. Nowa szkoła, nowy początek. I może wreszcie przestanie się bać.*

*Ale on znajduje ją i tu. Czego chce? Jaką tajemnicę kryją jego oczy - mroczne i piękne jak diament, który jej podarował? Czy chce ją przed czymś ostrzec i przekonać, że bezpieczna będzie tylko wtedy, gdy powróci z nim do jego podziemnego świata? Czy Diament Persefony przyniesie Pierce los mitycznej bogini, czy miłość - potężniejszą niż śmierć...*

*Odeń ścigana z grodu w gród Wilczyca  
Na powrót w piekiel dostanie się władze,  
Skąd ją przysłała zawiść zazdrośnica.*

**Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń I**

Wszystko może się stać w mgnieniu oka. Dosłownie wszystko.

Raz. Dwa. Trzy. Mrugnięcie.

Dziewczyna śmieje się z przyjaciółkami.

Nagle w ziemi otwiera się krater. Z krateru wyłania się mężczyzna w czarnym rydwanie, wykutym w najgłębszych głębinach piekieł, zaprzężonym w rumaki o kopytach z żelaza i oczach z płomieni.

Nim ktokolwiek zdąży krzyknąć ostrzeżenie, nim dziewczyna zdąży się odwrócić i rzucić do ucieczki, dudniące kopyta zawisną nad nią.

Dziewczyna już się nie śmieje. Teraz krzyczy.

Ale jest za późno. Mężczyzna wychylił się z rydwanu, by chwycić ją w pasie i pociągnąć za sobą do krateru.

Życie, jakie znała, skończyło się; już nigdy nie będzie takie same.

Ale nie musicie się o nią martwić. Jest tylko postacią z książki. Miała na imię Persefona i porwał ją Hades,

bóg zmarłych, by żyła z nim w Podziemnym Świecie. To jeden z tak zwanych mitów kosmogonicznych. W ten sposób starożytni Grecy tłumaczyli przemianę pór roku.

Ale to, co spotkało mnie? To nie mit.

Gdybyście kilka dni temu opowiedzieli mi historyjkę o dziewczynie, która przez sześć miesięcy w roku musiała mieszkać z facetem w jego podziemnym pałacu, tylko bym się roześmiała. Myślicie, że ta dziewczyna miała problemy? Powiem wam, kto ma problemy: ja. O wiele poważniejsze niż Persefona.

Szczególnie teraz, po tym, co stało się parę nocy temu na cmentarzu. To znaczy po tym, co się naprawdę stało.

Policja oczywiście myśli, że wie. I tak samo wszyscy w szkole. Zdaje się, że każdy na wyspie ma własną teorię.

Właśnie taka jest różnica między nimi a mną.

Oni wszyscy mają teorie.

Ja wiem.

Więc kogo obchodzi, co spotkało Persefonę? W porównaniu z tym, co spotkało mnie, to jest nic.

Prawdę mówiąc, Persefona miała szczęście. Bo jej matka przyszła ją wykupić.

Mnie nikt nie uratuje.

Więc posłuchajcie mojej rady: cokolwiek by się działo...

Nie mrugajcie.

*Jako pod jesień drzewo liście roni  
Jedno po drugim - aż się konar wdowi  
Nagim, ze stroju wyzutym, odstłoni.*

### **Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń III**

Kiedyś umarłam.

Właściwie nikt nie wie dokładnie, jak długo byłam martwa. Moje serce nie biło przez ponad godzinę. Ale miałam też hipotermię. I dlatego, kiedy już mnie ogrzali, defibrylatory i potężna dawka epinefryny zdołały przywrócić mnie do życia.

A przynajmniej tak twierdzą lekarze. Ja mam inne zdanie na temat tego, dlaczego ciągle jestem wśród żywych.

Ale nauczyłam się nie dzielić tą opinią. „Widziałaś światło?”

To pierwsze pytanie, jakie zadają wszyscy, kiedy dowiadują się, że umarłam i wróciłam. To również pierwsze pytanie, jakie zadał mi mój siedemnastoletni kuzyn Alex na przyjęciu urządzonej przez mamę.

- Widziałaś światło?

Ledwie te słowa wyszły z ust Alexa, jego tato, a mój wujek Chris, palnął go w tył głowy.

- Au - jęknął Alex, podnosząc rękę, żeby rozetrzeć potylicę. - Czemu nie mogę spytać, czy widziała światło?

- Bo to niegrzeczne - rzucił szorstko wujek Chris. - Nie pyta się o takie rzeczy ludzi, którzy umarli. Napiłam się gazowanego napoju, który trzymałam w ręce. Mama nie spytała mnie, czy chcę mieć wielkie przyjęcie pod hasłem „Witaj na Isla Huesos, Pierce”. Ale co mogłam jej powiedzieć? Tak się cieszyła. Zaprosiła ludzi, których знаła z dawnych czasów. Wszystkich krewnych, z których żaden - poza mamą i jej młodszym bratem Chrisem - nie wyprowadził się z rodzinnej wysepki trzy na sześć i pół kilometra tuż przy wybrzeżu południowej Florydy.

A wujek Chris nie opuścił Isla Huesos, żeby pójść na studia i założyć rodzinę, tak jak mama.

- Ale ten wypadek był prawie dwa lata temu - upierał się Alex. - Nie ma szans, żeby ciągle była przewrażliwiona na tym punkcie. - Spojrzał na mnie. - Pierce - rzucił ironicznym tonem - jesteś jeszcze przewrażliwiona na punkcie tego, że umarłaś i ożyłaś prawie dwa lata temu?

Spróbowałam się uśmiechnąć.

- Nie rusza mnie to - skłamałam.

- Mówiłem ci - powiedział Alex do ojca. A do mnie: - To widziałaś to światło, czy nie?

Wzięłam głęboki wdech i zacytowałam mu coś, co wyczytałam kiedyś w Internecie.

- Dosłownie wszyscy DSK powiedzą ci, że kiedy umarli, widzieli coś, i często jest to jakiegoś rodzaju światło.

- Co to jest DSK? - spytał wujek Chris, drapiąc się po głowie pod bejsbolówką z napisem „Przynęty i Wędki, Isla Huesos”.

- Ktoś, kto doświadczył śmierci klinicznej - wyjaśniłam. Żałowałam, że nie mogę podrapać się pod białą letnią sukienką, którą mama kupiła mi na ten wieczór. Była za ciasna w biuście. To chyba nie byłoby kulturalne, nawet jeśli wujek Chris i Alex należeli do rodziny.

- Ach tak - rzucił wujek Chris. - DSK. Rozumiem. DSK, jak czytałam, mogli doświadczać głębokich zmian osobowości i trudności w przystosowaniu się do życia po... cóż, po śmierci.

Zielonoświątkowcy, którzy powrócili do żywych, wstępowali do klubów motocyklowych. Ubrani w skóry harleyowcy wstawali i szli prosto do najbliższego kościoła, żeby narodzić się na nowo.

Więc moim zdaniem radziłam sobie całkiem nieźle, biorąc to wszystko pod uwagę.

Chociaż kiedy przejrzałam dokumenty, które przysłano z mojej starej szkoły, przekonałam się, że Akademia dla Dziewcząt w Westport niekoniecznie podzielała moje zdanie. Zasugerowano, żeby moi rodzice poszukali dla mnie „alternatywnego rozwiązania edukacyjnego”. Co było uprzejmym sposobem, by powiedzieć, że zostałam wyrzucona ze szkoły po „incydencie” ostatniej wiosny: „Pierce ma tendencję do wyłączenia się. Czasami po prostu przysypia. A kiedy już postanowi się zaangażować, często przesadnie skupia się na jednym obiekcie,

ale zwykle niezwiązanym z tematem lekcji. Sugerujemy testy Wechslera i TOVA\*".

Tylko że ten raport został napisany w trakcie semestru tuż po wypadku - ponad rok przed „incydentem” - kiedy miałam na głowie parę ważniejszych spraw niż praca domowa. Te dupki wywaliły mnie nawet ze szkolnego przedstawienia *Królowny Śnieżki*, w którym miałam grać główną rolę.

Jak to ujęła moja nauczycielka aktorstwa? Ach, tak: jej zdaniem trochę zanadto identyfikowałam się z biedną, zmartwychwstałą Śnieżką.

Ciekawe, jak bym miała się z nią nie identyfikować. Bo oprócz tego, że umarłam, na dodatek urodziłam się bogata jak królowna. Dzięki tacie, dyrektorowi generalnemu jednej z największych na świecie firm dostarczających produktów i usług przemysłowi naftowemu, gazowemu i wojskowemu (Wszyscy słyszeli o jego firmie. Często mówi się o niej w wiadomościach, szczególnie w ciągu ostatnich dwóch lat). Jakby tego było mało, wyglądałam też jak Śnieżka, dzięki mamie.

Odziedziczyłam jej delikatną budowę, gęste czarne włosy, wielkie oczy.

Na nieszczęście odziedziczyłam też po mamie wrażliwe serce królowny. I to przez nie umarłam.

- To było na końcu tunelu? - dopytywał się Alex. - To światło? Ci ludzie zawsze tak mówią.

- Twoja kuzynka nie weszła do światła - powiedział jego ojciec w bejsbolówce, zmartwiony. - Gdyby weszła, to by jej tu nie było. Przestań ją męczyć.

**\* Testy na inteligencję i zaburzenia uwagi (przyp. tłum.).**



- Nic nie szkodzi - odparłam, uśmiechając się do wujka Chrisa. - Jego pytania mnie nie męczą. - Szczerze mówiąc, męczyły mnie. Ale pogawędka w ogrodzie z wujkiem Chrisem i Alexem była lepsza niż udzielanie się w domu, wśród tłumu ludzi, których nie znałam. Zwróciłam się do Alexa: - To fakt, niektórzy mówią, że widzieli światło na końcu tunelu. Nikt nie wie właściwie, co to było, ale wszyscy mają swoje teorie.

- Na przykład jakie? - spytał Alex.

W oddali zahuczał grzmot. Nie był głośny. Ludzie w domu pewnie go nie słyszeli przez te wszystkie śmiechy, wodę pluskającą w basenie i muzykę z ogrodowych głośników, niezbyt skutecznie udających kamienie.

Ale ja go usłyszałam. Nastąpił po błyskawicy... niedalekiej, nieszkodliwej błyskawicy, jakie często widuje się podczas upałów. Na południu Florydy w tych pierwszych dniach września, o ósmej wieczorem było gorąco jak w Connecticut w lipcowe południe. Nad morzem szalała burza i szła w naszą stronę.

- No nie wiem - powiedziałam. Przypomniałam sobie parę artykułów, które czytałam. - Niektórzy uważają, że to światło to ścieżka do innego wymiaru duchowego, dostępna tylko dla zmarłych.

Alex wyszczerzył się w uśmiechu.

- Ekstra. Perłowe Bramy.

- Może i tak. - Wzruszyłam ramionami. - Ale naukowcy twierdzą, że światło to tak naprawdę halucynacja wywołana przez wyładowania elektryczne we wszystkich neuronach naraz, kiedy umierają.

Wujek Chris spojrział na mnie smutno.

- Mnie się bardziej podoba wyjaśnienie Alexa. To o Perłowych Bramach.

Nie chciałam, żeby wujkowi Chrisowi zrobiło się przykro.

- Nikt nie wie na pewno, co się z nami dzieje, kiedy umieramy - dodałam pośpiesznie.

- Z wyjątkiem ciebie - stwierdził.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej niewygodnie w mojej za ciasnej białej sukience. Bo to, co zobaczyłam, kiedy umarłam, to nie było światło.

To nie miało zupełnie nic wspólnego ze światłem.

Nie chciałam okłamywać wujka Chrisa. Nie powinnam była w ogóle o tym mówić. Tym bardziej że mamie zależało, żeby dzisiaj wszystko było takie idealne... i nie tylko dzisiaj, ale od dzisiaj. Bardzo nie chciałam jej zawieść. Tak strasznie się starała - kupiła dom za milion dolarów i ściągnęła przyjaciela z Nowego Jorku, sławnego projektanta wnętrz, żeby go urządził. Wynajęła do pomocy dbającego o środowisko architekta krajobrazu. Obsadził ogród miejscowymi roślinami, takimi jak drzewa ylang-ylang i jaśmin. Powietrze wiecznie pachniało jak gazetowa reklamówka perfum jakiejś celebrytki.

Kupiła mi nawet „plażowy” rower z koszykiem i dzwonkiem (bo nadal nie miałam prawa jazdy), pomalowała moją sypialnię na kolor kojącej lawendy i zapisała mnie do tej samej szkoły, do której ona chodziła dwadzieścia lat wcześniej.

- Spodoba ci się tutaj, Pierce - powtarzała w kółko. - Zobaczysz. Zaczniemy wszystko od nowa. I będzie świetnie. Wiem to na pewno.

Miałam wystarczające powody, by wierzyć, że nie będzie świetnie.

Ale nie powiedziałam jej o tym. Mama była taka szczęśliwa. Na przyjęcie wynajęła nawet profesjonalną firmę cateringową, która zaserwowała koktajl z krewetek, morskie ślimaki w cieście i szaszłyki z kurczaka. Wypuściła na basen całą flotyllę świeczek o zapachu trawy cytrynowej, żeby odstraszyć moskity, włączyła kaskadę i otworzyła wszystkie tarasowe drzwi w domu.

- Jest taka przyjemna bryza - powtarzała, ignorując gigantyczne czarne burzowe chmury, wypełniające wieczorne niebo...

Trochę tak, jak ignorowała fakt, że wróciła na Isla Huesos, by kontynuować badania nad swoimi ukochanymi warzuchami różowymi - które wyglądają jak flamingi, tyle że mają dzioby spłaszczone jak łyżka - tuż po tym, jak największa katastrofa ekologiczna w historii Ameryki zabiła większość z nich.

Ach, i jeszcze to, że jej bystra, kochająca zwierzęta córka umarła i wróciła nie całkiem... normalna. I z tego powodu jej małżeństwo z tatą się rozleciało. Ich sprawa rozwodowa zaczęła się, kiedy byłam jeszcze w szpitalu, a dokładniej, kiedy mama wykopała tatę z domu za to, że mnie „zawiódł”. Tato zamieszkał w luksusowym apartamencie niedaleko biurowca swojej firmy na Manhattanie i pewnie nawet nie wyobrażał sobie, że półtora roku później wciąż będzie go nazywał domem.

„Najlepiej jest wybaczyć i zapomnieć, Pierce - powtarza mi tato za każdym razem, kiedy rozmawiamy.

Potem można ruszyć z miejsca. Twoja mama musi się tego nauczyć".

Ale wyrażenie „wybaczyć i zapomnieć” nie ma dla mnie sensu. To prawda, że wybaczenie pozwala przestać rozpamiętywać sprawę, co nie zawsze jest zdrowe (wystarczy spojrzeć na moich rodziców).

Ale jeśli zapominamy, nie uczymy się na błędach.

A to może być zabójcze. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

Więc wybaczyć? Jasne, tato.

Ale zapomnieć?

Nawet gdybym chciała, nie mogę.

Bo jest ktoś, kto mi nie pozwala.

Nie mam za złe mamie, że chciała wrócić na wyspę, na której się urodziła i wychowała. Nawet jeśli jest piekielnie gorąca, często nękana huraganami i być może unoszą się wokół niej chmury tajemniczych chemikaliów, jak zło, które wyrwało się z puszeki otwartej przez Pandorę i spadło na ludzkość.

Ale gdyby wcześniej ktoś wspomniał mi, że nazwa wyspy to w tłumaczeniu Wyspa Kości - i dlatego hiszpańscy podróżnicy, którzy ją odkryli, tak ją nazwali - prawdopodobnie nigdy nie zgodziłabym się na plan mamy pod tytułem „Zaczniemy wszystko od nowa na Isla Huesos”.

Tym bardziej że trudno zacząć wszystko od nowa w miejscu, gdzie poznało się osobę, która teraz wyskakuje co chwila jak diabeł z pudełka, żeby zrujnować ci życie.

Tyle że o tym też nie mogłam powiedzieć mamie. Sam fakt, że byłam już kiedyś na Isla Huesos, miał

pozostać wielką tajemnicą (nie żadną złą tajemnicą, po prostu tajemnicą między nami, dziewczynami, jak mawia mama).

A to dlatego, że tata nie znosi rodziny mamy. Jego zdaniem (poniekąd usprawiedliwionym) jest w niej mnóstwo skazańców i oszołomów, czyli nie do końca właściwych wzorców osobowych dla jego jedyne dziecko. Mama kazała mi przyrzec, że nigdy mu nie powiem o naszej jednodniowej podróży na pogrzeb jej ojca, kiedy miałam siedem lat.

Więc przyrzekłam. Co ja wiedziałam? I nigdy nie powiedziałam...

...szczególnie o tym, co się wydarzyło już po pogrzebie, na cmentarzu. Prawda była taka, że nigdy nie miałam poczucia, że muszę komukolwiek mówić, skoro babcia wiedziała o wszystkim.

A babcie nigdy nie pozwalają, żeby coś złego stało się ich jedynym wnuczkom.

Tak więc nie znałam nikogo na przyjęciu, nie licząc mamy, Alexa i babci, którzy na pogrzebie dziadka siedzieli ze mną w tej samej ławce. To było dziesięć lat temu, kiedy brat mamy przebywał jeszcze w więzieniu.

Wujek Chris niezbyt dobrze przystosowywał się do życia „na zewnątrz”. Na przykład nie bardzo wiedział, co robić, kiedy kelner podchodził, żeby dolać mu szampana. Zamiast powiedzieć po prostu: „Nie, dziękuję”, wujek Chris wykrzykiwał: „Mountain dew!” i zabierał kieliszek, tak że szampan lał się na trawnik koło basenu.

- Ja nie piję - mówił zażenowany wujek Chris. -Zostanę przy mountain dew.

- Bardzo pana przepraszam - odpowiadał kelner, patrząc z przerażeniem na rosnącą kałużę veuve clicquot u naszych stóp.

Uznałam, że lubię wujka Chrisa, mimo ostrzeżeń taty, że wstąpi na mroczną drogę terroru i zacznie się mścić zaraz po zwolnieniu z więzienia.

Ale od kiedy przyjechałam na Isla Huesos - gdzie wujek mieszkał z babcią, która wychowywała Alexa pod jego nieobecność, bo mama Alexa uciekła, gdy był jeszcze mały i wujek trafił do więzienia - robił tylko jedno: siedział na kanapie, obsesyjnie oglądając kanał Meteo i popijając mountain dew.

Ale tata Alexa przerażał mnie tylko pod jednym względem: miał najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam.

Może z wyjątkiem jednego człowieka. Ale o nim bardzo starałam się nie myśleć. Tak jak starałam się nie myśleć o tym czasie, kiedy umarłam.

Jednak niektórzy ludzie bardzo utrudniali mi niemyślenie o jednym i drugim.

- Nie wszyscy, którzy umierają i wracają - powiedziałam ostrożnie do wujka Chrisa - mają dokładnie takie same doświadczenia...

W chwili, kiedy to mówiłam, babcia na niezbyt wysokich obcasach chwiejnie zeszła po schodkach tylnej werandy. W odróżnieniu od wujka Chrisa i Alexa, ona się wystroiła; włożyła zwiewną beżową sukienkę i jeden ze swoich ręcznie dzierganych jedwabnych szali.

- Tu jesteś, Pierce - powiedziała zirytowanym tonem. - Co ty tu robisz? Ci wszyscy ludzie w środku czekają, żeby cię poznać. Chodź, chcę, żebyś się przywitała z ojcem Michaelsem...

- Hej - wtrącił Alex, ożywiając się. - Ciekawe, czy on wie.

- Co wie? - spytała babcia ze zdziwioną miną.

- Co to było za światło, które Pierce widziała, kiedy umarła - odparł Alex. - Ja uważam, że to były Perłowe Bramy. Ale Pierce mówi, że naukowcy mówią, że to jest... Co oni mówią, Pierce?

Przełknęłam ślinę.

- Halucynacja - przypomniałam. - Twierdzą, że uzyskali takie same rezultaty podczas badań na osobach, które nie umierały, za pomocą narkotyków i elektrod w mózgu. Niektórzy badani też widzieli światło.

- To tym się tu zajmujesz? - spytała babcia z oburzoną miną. - Stoisz tu i bluźnisz?

Kiedy umarłam i wróciłam, moje stopnie poleciały na łeb, na szyję. To wtedy moja szkolna psycholog, pani Keeler, zasugerowała, żeby rodzice znaleźli mi jakieś pozalekcyjne zajęcie, które by mnie zainteresowało. Dzieci, które nie radzą sobie w szkole, mimo wszystko mogą odnieść sukces w życiu, zapewniała moich rodziców pani Keeler, jeśli odkryją coś innego, w co się zaangażują.

W końcu znalazłam sobie pozalekcyjne zajęcie, w które się „zaangażowałam” i przez które ostatecznie zostałam wyrzucona z Akademii dla Dziewcząt w Westport i wylądowałam na Isla Huesos, przez niektórych ludzi nazywaną rajem.

Jestem pewna, że ci ludzie, którzy nazywają Isla Huesos rajem, nie spotkali mojej babci.

- Nie - zaprotestował Alex ze śmiechem. - Błuź-nierstwem byłoby powiedzieć, że światło pochodzi spomiędzy nóg nowej matki, kiedy rodzimy się na nowo. Oczywiście jeśli jesteś hinduistą, to żadne bluźnierstwo.

Babcia skrzywiła się, jakby ugryzła cytrynę.

- No cóż, Alexandrze Cabrero - rzuciła ostro - ty nie jesteś hinduistą. I może zechcesz sobie zapamiętać, że to ja ponoszę wszystkie koszty utrzymania tej kupy złomu, którą nazywasz samochodem. Jeśli chcesz, żebym dalej je ponosiła, może zechciałbyś okazać trochę więcej szacunku.

- Przepraszam, babciu - mruknął Alex, spoglądając na kałużę szampana u naszych stóp; jego ojciec, stojący obok, zrobił to samo, szybko ściągając bejsbolówkę.

Babcia spojrzała na mnie z wymuszoną nieco, łagodniejszą miną.

- No więc, Pierce - powiedziała. - Może jednak wejdiesz do środka i przywitasz się z ojcem Michaelsem? Pewnie go nie pamiętasz z pogrzebu dziadka, bo byłaś za mała, ale on cię pamięta i bardzo się cieszy, że dołączysz do naszej małej parafii.

- Wiesz co, babciu, nie czuję się dobrze. - i nawet nie zmyślałam. Upał zaczynał mnie przytłaczać. Miałam straszną ochotę rozpiąć kilka guzików mojej zbyt ciasnej sukienki. - Chyba potrzebuję powietrza.

- Więc wejdź do środka - odparła zdumiona babcia. - Tam jest klimatyzacja. A przynajmniej byłaby, gdyby twoja matka nie pootwierała wszystkich drzwi...



- Co ja znowu zrobiłam, mamó? - Moja matka pojawiła się na werandzie i wzięła sobie koktajl kre-  
wetkowy z tacy przechodzącego kelnera. - O, Pierce, tu jesteś. Właśnie się zastanawiałam, gdzie się  
podziałaś. - Nagle zobaczyła moją twarz i spytała: - Kotku, dobrze się czujesz?  
- Mówi, że potrzebuje świeżego powietrza - powiedziała babcia, wciąż zdumiona. - Ale stoi na dwo-  
rze. Co z nią jest nie tak? Wzięła dziś leki? Deb, jesteś pewna, że Pierce jest gotowa wrócić do szkoły?  
Wiesz, jak z nią jest. Może...  
- Wszystko z nią w porządku - przerwała jej mama. Zwróciła się do mnie: - Pierce...  
Uniosłam głowę. W świetle na werandzie oczy mamy wydawały się ciemniejsze niż zwykle.  
Wyglądała ładnie i świeżo w białych dżinsach i luźnej, jedwabnej bluzce. Wyglądała idealnie.  
Wszystko było idealne. I wszystko będzie dobrze.  
- Muszę się stąd urwać. - Staralam się powstrzymać paniczny szloch, który wzbierał mi w gardle.  
- To leć, kotku. - Mama wychyliła się z werandy, żeby przyłożyć mi dłoń do czoła, jakby sprawdzała,  
czy nie mam gorączki. Pachniała jak zawsze perfumami i czymś typowym tylko dla niej. Jej długie,  
ciemne włosy musnęły moje nagie ramię, kiedy mnie całowała. - W porządku. Tylko nie zapomnij  
włączyć świateł rowerowych, żeby ludzie cię widzieli.  
- Co? - spytała babcia takim tonem, jakby uszom nie wierzyła. - Tak po prostu ją puszczasz, żeby sobie  
pojeździła na rowerze? Przecież jest przyjęcie. Jej przyjęcie.

Mama ją zignorowała.

- Nigdzie się nie zatrzymuj - powiedziała do mnie. -I nie zsiadaj z roweru.

Odwróciłam się, nie mówiąc ani słowa więcej do Alexa i wujka Chrisa, którzy gapili się na mnie, osłupiali, i ruszyłam prosto do ogródka z boku domu, gdzie stał zaparkowany mój nowy rower. Nie obejrzałam się.

- Pierce! - zawołała za mną mama.

Spięłam się. A jeśli babcia powiedziała coś, przez co mama zmieniła zdanie? Ale ona dodała tylko:

- Nie jeźdź zbyt długo. Idzie burza.

*Gdym go obaczył w puszczy opoczystej:  
„Pożal się, proszę - wołam do zjawienia  
-Cień-li czy człowiek jesteś rzeczywisty!”*

### **Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń I**

Wszyscy chcą wierzyć, że jest coś innego - coś wspaniałego - co czeka na nich po drugiej stronie. Raj. Walhalla. Niebo. Następne, oby mniej nieznośne, życie.

Rzecz w tym, że ja byłam po drugiej stronie. Więc wiem, co tam jest.

I to nie jest raj. A przynajmniej nie tuż za progiem.

To prawda, którą muszę dźwigać sama, bo nic dobrego nie spotkało ludzi, z którymi się nią podzieliłam.

Więc czasami muszę po prostu się zmyć, zanim powiem - albo zrobię - coś, czego będę żałować.

Inaczej zdarzy się coś złego.

ON się zdarzy.

Mama rozumiała. Nie jego, oczywiście - o nim nie wiedziała - ale moją potrzebę ucieczki. Dlatego mnie puściła.

Pędząc ze wzgórza, na którym stał nasz dom, z włosami rozwianymi przez wiatr, natychmiast mnie chłodzący, mogłam myśleć tylko o babci.

„Mężczyzna? Jaki mężczyzna?”

To właśnie powiedziała babcia dwa dni wcześniej w swoim domu, kiedy wstałam z kanapy, na której oglądałam kanał Meteo z wujkiem Chrisem, i poszłam za nią do kuchni, żeby spytać o pogrzeb dziadka... A dokładniej o to, co wydarzyło się na cmentarzu po pogrzebie.

- No wiesz - powiedziałam. - Ten, o którym ci mówiłam. Ten z ptakiem.

Nigdy nie miałyśmy okazji znów o tym porozmawiać od dnia, kiedy to się wydarzyło. I nie tylko dlatego, że ten dzień miał być tajemnicą między nami, dziewczynami, mamą i mną. Ale też dlatego, że dzięki tacie babcia i ja nigdy nie byłyśmy razem w tym samym pomieszczeniu.

W miarę upływu lat to, co naprawdę wydarzyło się na cmentarzu, coraz bardziej i bardziej przypominało sen. I może naprawdę było tylko snem. Bo jak mogło być prawdą? To niemożliwe.

A potem umarłam.

I przekonałam się, że to, co tamtego dnia zobaczyłam na cmentarzu, nie tylko nie było snem, ale było najważniejszym wydarzeniem w moim życiu. Przynajmniej do chwili, kiedy moje serce się zatrzymało.

- Idź na dwór i pobaw się trochę - powiedziała wtedy babcia. - Mama jest teraz zajęta. Przyjdę po ciebie, jak skończymy.

Ona i mama siedziały po pogrzebie w biurze zarządcy cmentarza i podpisywały ostatnie dokumenty dotyczące grobowca dziadka.

Może faktycznie trochę się wierciłam. Zdaje się, że przewróciłam coś na biurku zarządcy. Nie zdziwiłabym się. Tak jak mój kuzyn Alex, który też tam był, miałam problemy z koncentracją. Ale, w odróżnieniu od Alexa, sposobem na mój problem było więcej luzu, a nie więcej nadzoru. Bo byłam dziewczynką, a w jakie kłopoty może wpakować się dziewczynka?

Pamiętam, że mama uniosła głowę znad formularzy, które pomagała wypełnić babci. Uśmiechnęła się do mnie przez łzy.

- Okej, skarbie - zgodziła się. - Idź na dwór. Tylko trzymaj się blisko. Wszystko będzie dobrze. Trzymałam się blisko. Wtedy jeszcze zawsze słuchałam mamy.

Znalazłam tego gołębia jakieś dziesięć metrów od biura zarządcy. Kuśtykał dróżką między grobami, ciągnąc za sobą jedno skrzydło, najwyraźniej złamane. Natychmiast pobiegłam za nim i spróbowałam wziąć go na ręce, bo wiedziałam, że jeśli zaniosę go mamie, będzie umiała mu pomóc. Kochała ptaki. Ale tylko pogorszyłam sprawę. Ptak spanikował i na wpół podfrunął, na wpół skoczył, wpadł na ścianę najbliższej krypty i rozbił się o cegły.

A potem już tylko leżał. Kiedy do niego podbiegłam, zauważyłam z przerażeniem, że nie żyje. Oczywiście zaczęłam płakać. Już i tak było mi smutno. Przecież dopiero co uczestniczyłam w pogrzebie dziadka, którego nie znałam, a potem zostałam

wyrzucona z biura zarządcy za to, że byłam niegrzeczna. A teraz to?

Wtedy na ścieżce pojawił się ten człowiek. Mnie, pierwszoklasistce, wydawał się niemożliwie wysoki, niemal gigantyczny, nawet kiedy już ukląkł przy mnie i zapytał, dlaczego płaczę.

Kiedy to wspominam, zdaję sobie sprawę, że był ledwie nastolatkiem, właściwie nie był jeszcze mężczyzną. Ale przez ten wzrost i przez całkowicie czarny strój wydawał mi się starszy.

- Ja tylko ch-chciałam pomóc - powiedziałam, zanosząc się szlochem i wskazując ptaka. - Był ranny. Ale potem go wystraszyłam i było jeszcze gorzej. Teraz nie żyje. To w-w-wypadek.

- Oczywiście, że to był wypadek - potwierdził, sięgając w dół, by wziąć bezwładne, kruche ciało w dłoń.

- Nie chcę iść do piekła! - zawyłam.

- A kto powiedział, że pójdziesz do piekła? - spytał zdumiony.

- Bo tam idą mordercy - poinformowałam go przez łzy. - Babcia mi powiedziała.

- Ale ty nie jesteś morderczynią - zapewnił mnie. - I myślę, że masz jeszcze trochę czasu, zanim będziesz musiała martwić się o to, dokąd pójdziesz po śmierci.

Nie wolno mi było rozmawiać z nieznajomymi. Rodzice wbili mi to do głowy.

Ale ten nieznajomy wydawał się całkiem miły. A mama była w biurze, zaledwie na drugim końcu dróżki. Byłam pewna, że jestem bezpieczna.

- Znajdziemy dla niego trumnę? - spytałam, wskazując ptaka. Głowę miałam nabitą nową wiedzą, zdobytą na pogrzebie tego popołudnia. - Kiedy ktoś umiera, wkłada się go do trumny i potem nikt go nigdy więcej nie widzi.

- Niektórych owszem - odparł nieznajomy trochę kwaśno. - Nie wszystkich. Ale to prawda, chyba moglibyśmy go włożyć do trumny. Albo mogę zrobić tak, żeby znowu żył. Co wolisz?

- Nie możesz go ożywić - odparłam, tak zdumiona jego pytaniem, że zapomniałam o łzach. Głaskał ptaka, który z całą pewnością był martwy. Jego główka zwisała znad końców palców mężczyzny, kark był skręcony. - Nikt tego nie może.

- Ja mogę - odparł. - Jeśli chcesz.

- Tak, poproszę - szepnęłam, a on przesunął dłonią nad ptakiem. Po sekundzie łebek gołębia podskoczył do góry, oczy pojaśniały. Ptak z trzepotem poderwał się z rąk mężczyzny i mocno uderzając skrzydłami, odfrunął w błękitne niebo.

Byłam tak zachwycona, że krzyknęłam:

- Zrób tak jeszcze raz!

- Nie mogę - odpowiedział, wstając z klęczek. - Odleciał.

Zastanowiłam się nad tym, po czym chwyciłam go za rękę i zaczęłam ciągnąć.

- Możesz tak zrobić z moim dziadkiem? Przed chwilą położyli go tam. - Wskazałam kryptę w dalszym końcu cmentarza.

Mężczyzna odparł łagodnie:

- Nie. Przykro mi.
  - Ale moja mama strasznie by się ucieszyła. I babcia też. Proszę! To zajmie tylko sekundę...
  - Nie - powtórzył, coraz bardziej zaniepokojony. Znowu ukląkł przy mnie. - Jak ci na imię?
  - Pierce - powiedziałam. - Ale...
  - No więc, Pierce - zaczął. Jego oczy, jak zauważyłam, miały taki sam kolor jak ostrza moich łyżew w Connecticut. - Twój dziadek byłby z ciebie dumny. Ale lepiej zostawić go tam, gdzie jest. Twoja mama i babcia mogłyby trochę się wystraszyć, gdyby wstał i zaczął chodzić po tym, jak już został pochowany, prawda?
- Tego nie wzięłam pod uwagę, ale pewnie miał rację.
- Wtedy przyszła po mnie babcia. Mężczyzna ją zobaczył. Musiał ją zobaczyć, a ona jego, bo wymienili uprzejme „dzień dobry”, po czym nieznajomy odwrócił się, pożegnał się ze mną i odszedł.
- Pierce - powiedziała babcia, kiedy już do mnie dotarła. - Wiesz, kto to był?
  - Nie - odparłam. I opowiedziałam jej o całej naszej rozmowie i o cudzie, którego dokonał.
  - Polubiłaś go? - spytała babcia, kiedy dotarłam do końca swojej niesamowitej historii.
  - Nie wiem - odrzekłam, skołowana jej pytaniem. Przecież ożywił martwego ptaka! Ale potem nie chciał zrobić tego samego dla dziadka. Więc coś było nie tak.
- Babcia uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.
- Ale polubisz - stwierdziła.
- Potem wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do miejsca, gdzie czekali mama i Alex.



Pamiętam, że się obejrzałam. Po mężczyźnie nie było śladu. Widziałam tylko szkarłatne kwiaty wśród poskręcanych, czarnych gałęzi drzewa poincjany. Tworzyły baldachim nad naszymi głowami, płomienne jak fajerwerki na tle jasnego, błękitnego nieba...

Ale teraz, jak wszyscy, którym powiedziałam o tym, co widziałam po śmierci - nie światło, tylko mężczyznę - babcia upierała się, że to był tylko wytwór mojej wyobraźni.

- Oczywiście, że na cmentarzu nie było żadnego mężczyzny wskrzeszającego ptaki - powiedziała przedwczoraj w kuchni, kręcąc głową. - Kto to słyszał o takich rzeczach? Wiesz, Pierce, martwię się o ciebie. Wiecznie śnisz na jawie... a słyszałam, że od tego wypadku jeszcze ci się pogorszyło. Nie myśl, że poradzisz sobie wyłącznie dzięki urodzie. Twoja mama ma i urodę, i rozum, i widzisz, co ją spotkało? Wszystko ładnie pięknie, dopóki Pan Gruby Portfel nie zostawi swojego dziecka na pastwę losu, żeby utopiło się w basenie...

- Babciu - wtrąciłam, starając się zachować spokój. - Jak możesz mówić, że tego człowieka tam nie było, skoro sama mnie spytałaś, czy...

- Naprawdę mam nadzieję, że uda ci się w tej nowej szkole, Pierce - przerwała mi babcia. - Bo w tej ostatniej dość skutecznie spaliłaś za sobą mosty, prawda? - Wepchnęła mi w ręce tacę z kanapkami. - A teraz zanieś to wujkowi, zanim umrze z głodu. Nie wziął niczego do ust od śniadania.

Wyszłam z jej domu i ruszyłam na rowerze do siebie, oczywiście najpierw dostarczywszy kanapki. Czułam,

że muszę, bo inaczej stanie się coś strasznego. Kiedy wpadałam w gniew, zawsze działy się straszne rzeczy. I nie działy się z mojej winy. Lepiej wyjść, zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Zanim ON się zjawi.

Teraz, tutaj, znów byłam na rowerze, ale tym razem pedałowalam bez żadnego celu. Po prostu chciałam być jak najdalej... od babci. Od pytań. Od gwaru przyjęcia. Od pluskania kaskady w basenie... przede wszystkim od tego basenu...

W odróżnieniu od „incydentu”, który wydarzył się ostatniej wiosny w mojej starej szkole, wypadek był z mojej winy. Potknęłam się - o własny szalik - i uderzyłam w głowę, a potem wpadłam do głębokiej wody w naszym basenie w Connecticut.

Próbowałam ratować rannego ptaka... tak, kolejnego.

Ten ptak przeżył, i to bez pomocy nieznanego z cmentarza na Isla Huesos.

Ja nie miałam tyle szczęścia.

Temperatura wody była równie paraliżująca, jak uderzenie w tył głowy. Woda błyskawicznie wsiąkła w moją zimową kurtkę i buty. Moje ręce i nogi stały się zbyt ciężkie, żeby je unieść. Nie byłam w stanie nawet szamotać się w wodzie, a co dopiero płynąć. Ciężka, płócienna plandeka, którą tato zapomniał naprawić, natychmiast zapadła się pod moim ciężarem i owinęła wokół mnie, zaciskając się jak pyton.

Byłam za daleko od drabinki i schodków, żeby do nich podpłynąć. Ubranie i całe to płótno ciągnęły mnie w dół. Gdyby udało mi się dosięgnąć schodków,

pewnie i tak nie miałabym dość siły, żeby się na nie wspiąć.

Ale robiłam, co w mojej mocy. Zdumiewające, co piętnastoletnia dziewczyna, nawet z krwotokiem do mózgu, potrafi zrobić, żeby utrzymać się przy życiu.

Tata prowadził w tym czasie konferencję telefoniczną w swoim gabinecie, daleko, w drugim końcu domu. Zapomniał, że mama jest w bibliotece i pracuje nad swoim doktoratem na temat godowych zwyczajów warzech różowych. I że ja nie jestem u mojej przyjaciółki Hannah ani w schronisku dla zwierząt, gdzie pomagałam jako wolontariuszka, i że gosposia ma akurat wolny dzień.

Tak jak zapomniał komukolwiek powiedzieć, że dwa stalowe nity, które miały mocować plandekę, przerdzewiały przez zimę.

Ale zapewne nie zrobiłoby to różnicy - przynajmniej dla mnie - gdyby tato pamiętał o którejkolwiek z tych rzeczy albo gdyby nawet nie rozmawiał przez telefon. Nie miałam czasu choćby krzyknąć o pomoc. Utonięcie w prawdziwym życiu nie wygląda tak jak na filmach. Zanim w mojej stłuczonej czaszce zaświtała myśl, że mam kłopoty, cała woda, którą odruchowo połknęłam w chwili szoku termicznego, pociągnęła mnie już na sam dół. Poszłam na dno basenu jak kamień.

Kiedy minęła pierwsza fala paniki i bólu, zauważyłam, że tam na dole jest właściwie dość spokojnie. Słyszałam tylko bicie własnego serca i bulgot baniek z wydobywających się z mojego gardła... oba dźwięki były coraz słabsze i coraz rzadsze.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to dlatego, że umieram.

Popołudniowe słońce, lejące się strumieniami pomiędzy liśćmi, które spadły na powierzchnię wody, tworzyło piękne wzory na dnie basenu wokół mnie. Przypominało mi promienie słońca wpadające przez witraże w kościele na pogrzebie mojego dziadka. Chociaż nie wolno mi było o tym mówić, nigdy nie zapomniałam tego dnia. Nie zapomniałam, jak głośno mama i babcia szlochały przez całe nabożeństwo...

Nie zapomniałam też, jak mocno babcia trzymała mnie za rękę, wyprowadzając z cmentarza, i jak intensywnie .czerwone były kwiaty drzew poincjany na tle błękitnego nieba ponad głowami...

.. .czerwone jak chwościki na końcach mojego szalika, unoszące się wokół mojej twarzy, kiedy umierałam, leżąc, na dnie basenu.

Może dlatego, kiedy znów je zobaczyłam, uciekając na rowerze z przyjęcia - nie chwościki, oczywiście, ale kwiaty poincjany - gwałtownie ścisnęłam hamulce.

Nie zdawałam sobie sprawy, że przyjechałam aż na cmentarz. Stopy przywiodły mnie tu bez udziału mojej świadomości.

Oczywiście wiedziałam dlaczego. To się stało nie pierwszy raz.

Wielokrotnie przejeżdżałam przez cmentarz, od kiedy zamieszkałyśmy na Isla Huesos - mama uwzględniła go nawet w małej poznawczej wycieczce, którą zorganizowała mi zaraz po przyjeździe. Ponieważ wszystkie trumny były umieszczane w naziemnych kryptach i gro-

bowcach, cmentarz stał się jedną z głównych atrakcji turystycznych na wyspie. Podobno jeśli ciała chowa się w ziemi w miejscu regularnie nawiedzanym przez huragany i zalewanym powodziami, wszystkie szkielety w końcu wyjdą na powierzchnię. A potem znajdujesz swoich bliskich dyndających na drzewach i płotach, a nawet porzucanych na plaży, jak dekoracje z horroru.

- To dlatego - poinformowała mnie mama - hiszpańscy podróżnicy, którzy odkryli wyspę trzysta lat temu, nazwali ją Isla Huesos, Wyspa Kości. Kiedy tu przybyli, była pokryta ludzkimi kośćmi, prawdopodobnie po sztormie, który wyplukał indiańskie cmentarzysko.

Ale chociaż od przyjazdu przed dwoma tygodniami kilka razy przejeżdżałam przez cmentarz, nigdy nie mogłam znaleźć tego drzewa, które widziałam jako siedmiolatka. Dopiero w wieczór przyjęcia. I to ono kazało mi to zrobić.

- Nie zatrzymuj się - powiedziała mama. - Nie zsiadaj z roweru. Idzie burza.

Teraz, kiedy stałam pod drzewem poincjany, widziałam, że zbliża się nie tylko burza, o której mówiła mama.

To było coś o wiele, wiele gorszego.

Większość kwiatów z drzewa spadła na ziemię. Uschnięte i pomarszczone, leżały wokół moich stóp jak czerwony dywan. Szeptały między sobą, kiedy wiatr podrywał je i rozrzucał dalej na brukowanej drodze.

Krypta pod drzewem wyglądała niemal tak samo jak w dniu pogrzebu dziadka. Tynk wciąż miejscami

odpadał, odsłaniając cegły, równie czerwone, jak kwiaty pod moimi stopami.

Główna różnica była taka, że teraz widziałam nazwisko wyrzeźbione dużymi literami nad wejściem do krypty: ozdobną bramką z kutego żelaza.

Żadnej daty. Tylko nazwisko.

„Hayden”.

Nie zauważyłam go jako siedmiolatka. Miałam na głowie zbyt wiele innych spraw. Tak jak nie zauważyłam tego drzewa aż do dzisiaj, choć w zeszłym tygodniu tyle razy przejeżdżałam przez cmentarz.

„On nie był rzeczywisty, Pierce”.

I nie tylko babcia powiedziała tak przedwczoraj w swojej kuchni, ale też wszyscy ci psychiatrzy, do których ciągali mnie moi biedni rodzice po wypadku. Nie mogli uwierzyć w raporty nauczycieli, że wyniki ich ukochanej córki nie są ponadprzeciętne ani nawet przeciętne.

To bardzo powszechne u pacjentów, którzy na jakiś czas utracili elektryczną aktywność serca czy mózgu; często zgłaszają różnego rodzaju halucynacje, których doświadczyli w stanie śmierci klinicznej.

Ale kluczowe dla mojego zdrowia psychicznego jest to, powtarzali ci wszyscy lekarze, bym pamiętała, że to był tylko sen.

Owszem, bardzo realistyczny. Lecz czy nie dostrzegam, że w tej wizji są elementy, o których czytałam w szkolnych książkach, widziałam w telewizji, a może przeżyłam wiele lat wcześniej? Tylko że nigdy żadnemu z lekarzy nie opowiedziałam, co wydarzyło się po pogrzebie dziadka.

Powinnam też mieć na uwadze istotny fakt - kiedy to wszystko się działo, byłam w stanie kontrolować swoje czyny. Takie zjawisko nazywa się świadomym snem. Gdyby to, co się wydarzyło, było rzeczywiste, nie zdołałabym uciec swojemu prześladowcy.

Więc absolutnie nie miałam czym się przejmować! ON po mnie nie wróci, ponieważ był wytworem mojej wyobraźni.

Siedziałam naprzeciw tych wszystkich psychiatrów i kiwałam głową. Mieli rację. Oczywiście, że mieli. Ale w głębi duszy było mi... ..ich żal.

Bo ściany za ich biurkami wypełniały oprawione dyplomy i certyfikaty. Niektóre z nich pochodziły z tych samych pierwszoligowych uczelni, do których, ku rozpaczy moich rodziców, nigdy się nie dostanę.

I właśnie to zasmucało mnie najbardziej. Bo rodzice nie rozumieli, że to nie ma żadnego znaczenia.

Wszystkie te dyplomy, wszystkie te stopnie naukowe.

Ci lekarze mimo to nie mieli najbledszego pojęcia, o czym mówią.

A ja miałam dowód. Zawsze go miałam. Teraz, stojąc przed kryptą pod drzewem poincjany, rozpięłam dwa górne guziki zbyt ciasnej sukienki, którą mama kazała mi włożyć na przyjęcie, i przycisnęłam go palcami. W tych lekarskich gabinetach mogłam go wyjąć w każdej chwili, pokazać doktorom i powiedzieć: „Świadomy sen? Naprawdę? W takim razie skąd to się wzięło, doktorze?"

Ale nigdy tego nie zrobiłam. Trzymałam go tam, gdzie zawsze, pod bluzką.

Ponieważ ci wszyscy lekarze, chociaż mi nie wierzyli, bardzo chcieli mi pomóc. Byli tacy mili.

Nie chciałam, żeby stało im się coś złego.

A przekonałam się w bardzo bolesny sposób, że złe rzeczy spotykają ludzi, którzy zanadto interesują się moim naszyjnikiem.

Więc po tamtej historii nie pokazywałam go nikomu. Nawet babci, kiedy w kuchni powiedziała to, co powiedziała. Zresztą jej by to na pewno nie przekonało.

Dopiero stojąc tutaj, przed kryptą, gdzie się spotkaliśmy, zrozumiałam nagle, że może to ja sprawiam, że dzieją się złe rzeczy.

Bo wróciłam. Nie tylko do świata żywych, ale też do miejsca, gdzie to wszystko się zaczęło.

Co ja tu w ogóle robiłam? Czy byłam tak nienormalna, jak twierdzili wszyscy w Connecticut? Stałam na cmentarzu, sama, po zmroku. Powinnam stąd odjechać. Powinnam uciekać. Wszystkie włoski na moim ciele stały dęba, jakby kazały mi brać nogi zapas.

Ale oczywiście było już za późno. Bo ktoś nadchodził, zgniatając pod stopami uschnięte płatki kwiatów na ścieżce.

Kości. Tak właśnie brzmiało deptanie kwiatów. Jakby kruszyły się drobniutkie kości.

O Boże. Dlaczego mama opowiedziała mi tę historię? Dlaczego nie mogłam mieć normalnej matki, która opowiada normalne bajki o dobrych wrózkach i szklanych pantofelkach, zamiast historii o ludzkich szkieletach porzrzucanych po plażach?



Nawet nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, kto to jest. Wiedziałam. Oczywiście, że wiedziałam.

Ale wrzask, który z siebie wydałam, kiedy już się odwróciłam i zobaczyłam jego twarz, i tak był dość głośny, żeby pobudzić zmarłych.

*Głowę podnosił i jak mi się zdało,  
Szedł prosto na mnie, taki wściekły z głodu,  
Ze przerażone powietrze truchłało.*

**Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń I**

Wyglądał na równie zszokowanego, jak ja. - Co ty tu robisz?

Jego głos brzmiał jak grzmoty, które słyszałam coraz bliżej. Rozlegały się za każdym razem, kiedy błyskawica rozjaśniała niebo nad szczytami palm, gdzie zderzały się ze sobą potężne, szare chmury.

Próbowałam coś powiedzieć, ale z mojego gardła wydobyło się tylko powietrze.

A przecież nie powinno było mnie to aż tak zaskoczyć. Bo w głębi duszy, od chwili, kiedy usłyszałam mamę wypowiadającą słowa „Isla Huesos”, wiedziałam, że ten moment nadejdzie. Być może nawet, w jakiś pokręcony sposób, chciałam to mieć już z głowy. Bo niby dlaczego moja głowa wciąż nakazywała nogom, żeby pedaływały w stronę cementarza?

Nie głowa. Serce. Ta dziesięciocentymetrowa igła, którą wbili mi w pierś. Może i dzięki niej moje serce znów zaczęło bić.

Ale to nie znaczy, że się zagoiło.

Odchrząknęłam i spróbowałam jeszcze raz. Miałam nadzieję, że nie widzi, jak bardzo trzęsą mi się kolana pod sukienką.

- Prze... przepraszam - powiedziałam. - Za ten krzyk. Przestraszyłeś mnie. Nie chciałam... ja nie...  
Moja mama i ja właśnie się tu przeprowadziłyśmy. - Ostatnie słowa były nieskładne i pospieszne. - Na Isla Huesos. Chce zacząć tu wszystko od nowa, przez to... co wiesz.

Głos mi się załamał. Nie lubiłam mówić o tym, co się stało w mojej starej szkole w Westport.

A zresztą, po co miałam mu o tym mówić? Przecież tam był.

ON tylko na mnie patrzył. Sądząc z jego miny, nie był zachwycony moim widokiem. Oczywiście, dopiero co wrzasnęłam mu w twarz. Coś takiego raczej nie zachęca ludzi. Szczególnie chłopaków, jak sądzę.

- To nie była moja wina - dodałam. Serce w piersi biło mi tak mocno, że ledwie słyszałam wiatr, poruszający liśćmi palmy nad nami, i świerszcze, i cykady między kryptami, wyrastającymi z cieni wokół nas. - Ona chce ratować ptaki. Co miałam jej powiedzieć?

Mój głos zupełnie nie brzmiał jak mój. Cóż, nic dziwnego. Jaka dziewczyna mogłaby mówić normalnie, kiedy ktoś o jego wyglądzie spogląda na nią z góry z taką złością? Był naprawdę wysoki. Miał chyba ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dobre trzydzieści centymetrów więcej ode mnie. Jego bicepsy były tak potężne, ramiona tak szerokie, że z łatwością nadałby się na blokującego w każdej uniwersyteckiej drużynie

futbolowej w kraju... A przecierpiałam wystarczająco dużo meczów, spędzając „aktywnie” czas z ojcem, żeby dobrze znać ten typ budowy.

Tyle że na świecie nie było trenera, który chciałby go w drużynie, bo facet ewidentnie miał problemy osobowościowe. Czarne dżinsy, obcisła czarna koszulka, czarne glany i kostki palców posiekane bliznami - i nie tylko kostki palców - świadczyły wyraźnie, że ten gość nie będzie miły dla nikogo. Nawet jego włosy, opadające w nieładzie gęstymi, długimi, ciemnymi falami wokół twarzy i szyi, zdawały się krzyczyć: „Mrok”.

Tylko oczy były inne. Szare jak chmury nad naszymi głowami, zawsze takie płomienne i wyraziste, że trudno je zapomnieć... a uwierzcie mi, próbowałam.

Ale nie dziś. Teraz były matowe, puste jak dwie dziury po kulach. Można by niemal powiedzieć, że były... no cóż, martwe.

Zastanawiałam się, co takiego spowodowało w nim tę zmianę. Bo ja na pewno nie byłam za to odpowiedzialna. Nie byłam tego rodzaju dziewczyną.

Jego głos za to nie był martwy. Ociekał sarkazmem. - Chodziło mi o to - powiedział - co robisz tutaj, teraz, dziś wieczorem? Na cmentarzu. Po zamknięciu. Z trudem przełknęłam ślinę. Oczywiście.

Oczywiście, że wiedział, co robię na Isla Huesos. Jakoś zawsze wiedział, gdzie jestem i co robię.

Pewnie widział, jak mój samolot ląduje. Pewnie patrzył, kiedy ściągałam swoje walizy z karuzeli z bagażami i jak mama pomagała mi zawlec je do samochodu. Ciekawe, czy patrzył, gdy tak strasznie się męczyłyś-

my, żeby dźwignąć je do bagażnika jej hybrydowego SUV-a. Bo były bardzo ciężkie. Jak to miło z jego strony, że podszedł i zaproponował pomoc.

Dosłownie czułam bijące od niego fale gniewu.

To prawda, że już raz zrobiłam mu krzywdę (w obronie własnej, bo najpierw on zrobił krzywdę mi; przetrzymywanie wbrew woli jest przestępstwem. Sprawdziłam).

Ale ponieważ od tamtej pory zjawiał się dwa razy, żeby ratować mi życie - a przynajmniej był przekonany, że to właśnie czyni - zakładałam, że mi wybaczył.

A jednak w jego oczach nie było najdrobniejszej iskry ciepła. Nie mówiąc już o wyrzutach sumienia za to, co próbował mi zrobić. Więc chyba jednak się myliłam.

- Posłuchaj. - Mój głos brzmiał trochę szorstko, bo ja też zaczynałam być zła. Nie miał prawa być taki nieuprzejmy. Zaskoczył mnie, więc wrzeszczałam.

Przez cały czas wiedział, że jestem na wyspie, i nawet nie wpadł się przywitać? Nie żebym tego pragnęła, bo za każdym razem, kiedy się zjawiał, komuś działa się krzywda. Ale mimo wszystko.

- Po prostu byłam w okolicy, więc pomyślałam, że wpadnę i sprawdzę, czy wszystko między nami jest... no wiesz. - Zdałam sobie sprawę, że nieźle się tym zdaniem wpakowałam. Dlaczego nie posłuchałam mamy i zsiadłam z tego przeklętego roweru? - Że wszystko między nami jest w porządku.

Wciąż na mnie patrzył.

- W porządku - powtórzył.

- No tak - odparłam. Ta rozmowa szła jeszcze bardziej koszmarnie, niż sobie wyobrażałam. A byłam

znana z niezłej wyobraźni. - Ja już nie mam pretensji o to, co mi zrobiłeś. I chciałabym, żebyś wiedział, że to, co ja zrobiłam tobie... to, co się stało, kiedy... no wiesz. Odeszłam. Że to nie było nic osobistego.

- Och, rozumiem. - Jego głos był równie zimny, jak spojrzenie. - To było tak nieosobiste, że trudno bardziej. Podjęłaś decyzję. I zrealizowałaś ją. - Wzruszył ramionami i założył ręce. - W ogóle nie zważając na konsekwencje.

Zabolało mnie to zjadliwe podsumowanie mojego zachowania tamtego dnia: „To było tak nieosobiste, że trudno bardziej. Podjęłaś decyzję. I zrealizowałaś ją”. Poczułam lzy wzbierające w oczach.

Boże. Teraz jeszcze się przed nim rozplaczę? Mama chciała, żeby wszystko było doskonałe? No to było doskonałe.

- Miałam piętnaście lat - zauważyłam, niezbyt skutecznie próbując wziąć się w garść. Ćwiczyłam tę rozmowę w myślach tyle razy, że teraz powinnam wygłaszać swoje kwestie jak z nut. Problem oczywiście polegał na tym, że rozmowy z nim w rzeczywistości nigdy nie szły tak jak w myślach. - Kto jest gotowy na takie zobowiązanie w wieku piętnastu lat?

- W wieku siedemnastu jesteś bardziej gotowa? - spytał jadowicie.

Przerażona krzyknęłam:

- Co? Nie!

- No cóż. Jak na kogoś, kto ciągle powtarza, że nie jest gotów na śmierć, masz ciekawy sposób, by to wyrażać.

Spojrzałam prosto w jego martwe oczy.

- Niby co masz na myśli?

- Tylko to, że większość ludzi, którzy choć trochę cenią sobie życie, nie łązi po cmentarzach po zmroku. Ale przecież mówimy o tobie.

Na prawie ośmiohektarowym cmentarzu na Isla Huesos nie było żadnych kamer ani strażników. Zarządca szedł do domu punktualnie o szóstej wieczorem, o czym poinformował z irytacją, wyrzucając mnie (i besztając za używanie „miejsca czci zmarłych jako drogi publicznej”), gdy zamykał cmentarną bramę.

Więc gdyby on naprawdę postanowił zabrać mnie z sobą z powrotem do swojego świata - a byłam raczej pewna, że może to zrobić - to nikt nie przyszedłby mi z pomocą. Chyba że za którymś grobowcem spał pijak, który usłyszałby mój krzyk i zadzwonił pod 911.

Dobry wieczór. Dziś mamy dziesiątą rocznicę tajemniczego zaginięcia siedemnastoletniej Pierce OHviery, która zniknęła bez śladu z maleńkiej florydzkiej wyspy Isla Huesos podczas pozornie niewinnej przejażdżki rowerowej w gorący sierpniowy wieczór...

- Ty mi grozisz? - spytałam gniewnie, kładąc ręce na biodrach i próbując udawać odważniejszą niż w rzeczywistości. Bo tak naprawdę czułam się potwornie przerażona.

Nie zdawałam sobie sprawy, że się zbliżał, mówiąc do mnie - zapomniałam, że potrafi stąpać cicho jak kot, jeśli chce. Tym razem uschnięte kwiaty poincjany nie wydały żadnego dźwięku pod jego okutymi butami - aż stanął piętnaście centymetrów ode mnie.

Im był bliżej, tym mocniej biło moje serce. Bo nie tylko bałam się tego, co może mi zrobić.

Zauważałam też u niego te wszystkie drobne cechy tak denerwująco atrakcyjne. Z bliska jego oczy były równie jasne, jak moje były ciemne... Tyle że moje mają kolor ciepłego brązu, z plamkami bursztynu i miodu. O czym sam kiedyś w chwili czułości mnie poinformował.

Co właściwie nie jest komplementem, jak się zastanowić. Bursztyn i miód są lepkie i gęste i toną w nich owady.

Jego oczy były zupełnie odmienne - jakby wypełnione opiłkami stali, jednego z najtwardszych materiałów na Ziemi.

I trudno było tego nie zauważyć, kiedy jego twarz znalazła się ledwie centymetry od mojej.

- Czy ja ci grożę? - powtórzył jak echo, patrząc na mnie z góry. - Niby czym? Co ja ci mogę zrobić? Nie jesteś martwa. W każdym razie już nie.

Chwyciłam oddech, siłą woli zmuszając serce, żeby nie łomotało zbyt głośno, bo nagle stało się dla mnie oczywiste, co zaraz nastąpi:

On mnie pocałuje...

...albo, pomyślałam, gdy moje serce oklapło, rozczarowane, nie.

Źle odczytałam obiekt jego zainteresowania. Nie wpatrywał się w moje usta, ale w coś sporo niżej... W miejsce, gdzie moja sukienka rozchylała się, bo rozpięłam parę guzików. Chciałam myśleć, że pociągają go moje kobiece kształty, i miałam powody sądzić, że tak jest.



Ale dzisiaj interesowało go raczej to, co znajdowało się pod ubraniem, zawieszona na złotym łańcuszku, i czego nie zdjęłam od dnia swojej śmierci.

Miało zapewniać właścicielce ochronę przed złem. A przynajmniej on tak powiedział, kiedy mi to dawał.

Dzisiaj z pewnością nie przyniosło mi żadnego pożytku - ani nigdy, o ile mogłam stwierdzić.

Dopiero teraz, kiedy stałam przed nim na cmentarzu, czując jego łagodny oddech na policzku, dotarło do mnie, że nawet nie spytałam, czy mogę zabrać jego prezent do tego świata. Właściwie nie była to kradzież, skoro mi go dał.

Ale jestem pewna, że był to podarunek z warunkami, a jeden z warunków mówił, że zostanę w jego świecie, a...

No cóż, a tak się nie stało.

„W ogóle nie zważając na konsekwencje”, powiedział.

Żołądek mi się ścisnął; pospiesznie założyłam ręce, by ukryć kamień i wszystko inne, co kryło się pod moją sukienką.

- Ciągle go masz - szepnął.

Jego głos nie przypominał już grzmotu. Brzmiał dokładnie tak jak tego dnia, kiedy się poznaliśmy, kiedy był taki miły i troskliwy.

- Jasne, że go ciągle mam - potwierdziłam, trochę zdziwiona jego zaskoczeniem.

A co on sobie myślał, że jak tylko się od niego urwę, wrzucę kamień pod walec, czy co?

Przygryzłam wargę. Chyba jednak miał prawo myśleć, że nie zechcę nosić żadnych pamiątek po tym dniu,

kiedy umarłam... i po nim. Pewnie byłam trochę głupia, że nie wrzuciłam naszyjnika do oceanu, jak starsza pani z *Titanica*. Każda inna dziewczyna by tak zrobiła. Prawdę mówiąc, większość dziewczyn pewnie by go sprzedała, zważywszy, ile był wart.

A więc dlaczego nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy?

Dla niczego. A już z całą pewnością nie dlatego, że żywiłam dla niego jakieś szczególne uczucia.

Naprawdę musiałabym być wariatką, żeby coś do niego czuć po tym, co mi zrobił. Och, błagam, niech nie uzna, że to dlatego zatrzymałam kamień.

Ale w takim razie czemu myśl o oddaniu naszyjnika budziła we mnie taki... niepokój? Powinnam czuć wyłącznie ulgę.

Z niechęcią sięgnęłam po łańcuszek i wyjęłam wisiorek. Okrągły diament wielkości dużego winogrona, o wielu fasetkach - teraz tak szary jak chmury na niebie - wypadł z bezpiecznego schronienia i załśnił nawet w tę burzową, ponurą noc. Chmury nie zakryły jeszcze księżyca.

Kiedy zobaczył, co robię - zupełnie jakby ktoś otworzył sztormowe okiennice w domu pozamykanym w porze huraganów - cała nieufność i rezerwa zniknęły z jego twarzy. Nawet do jego martwych oczu wróciło życie.

Słusznie się dziwił, że ciągle mam ten diament. Bo kto nosiłby pamiątkę po dniu własnej śmierci?

Chyba powinnam wrócić do tych wszystkich psychiatrów i tym razem powiedzieć im całą prawdę.

Ale co dobrego by z tego wynikło? Może pomogłoby mnie. Bo z pewnością nie pomogłoby im.

- Hm - mruknełam z wahaniem. *Zrób to*, usłyszałam w głowie naglący głos mamy. Ale nawet moja mama nie wiedziała, skąd pochodził kamień. Prawda przekonałaby ją tylko, że jestem tak nienormalna, jak wszyscy myślą. - Chcesz... chcesz go z powrotem?

Wypowiedzenie tego pytania o mało mnie nie zabiło. Ale przyszedł już czas, powiedziałam sobie. Nowy początek.

Przez cały czas, kiedy chowałam go pod koszulkami, starałam się chronić innych.

Ale gdybym była ze sobą szczerą, musiałabym przyznać, że chroniłam także sam kamień. Bo kochałam go wręcz nieprawdopodobnie, i to od pierwszej chwili, kiedy na niego spojrzałam. Kiedy mi go dał.

Ale nie chciałam żadnych „konsekwencji”. Ani dla siebie, ani dla niego, ani dla nikogo innego. Zdjęłam łańcuszek przez głowę, nie dbając o to, że zaplątał się w moje długie włosy. Chciałam załatwić tę sprawę tak zręcznie i delikatnie, jak się dało. Bo w Akademii dla Dziewcząt w Westport - z której, owszem, zostałam wyrzucona, ale co z tego? - uczyli przede wszystkim zręczności i delikatności w postępowaniu z innymi ludźmi i z ich problemami. To dlatego tato nalegał, żebym chodziła tam już od przedszkola. Słyszał o tej szkole od paru swoich klientów i miał nadzieję, że dzięki niej nie stanę się taka jak on.

Jak na razie nie wyglądało to zbyt obiecująco.

*Zrób to.*

Wyciągnęłam naszyjnik w jego stronę, razem z pęczkiem wyrwanych włosów.

- W porządku - powiedziałam, przeklinając się w duchu za to, że głos wciąż mi drżał. Palce też. Czy on to widział? Czy widział w świetle księżyca łzy w moich oczach? - Oddaję ci go. Wiem, że nie powinnam go była zabierać. Przepraszam za wszystkie... konsekwencje, z jakimi to mogło się wiązać. Ale wszystko działo się tak szybko. Zresztą, przecież wiesz. W każdym razie -dodałam, usiłując zażartować i trochę rozładować atmosferę - teraz nie będziesz już musiał za mną łązić.

Gdybym celowo szukała rzeczy, której absolutnie nie należy robić i mówić, nie mogłabym trafić lepiej. W jednej sekundzie te okiennice, które przedtem otworzyły się na widok kamienia na mojej szyi, zatrzasnęły się z powrotem.

Wyrывая naszyjnik z mojej dłoni, rzucił wściekle:

- Łazić za tobą? Tak to nazywasz? Zamrugłam, zdumiona jego reakcją. To by było tyle, jeśli chodzi o zręczność i delikatność. A także dowcip.

- Dałem ci go. - Potrząsnął naszyjnikiem przed moją twarzą. Jego niski głos zacinał jak deszcz, którego zapach czułam w powietrzu i który zalewał już namo-rzyny przy brzegu. - Bo zapewnia noszącemu ochronę przed złem, co chyba powiedziałem jasno. A ochrony przed złem potrzebujesz chyba bardziej niż inni, skoro za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ale jeśli nie chcesz w swoim życiu ani mnie, ani tego kamienia, to mam pomysł. Przestań tu przychodzić. I nie noś go.

Wypowiadając słowa „nie noś go”, odwrócił się i rzucił - rzucił mój piękny naszyjnik - tak daleko, jak

mógł. Kamień poszybował na tle nocnego nieba i wylądował gdzieś w głębokiej ciemności otulającej osiem hektarów cmentarza Isla Huesos.

Nie powinnam czuć się tak, jakby wyrzucił moje serce.

Ale tak się czułam.

*Wszędy rząd jego, lecz tam królowanie;  
Tam ma stolicę, tam wysokie trony;  
Szczęsny, w wyborze kto mu się oстане.*

### **Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń I**

Kiedy zobaczyłam go drugi raz, po tamtym dniu z babcią na cmentarzu, byłam martwa. Oczywiście powiedziałam pierwszą rzecz, jaką mówią wszyscy, kiedy otwierają oczy po stłuczeniu głowy, zassaniu litra wody z basenu i doświadczeniu śmierci klinicznej.

- Gdzie ja jestem?

Bo nie byłam już na dnie basenu... choć wciąż miałam na sobie te same ciuchy, w których do niego wpadłam. Teraz były wilgotne i oblepiały mnie jak lodowata druga skóra. Nie byłam też na szpitalnej leżance ani w karetce.

Byłam w wielkiej, podziemnej jaskini, która zdawała się nie mieć końca, na brzegu smaganego wiatrem jeziora.

Ale nie byłam tu sama.

- Nazwisko?

Olbrzymi mężczyzna w czerni, słysząc moje „Gdzie ja jestem?“, odwrócił się do mnie, unosząc świecący tablet, który trzymał w dłoni.

Byłam tak oszołomiona, że mogłam tylko odpowiedzieć:

- Pierce Olwiera.

- Jesteś tam - powiedział, kiedy już wprowadził moje nazwisko.

Spojrzałam w kierunku, który mi wskazywał. Staliśmy w tłumie chyba tysięcy innych ludzi. Głównie starszych, ale niektórzy byli w moim wieku, albo nawet młodszy. Wszyscy wyglądali równie żałośnie, jak ja.

Nie byli co prawda przemoczeni do suchej nitki czy oszołomieni od mocnego uderzenia w głowę.

Ale tak jak ja byli zaganiani do dwóch kolejek przez wielkich mężczyzn ubranych na czarno. Ci faceci wyglądali jak bramkarze w klubach, o których opowiadały dziewczyny jeżdżące pociągiem do Nowego Jorku, żeby wkręcić się na imprezę. Byli muskularni, łysi, ubrani w czarne skóry i cali wytatuowani. Krótka mówiąc, przerażający.

W przeciwieństwie do mojej przyjaciółki Hannah, ja nigdy nie miałam odwagi, żeby próbować wślizgnąć się do klubu w mieście jako niepełnoletnia. Nie miałam fałszywych dokumentów. Ledwie pamiętałam, gdzie trzymam te prawdziwe.

Więc nie śmiałam sprzeciwić się poleceniu mężczyzny przede mną. Kręte kolejki ciągnęły się w stronę jeziora, z którego brzegu sterczały dwa pomosty. Jedna kolejka

była strasznie długa. Druga trochę krótsza. Mężczyzna wskazywał mi tę drugą.

- Nie opuszczaj swojej kolejki - warknął. To był rozkaz.

Bez słowa poszłam na koniec ogonka, zbyt przestraszona, by pisnąć choćby słówko.

Dopiero kiedy stanęłam za jakąś drobną, uroczo wyglądającą staruszką, postukałam ją w ramię i zagadnęłam:

- Przepraszam panią.

Odwróciła się. Miała najbardziej pomarszczoną twarz, jaką w życiu widziałam. Musiała mieć ze sto lat.

- Tak, kochana? Och, biedactwo. Jesteś cała mokra!

- Nic mi nie jest - skłamałam. Trzęsłam się tak strasznie, że zęby mi dzwoniły. - Tak się tylko zastanawiam... Czy pani wie, gdzie jesteśmy?

- O tak, kochana - powiedziała z szerokim uśmiechem. - Wsiadamy na łódź.

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć. Czy to był sen? Ale jeśli tak, to jakim cudem mogłam wyżymać wodę z szalika i czuć jej krople przepływające między palcami?

- A dokąd płynie ta łódź? - spytałam.

- Och, nie wiem - odparła staruszka z kolejnym słodkim uśmiechem. - Nikt nam niczego nie mówi.

Ale myślę, że to musi być jakieś wspaniałe miejsce. Bo zobacz, jak bardzo wszyscy stamtąd chcą się dostać do naszej kolejki.

Wskazała dłuższą kolejkę, kilkadziesiąt metrów dalej. Była to prawda. Tamci ludzie, którzy widocznie usłyszeli to samo co starsza pani, niemal prowokowa-



li zamieszki, żeby uciec ze swojej kolejki i przedostać się do naszej. Niektórzy z tych łysych, wytatuowanych facetów w czarnych skórach musieli ich powstrzymać. Jak ochroniarze na rockowym koncercie próbujący okiełznać niesfornych fanów.

- Hej - powiedział mężczyzna w kolejce za mną. Był starszy niż ja, ale młodszy niż ta wiekowa pani. Jakoś po dwudziestce. - Masz tu zasięg? - Trzymał komórkę w górze. - Nie mogę złapać zasięgu. Poklepałam się po kieszeniach kurtki. Były puste. Oczywiście, że nie miałam telefonu. Zwykle tak było we wszystkich moich koszmarach.

- Niestety - odrzekłam. - Nie mam...

I wtedy go zobaczyłam. Wysokiego mężczyznę w czarnym ubraniu. W czarnych glanach, czarnych skórzanych rękawicach, czarnej skórzanej kurtce. Galopował w stronę wzburzonych ludzi na wielkim czarnym koniu.

Rozpoznałam go natychmiast, chociaż minęło tyle lat. Poczułam ogromną ulgę. Nareszcie znajoma twarz.

Może dlatego się nie zawahałam, nawet gdy zobaczyłam, że inni się rozbiegają, uciekając mu z drogi. Wymknęłam się z kolejki i ruszyłam w jego stronę.

- O rety, nie robiłabym tego na twoim miejscu! -zawołała za mną starsza pani.

- Wszystko w porządku - odpowiedziałam przez ramię. - Znam go!

- Wariatka - mruknął facet stojący za mną (nie miałam wtedy pojęcia, jak często będę to później słyszeć) . - Chyba chce dać się zabić.

Nie domyślili się. Ja też nie. Jeszcze nie wtedy.

Nie wszyscy są oswojeni z końmi, powiedziałam sobie, biegnąc w jego stronę po piasku. To dlatego, w odróżnieniu ode mnie, tak się boją.

Ale ten nie przypominał potulnego konia mojej przyjaciółki Hannah, Odważniaka, który ostatnio cofał się nawet przed najmniejszymi przeszkodami. Pewnie dlatego Hannah wolała spędzać czas ze szkolną drużyną koszykówki, szlajać się po centrum handlowym z nadzieją, że spotka któregoś z kolegów swojego starszego brata, albo chodzić do nocnych klubów, zamiast spędzać czas w stadninie. Imię Odważniaka zaczynało zakrawać na marny żart. Ten koń nie miał już nic wspólnego z odwagą. Ale ten? Trzeba było odwagi, nawet by na niego spojrzeć, a co dopiero się do niego zbliżyć.

I pewnie dlatego, kiedy to zrobiłam, tak się spłoszył.

Powiedziałam tylko „hej”, by ściągnąć uwagę jeźdźca, który wrzeszczał na ludzi z drugiej kolejki, żeby nie ruszali się z miejsca. I zdawało się, że sam ostry ton jego głosu zmusza ich do posłuszeństwa. W głowie mi się nie mieściło, że tak brutalny głos może wydobywać się z gardła przemilego człowieka, którego zapamiętałam. Człowieka<sup>^</sup> który wskrzesił ptaka po pogrzebie mojego dziadka. Stałam, sparaliżowana strachem...

...i nagle czarne jak węgiel kopyta zaczęły orać powietrze centymetry od mojej głowy, gdy koń stanął dęba, parskając z oburzenia.

Schyliłam się, śmiertelnie wystraszona, i zakryłam twarz rękami, żeby chronić oczy. Po sekundzie ogromne kopyta huknęły znów o ziemię, wyrzucając fontanny piasku, a ja skuliłam się, przerażona. Wtedy jaskinię wypełnił grzmot, najgłośniejszy, jaki kiedykolwiek słyszałam. Nie byłam pewna, czy to prawdziwy grom, czy ciało konia padającego na plażę, kiedy jego tylna noga poślizgnęła się w piasku.

Usłyszałam męski krzyk. Kiedy uniosłam głowę i spojrzałam z miejsca, w którym kucnęłam, żeby się ratować, zobaczyłam, że krzyczy jeździec. Wołał imię konia - Alastor, o ile dobrze usłyszałam - i próbował wyrwać nogi ze strzemion, kiedy zwierzę dźwigało się z ziemi po upadku.

Dopiero wtedy zrozumiałam, i ta świadomość wstrząsnęła mną tak mocno, jak gwałtowna reakcja konia. To nie był koszmarny sen. Bo już bym się obudziła. Nie czułabym piachu w ustach.

A mężczyzna, poznany na pogrzebie dziadka, nie stałby nade mną, patrząc na mnie z góry srebrnymi oczami, w których nie widziałam ani śladu rozpoznania... czy człowieczeństwa.

Wtedy zauważyłam, że jest jakiś inny niż wtedy; i nie chodziło tylko o ten okropny głos. Nie, to nie on był inny...

Ja byłam inna.

Nie miałam już siedmiu lat.

On wyglądał dokładnie tak samo jak tamtego dnia na cmentarzu. Te same ciemne włosy. Te same pałające oczy. Potężny wzrost - chociaż teraz nie wydawał mi się już takim gigantem.

Jak to w ogóle możliwe, skoro minęło tyle lat od czasu, gdy widziałam go ostatnio?

- Jesteś cała? - zapytał chyba jeszcze gorszym, głośniejszym i bardziej władczym głosem niż grzmot, który rozdarł jaskinię parę sekund wcześniej.

- Ch-chyba - odpowiedziałam, walcząc z pokusą, żeby zerwać się i uciec. Z sercem w gardle sięgnęłam po jego dłoń i pozwoliłam podciągnąć się na nogi. Jego skóra była kusząco ciepła i sucha, szczególnie że z moją było wręcz odwrotnie. - A ty jesteś cały?

Spojrzał na mnie, jakby uszom nie wierzył; świdrował mnie błyszczącymi oczami.

- Czy ja jestem cały? - spytał. - Mogłaś zostać stratowana. I pytasz, czy ja jestem cały?

- Przygniótł cię? - dopytywałam, nerwowo zerkając na jego konia, który grzebał kopytami w ziemi kilka metrów dalej, z trudem przytrzymywany za uzdę przez strażnika. Ten koń musiał mieć trochę genów clydesdale'a\*. A resztę diabła.

Jego właściciel nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany dyskusją na temat obrażeń, jakie mógł odnieść w wypadku spowodowanym przeze mnie.

- Nic mi nie jest - warknął. - Ale ty musisz się nauczyć słuchać poleceń. Czy słowa „nie opuszczaj swojej kolejki” są dla ciebie niezrozumiałe? - Puścił moją dłoń i chwycił mnie za ramię.

W następnej chwili ciągnął mnie już w stronę ogonka. Nie tego, z którego przyszłam.

**\* Rasa wyjątkowo dużych koni (przyp. tłum.).**

Tego drugiego.

Próbowałam coś powiedzieć. Naprawdę próbowałam. Ale zdaje się, że szok związany z tą sytuacją zaczynał się na mnie odbijać. Mogłam tylko na niego patrzeć. Jego oczy miały dokładnie taką samą barwę jak gwiazdy do rzucania, które jeden z wojskowych klientów podarował mojemu ojcu. Kiedy tato po raz pierwszy otworzył przy mnie pudełko, kolor ostrzy przywołał niewyraźne wspomnienie. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, co mi przypominały.

Jego.

- Nigdy ich nie dotykaj - ostrzegł mnie tato. Jakbym w ogóle miała ochotę... dopóki tego nie powiedział.

Wtedy ogarnęła mnie dziwna pokusa, żeby wyjąć jedną z gwiazd ze specjalnej szuflady, w której tato je trzymał, i cisnąć nią w pień starego drzewa w naszym ogrodzie. Tato musiał użyć kombinerek, żeby ją wyciągnąć, tak głęboko utkwiała. Od tamtej pory trzymał ostrza zamknięte w sejfie w swoim gabinecie. Wyjmował je tylko czasem i próbował sam rzucać w drzewo, żeby sprawdzić, czy zdoła wbić je tak mocno, jak ja. Czego, ku swojej konsternacji, nie zdołał dokonać.

Teraz wreszcie chyba zrozumiałam, skąd wzięła się ta pokusa, żeby rzucać gwiazdami mimo zakazu taty.

- Nie patrz tak na mnie - rzucił ostrzegawczo jeździec. - To nie zadziała. Zajmuję się tym od bardzo dawna. Znam wszystkie sztuczki. Spojrzenie wielkich

brązowych oczu i trzepotanie rzęsami nic nie da, gwarantuję ci to.

Zamrugałam. Mówił do mnie? Najwyraźniej. Byłam jedyną osobą, którą wlokł po plaży.

Sztuczki? O czym on gadał?

Ciągle nie bardzo wiem, jak zdołałam wykrztusić te słowa, a co dopiero sklecić zdanie pod jego groźnym spojrzeniem.

Ale cóż, kiedy człowiek jest przemoczony, zrozpaczony, przerażony i sam, odkrywa, że nie ma nic do stracenia.

- N-nie wiem, o czym mówisz - wyjąkałam. Nie byłam w stanie opanować głosu, tak jak nie mogłam powstrzymać drżenia palców. - N-nie znam żadnych sztuczek. Nie chciałam przestraszyć twojego konia. I przepraszam, jeśli coś ci się stało. Ale musiałam z tobą porozmawiać...

- Już za późno - odparł drewnianym głosem, patrząc prosto przed siebie. - Słyszałem już dzisiaj wszystkie wymówki; mam ich powyżej uszu. Kiedy podejmę decyzję, jest ostateczna. Nie robię wyjątków... nawet dla dziewczyn, które wyglądają jak ty.

- Rozumiem - powiedziałam, chociaż nie miałam bladego pojęcia, o czym on mówi. Jaką decyzję? I dziewczyny, które wyglądają jak ja? Wyglądałam absolutnie żałośnie w swoich przemoczonych ciuchach. Włosy pewnie wisały w strąkach. Czy to miał na myśli? - Ale nie o tym chciałam...

Druga kolejka - ta niesubordynowana - była coraz bliżej. Ani trochę mi się nie podobała. W tej kolejce

nie było uroczych babć. Nikt w niej nie próbował użyć telefonu.

Zamiast tego ludzie okładali się pięściami i ciągnęli za włosy, żeby przebić się przez linię strażników i dostać do drugiej kolejki.

Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy w następnej sekundzie rozległa się syrena. Prom sunął po jeziorze w stronę doku bliższego kolejki, w której stałam przedtem. Był wielki jak ten, którym pewnego lata płynęłam z rodzicami na wyspę Martha's Vineyard, tak ogromny, że mieścił setki ludzi i samochodów. Jaskinię ogarnęła gorączkowa atmosfera. Hałas stał się niemal nieznośny. Ktoś z niesfornej kolejki zdołał się wyrwać i przebiegł tuż przed naszymi nosami, omal nie zwalając mnie z nóg, bo i tak stałam dość niepewnie. Mój dręczyciel otoczył mnie ramieniem, żebym nie upadła.

- Ja zajmę jej miejsce - krzyczał mężczyzna - skoro ona idzie tutaj!

Jeden ze strażników złapał go, zanim odbiegł zbyt daleko, i powlókł, wrzeszczącego, z powrotem.

- Ale to nie fair! - krzyczał mężczyzna. - Dlaczego nie mogę zająć jej miejsca?

Nieznajomy z cmentarza, widząc tę scenę, spojrział na mnie.

- Skąd przyszłaś? - zapytał podejrzliwie.

- Właśnie to próbowałam ci powiedzieć - odparłam z oczami pełnymi łez. - Nie pamiętasz mnie?

Pokręcił lekko głową, ale uścisk jego dłoni trochę zelżał.

- To ja - powiedziałam. Byłam wściekła, że przy każdym naszym spotkaniu płakałam. Ale może to odświeży mu pamięć. - Cmentarz na Isla Huesos, dzień pogrzebu mojego dziadka. Wskrzesiłeś martwego ptaka...

Cała jego postawa się zmieniła. Twardy błysk zniknął ze srebrzystych oczu. Nagle stały się tak łagodne jak tego dnia, kiedy go spotkałam po raz pierwszy.

Puścił mnie natychmiast.

- To byłeś ty? - Nawet jego głos się zmienił. Brzmiał niemal po ludzku.

- Tak - odparłam, uśmiechając się mimo łez. Widziałam, że wreszcie do niego dotarłam. Może jednak wszystko będzie dobrze. - To byłam ja.

- Pierce - powiedział. Niemał widziałam, jak wspomnienia wracają. - Masz na imię... Pierce.

Kiwnęłam głową. Łzy płynęły tak gwałtownie, że musiałam unieść rękę i je wytrzeć.

- Pierce Oliviera.

Moje imię w jego ustach brzmiało tak przyjemnie w tym okropnym miejscu. Ten jeden znajomy drobiazg, kiedy wszystko dookoła było tak straszne, wydawał się tak cudowny, że nie sposób tego opisać. Musiałam się powstrzymać, żeby nie zarzucić mu rąk na szyję. Przecież nie miałam już siedmiu lat.

A on nie był już miłym wujkiem, jakim mi się wtedy wydawał, robiącym magiczne sztuczki z gołębiami.

Dlatego zachowałam dystans.

- Wydaje mi się, że zaszła pomyłka - powiedziałam, widząc, że sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął taki sam tablet, jakie mieli strażnicy. Było jasne, że szuka



mojego nazwiska. - Dlatego tak się cieszę, że cię spotkałam. Chyba nie powinnam tutaj być. Nie obraż się, ale to miejsce... - Słowa wypadły z moich ust, zanim zdążyłam je zatrzymać. - Nie wiem, co to ma być, ale jest straszne. Ty zarządzasz przystanią?

Czułam, że tak jest, ale to nie powstrzymało mnie przed rzuceniem mu w twarz krytyki jego umiejętności menedżerskich. Ten paskudny zwyczaj przejęłam od taty, który nigdy nie miał żadnych oporów, gdy zechciał odesłać stek czy butelkę wina, jeśli mu nie smakowały.

- Bo naprawdę przydałoby się ją trochę unowocześnić - ciągnęłam, gdy on czytał informacje w swoim tablecie. - Nie ma tu żadnych znaków ani informacji, gdzie jesteśmy i kiedy odpływa następny prom. Bo wydaje mi się, że nie zmieścimy się wszyscy na tym, który przybił. I tu jest naprawdę strasznie zimno, i nie ma zasięgu komórkowego, i... - Podeszłam o krok bliżej, żeby strażnicy nie słyszeli, co teraz powiem, chociaż przy tych głośnych protestach za nami i hurgocie łańcucha kotwicznego, kiedy prom przybijał do nabrzeża, byłam niemal pewna, że mogę się nie obawiać. - Ci faceci ustawiający kolejki są bardzo niegrzeczni.

- Przykro mi - powiedział. Wsunął tablet z powrotem do kieszeni, po czym zdjął kurtkę i otulił nią moje ramiona, przyciągając mnie bliżej za kołnierz. - Teraz lepiej?

Nieco osłupiała, że w ogóle nie załapał, co próbowałam mu powiedzieć, kiwnęłam głową. Choć z pewnością było mi o wiele cieplej; jego kurtka ważyła tonę i dosłownie parowała od ciepła jego ciała. Nie puścił kołnierza.

Dziwnie się czułam tak blisko niego. Z całą pewnością nie był miłym wujkiem. Był młodym mężczyzną, mniej więcej w moim wieku.

I wręcz buchającym męską seksualnością.

Zastanawiałam się, czy nie powinnam była jednak zostać w swojej kolejce. Wszyscy stojący w niej wsiadali teraz na prom, który, kiedy mu się lepiej przyjrzałam, wyglądał na całkiem wygodny.

- Nie chodziło mi tylko o siebie - powiedziałam, tym razem wolniej. - Wszyscy tutaj są przerażeni. Oni też są mokrzy i zmarznięci. - Wskazałam rzekę ludzi, których nie wpuszczano na prom. - Co będzie z nimi?

Spojrzał w tamtą stronę, a potem znów na mnie. Ciągle trzymał kołnierz swojej kurtki, otulając nią moje ramiona.

- Nie musisz się martwić. - Jego twarz znów stwardniała, a oczy przybrały kolor burzowych chmur, jakby to był temat, którego nie lubił poruszać. - Po nich też przyplynie łódź.

- Mimo wszystko zasługują na lepsze traktowanie - odparłam. Skrzywiłam się, kiedy kolejny człowiek spróbował wyrwać się w stronę promu i strażnik użył siły, żeby go powstrzymać. - To nie ich wina... Zbliżył się do mnie jeszcze bardziej, całkowicie zasłaniając mi widok tego, co działo się przy promie.

- Chcesz być gdzie indziej? - spytał. - Gdzieś daleko stąd? Gdzie jest ciepło?

- Och. - Westchnęłam, czując przypływ ulgi. Więc jednak zrozumiał, że zaszła pomyłka. I zamierzał to naprawić. Wracałam do domu. - Tak, bardzo proszę.

I wtedy mrugnęłam. Bo to właśnie robią ludzie, szczególnie kiedy płakali.  
Ale gdy znów otworzyłam oczy, nie byłam w domu. I nie stałam też na brzegu jeziora.  
I okazało się, że to, co brałam za koniec swojego koszmaru, było dopiero jego początkiem.

*Ścieżki potrzeba obrać tobie inne*

*-Rzekł, widząc oczu moich zapłakanie*

*-Jeżeli przebrnąć życzysz tę gęstwinę.*

**Dante Alighieri *Pieśń I***

Zamiast w domu czy nad brzegiem jeziora, byłam w długim, elegancko urządzonym pokoju.

Koń zniknął. Strażnicy zniknęli. Plaża nad jeziorem zniknęła. Wszystkich tych ludzi - ludzi, którzy czekali w kolejkach - też nie było.

Tylko wiatr nie zniknął. Delikatnie wzdymał długie, białe, zwiewne zasłony, zwisające z eleganckich łuków przecinających jedną ścianę.

Ale wiatr był tu jedyną rzeczą, jaką rozpoznawałam. Wszystko inne wokół mnie widziałam po raz pierwszy. Łóżko z białą pościelą i ciemnym, ciężkim baldachimem w jednym końcu pomieszczenia.

Dwa przypominające trony krzesła przy długim stole na wprost gigantycznego kominka w drugim końcu. Ozdobne, zabytkowe gobeliny, przedstawiające średniowieczne sceny, rozwieszono tu i ówdzie na gładkich, białych ścianach z marmuru. Nawet białą sofę, na której siedziałam.

To był sen. To musiał być sen.

Tylko że wszystko wydawało się takie rzeczywiste. Odgłos wody bulgoczącej w fontannie na dziedzińcu za łukowatymi oknami, miękkość futrzanego dywanika pod moimi bosymi (bosymi?) stopami, zapach drewna palącego się w kominku. Tak samo rzeczywiste jak to, co widziałam jeszcze przed sekundą.

A najbardziej rzeczywisty był ON, siedzący obok mnie na sofie.

- Teraz lepiej? - spytał.

Jego głos nie przypominał już grzmotu. Był miękki, niemal puszysty, jak futrzak, w którym zatoneły moje stopy, gdy zerwałam się na równe nogi.

Co uczyniłam, kiedy tylko się odezwał.

Co tu się działo? Uniosłam drżącą rękę, żeby odsunąć swoje długie - teraz już suche - włosy z twarzy, i kątem oka dostrzegłam coś białego. Spojrzałam w dół.

Nie miałam już na sobie jego kurtki ani swojego mokrego, lodowatego ubrania. Byłam w czymś, co przypominało koszulę nocną. I to nie szpitalną koszulę. Była dopasowana u góry, a spódnica sięgała niemal do ziemi. Trochę przypominała suknie, które miały na sobie dziewice na gobelinach. I nie wyglądałaby nie na miejscu na dorocznym balu dla bogatych kobiet w Akademii dla Dziewcząt w Westport.

To musiało mi się śnić.

Ale w takim razie dlaczego czułam serce łomoczące tak mocno w mojej piersi?

Wstał z sofy, kiedy tylko się podniosłam. Teraz patrzył na mnie z niespokojną miną.

- Nie tego chciałaś? - spytał. - Teraz jest ci ciepło i jesteś sucha. Przecież powiedziałaś, że chcesz się stamtąd wynieść.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami, niezdolna wydobyć z siebie słowo.

Byłam licealistką z Connecticut, która właśnie mrugnęła i znalazła się w sypialni osiemnasto- czy dziewiętnastoletniego chłopaka.

Nie wiedział, że to mogło mnie zaniepokoić?

- Nie rozumiem - powiedziałam, kiedy wreszcie odzyskałam głos. Ale i tak brzmiał bardziej żałośnie niż kiedykolwiek wcześniej. Musiałam usiąść. Byłam pewna, że mam jakiś wylew, czy coś w tym rodzaju. - Co się dzieje? Gdzie my jesteśmy? Kim ty jesteś?

Chyba sam fakt, że w ogóle byłam w stanie mówić, uspokoił go co do mojego samopoczucia, bo ruszył w stronę stołu.

- John - rzucił od niechcienia przez swoje niemożliwie szerokie ramię. - Jestem John. Nie powiedziałem ci tego ostatnim razem? Zdawało mi się, że tak.

John? Miał na imię John?

Może uderzyłam się w głowę mocniej, niż myślałam, i doznałam amnezji. Może byłam na imprezie kostiumowej - to by tłumaczyło suknię - a ten gość to jeden z kolegów brata Hannah, tylko o tym zapomniałam.

Ale to nie wyjaśniało wydarzeń tamtego dnia, kiedy byłam na cmentarzu z babcią.

„John. Jestem John”.

- Jak... jak to zrobiłeś? - spytałam drżącym głosem. - W jednej chwili byliśmy tam, nad jeziorem, a w następnej...

- A, to. - Wzruszył ramionami. - Jeden z plusów mojego stanowiska, że tak powiem. - Wysunął wielkie krzesło. - Musisz być zmęczona. Usiądziesz? Na pewno jesteś głodna.

Dopiero kiedy to powiedział, zdałam sobie sprawę, że naprawdę byłam. Na sam widok tych gór dojrzałych brzoskwiń, świeżutkich jabłek i błyszczących winogron w wypolerowanych, srebrnych misach, nie wspominając o czystej wodzie w kryształowych pucharkach, tak zimnej, że widziałam krople ściekające po szkle... Cóż, niełatwo mi było zostać na miejscu. Tym bardziej że czułam się bardzo niepewnie na własnych nogach.

Ale tato ostrzegał mnie przed takimi sytuacjami. No, może niedokładnie takimi. Ale zawsze mówił, żebym nie przyjmowała jedzenia ani drinków od obcych.

Szpecially obcych młodych mężczyzn. Nawet tych, których poznałam już wcześniej.

- Stanowiska? - zapytałam, nie ruszając się ani na krok. Mój mózg ledwie ogarniał to, co się działo. Bo działo się o wiele za dużo i o wiele za szybko. - Jakiego stanowiska? Nie rozumiem. Ciągle mi nie powiedziałaś, gdzie właściwie jestem. I kim byli ci wszyscy ludzie?

- Och, tamci? - Teraz jego szare oczy, kiedy spojrzał w moją stronę, nie były już ciemne jak burza, pełne stalowych błysków. Były pełne... hm, żalu. Tylko to jedno określenie przyszło mi do głowy. - Przepraszam za to wszystko. To, o co cię wcześniej oskarżyłem...

to było niewybaczalne. Po prostu nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty. A przynajmniej od bardzo dawna.

- Takiej dziewczyny jak ja? - powtórzyłam. Przypomniałam sobie, co mówił, kiedy mnie ciągnął do tej drugiej kolejki... tej niespokojnej. - Co to znaczy?

- Nic - odparł szybko. - Chodziło mi tylko o to, że nieczęsto spotykam dziewczyny o twojej... naturze.

- A co ty wiesz o mojej naturze? - spytałam. Głos ciągle mi drżał. Byłam pewna, że wpadam w histerię, chociaż nie ociekałam już wodą, a w pokoju było o wiele cieplej niż nad jeziorem. - Ledwie mnie znasz. Gdy się spotkaliśmy, miałam siedem lat. Nie poznałeś mnie, dopóki ci nie powiedziałam, kim jestem, a nawet wtedy musiałeś sprawdzić informacje w tym swoim gadżecie. Co takiego było tam o mnie napisane, że...

- To miał być komplement - zapewnił, puszczając krzesło, na którym chciał mnie posadzić. Ruszył z rozłożonymi rękami i dłońmi skierowanymi w moją stronę, jakbym była kucykiem, którego chciał uspokoić. - A ty nie zmieniłaś się aż tak, jak ci się wydaje. Wciąż masz największe oczy, jakie w życiu widziałem. Są ciepłe. Jak miód.

Jego oczy - nie mogłam nie zauważyć - miały dokładnie tę samą barwę co misy z owocami.

- Ale ty się zmieniłaś. - To nie miał być komplement i on chyba o tym wiedział. Musiał wiedzieć, chociażby dlatego, że z każdym jego krokiem cofałam się o krok... przynajmniej dopóki nie trafiłam na sofę. Teraz nie miałam już dokąd iść i stałam tak, patrząc na



niego, z sercem w gardle. W co ja się wpakowałam? Nie powinnam była się zgadzać, żeby zabrał mnie z plaży.

- Tak naprawdę - powiedział, stojąc tak blisko, że czułam ciepło jego ciała - wcale się nie zmieniłem. Ty też nie. Wciąż prosisz o przysługi dla innych. Kiedy spotkałem cię ostatnim razem, chciałaś, żebym przywrócił ptaka do życia. Potem dziadka. A teraz, tam, ciągle mówiłaś o innych. Oni są mokrzy i im jest zimno. Oni zasługują na lepsze traktowanie. Tak powiedziałaś. I czy ja jestem cały? O to spytałaś, kiedy mój koń o mało cię nie stratował. Czy ja jestem cały. Wiesz, ile razy ktoś mnie o to pytał, od kiedy się tu znalazłem?

Przełknęłam ślinę. Jego twarz była centymetry od mojej. Zapach drzewnego dymu stał się bardzo silny. Nie wiedziałam, czy bije od niego, czy z kominka. Może i stąd, i stąd.

- Nie wiem - przyznałam.

- Nigdy - odparł. - A zajmuję się tym już dość długo. Wszyscy inni mówią zawsze: ja jestem mokry, mnie jest zimno. Nikt nigdy nie zapytał o moje zdrowie. Tylko ty. Ty się troszczysz. Nie tylko o ptaki i konie, ale też o ludzi. I dlatego - powiedział, pochylając się jeszcze bliżej, niebezpiecznie blisko - sądzę, że wielu ludzi musi się troszczyć o ciebie.

Przez chwilę myślałam, że mnie pocałuje. Byłam prawie pewna, że to zrobi. Jego usta były tuż przy moich, i wyciągnął długą, muskularną rękę, jakby chciał mnie objąć.

Słyszałam o ludziach, którzy zakochują się od pierwszego wejrzenia. To, co powiedział - że to ja inaczej na

niego patrzyłam - było prawdą. Jego uroda była uderzająca; ciemne włosy opadające na twarz ostro kontrastowały z bardzo jasnymi oczami. Nie był może typowym przystojniakiem, ale kimś, od kogo nie można by oderwać wzroku w centrum handlowym czy innym publicznym miejscu.

A przynajmniej ja bym nie mogła.

Jednak mnie nie pocałował. Wyprostował się, by sięgnąć po coś leżącego na półce tuż nad moją głową. Była to mała, drewniana szkatułka. Kiedy ją zdjął, chwycił moją dłoń i powiedział:

- Chodź, usiądź ze mną. Na chwileczkę.

Moje serce wciąż łomotało, od chwili, kiedy myślałam, że mnie pocałuje. Nie żebym chciała. Nawet nie chciałam z nim siadać. Po prostu nie chciałam wyjść na nieuprzejmą. Szczególnie że zaczął mnie ciągnąć do stołu.

Co mogłam zrobić? Niegrzecznie byłoby odrzucić jego zaproszenie. Nie zrobił mi niczego złego; nakrzy-czał na mnie tylko, że przeze mnie jego koń się poślizgnął i mógł zrobić sobie krzywdę. No i że wyszłam z kolejki, w której miałam stać. A poza tym zarządzał tym miejscem, czymkolwiek ono było. Byłam tam gościem. Musiałam robić, o co prosił.

Siadając na krześle, które dla mnie wysunął, powiedziałam najuprzejmiej, jak potrafiłam:

- Posłuchaj, to wszystko jest bardzo miłe i mam nadzieję, że nie przeszkodziłam ci w twojej pracy, hm, cokolwiek tutaj robisz. I bardzo dziękuję za zaproszenie do posiłku. - Właściwie która była godzina?

Nie

miałam pojęcia. Nigdzie nie było zegarów, a światło za białymi zasłonami było różowawe, tak jak nad jeziorem. Cała jaskinia zdawała się skąpana w różowym blasku. Czy była pora obiadu, czy kolacji? Nie miałam pojęcia. - Chętnie bym została, ale... - Kiedy mówiłam, on położył przede mną pudełeczko z półki i je otworzył. I zobaczyłam go.

Na jego widok zapomniałam, co chciałam powiedzieć. Nie jestem szczególną miłośniczką biżuterii. Ale to było coś innego.

- Podoba ci się? - spytał John. Wydawał się zdenerwowany... niespokojny, na swój sposób. Biorąc pod uwagę jego pewność siebie, może nawet władczość, było to dość niezwykle. - Oczywiście nie musisz go przyjmować, jeśli to dla ciebie niezręczne albo naszyjnik ci się nie podoba.

Kamień wylądował z miękkim stuknięciem na moim mostku.

Bo oczywiście kiwnęłam głową w odpowiedzi na jego pytanie, czy mi się podoba. Odebrało mi mowę z pożądania.

A potem - oczywiście - John stanął za moim krzesłem, żeby zapiąć mi łańcuszek na szyi.

Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak pięknego. Kamień miał barwę chmury burzowej... dymnoszary na brzegach i tak ciemnogrnatowy w centrum, że wydawał się niemal czarny. Był zupełnym przeciwieństwem pierścionków z lśniąco białymi brylantami i jasnoniebieskimi szafirami od Tiffany'ego, które dziewczyny z mojej szkoły dostawały na urodziny.

Już słyszałam, jak mówią: szary. Szary jest taki w stylu Pierce.

- Pasuje do ciebie - rzucił John głosem znów szorstkim jak grzmot. Odchrząknął. - Pomyślałem o tym w tej samej chwili, kiedy cię zobaczyłem, tam, na dole. Ale nawet mi do głowy nie przyszło... no, że ty to ty i że zechcesz tu ze mną przyjść.

Nie miałam pojęcia, o czym mówił. Na białym materiale mojej sukni kamień miał dokładnie taki sam kolor, jak zatoka Long Island Sound w burzowy dzień. Przypominał mi widok z okna mojej sypialni w domu.

- Wiesz cokolwiek o kolorowych diamentach? - spytał. Pokręciłam tylko głową, bo uroda jego prezentu wciąż odbierała mi mowę. John skinął i mówił dalej. - Występują w niemal wszystkich kolorach, jakie można sobie wyobrazić. Bywają różowe, żółte, czerwone, zielone, czarne, szare... ale są bardzo rzadkie. Wszystkie odcienie niebieskiego, tak jak ten, są najbardziej pożądane ze wszystkich. Ludzie zabijali za niebieskie diamenty. Takie kamienie są pogrzebane tak głęboko w skorupie Ziemi, że niemal nie sposób na nie trafić. Odkryto ledwie dwa czy trzy tak duże jak ten. Sięgnął zza oparcia krzesła, by unieść ciężki kamień na łańcuszku.

Wciąż nie bardzo wiedziałam, co mnie spotkało. Ale po tym wszystkim miarka się przebrała.

Najpierw uderzenie w głowę, walka o życie w basenie, pobudka w dziwnym świecie z różowym kamiennym niebem, a potem spotkanie z facetem, którego poznałam jako siedmiolatka i który, jak się okazało, miał moc wskrze-

szania ptaków i magicznego przenoszenia dziewczyn z jednego miejsca w drugie. A na koniec, tak od niechcienia sięgnął i naruszył moją osobistą przestrzeń, jakby miał do tego prawo.

Jestem pewna, że nie zauważył moich płonących policzków. Było całkiem możliwe, że nie miał pojęcia, iż zrobił coś nie tak. Najwyraźniej był przyzwyczajony wyłącznie do towarzystwa koni, wytatuowanych bramkarzy i siedmioletnich dziewczynek.

Co nie zmieniało faktu, że mnie to nie odpowiadało.

- Czytałem, że ten diament ma wyjątkowe właściwości - ciągnął. - Podobno chroni właściciela przed złem, może nawet pomaga je rozpoznawać. A to dobrze, bo największe zło często przybiera najbardziej niewinną postać. Czasami okazuje się, że najlepszy przyjaciel wcale nie dba o nasze dobro. A my zupełnie niczego nie podejrzewamy... dopóki nie jest za późno - mówił z goryczą, która wskazywała, że ma w tym względzie osobiste doświadczenia. - Nie przychodzi mi do głowy nikt - kontynuował, już zupełnie innym tonem, jakby lekko rozbawiony - kto potrzebowałby czegoś takiego bardziej niż ty.

Ciągle nie wiedziałam, o czym mówi.

Wiedziałam tylko, że z kamieniem, który John przez cały czas trzymał w swoich stwardniałych palcach, dzieje się coś dziwnego... zmienił się z prawie czarnego w środku w jasnoszary, przybierając barwę puchu na piersi burego kociaka.

To wszystko działo się za szybko. Nigdy nie byłam z chłopakiem nawet w kinie. Mimo wszelkich wysiłków

Hannah, która usiłowała zainteresować sobą kolegów brata i ciągała mnie ze sobą przy okazji tych prób, żaden z nich nawet mnie nie zauważył.

A teraz byłam w pokoju tego niewiarygodnie seksownego faceta, dostałam od niego naszyjnik i nie wiedziałam nawet, gdzie są moje ciuchy.

Schyliłam głowę, by wydostać się spod jego ręki, i zrywając się z krzesła, powiedziałam:

- No dobra, bardzo dziękuję, John. Ale chyba powinnam już iść, bo mama na pewno mnie szuka.

Chyba bardzo się martwi. Wiesz, jakie są matki. Więc powiedz mi, jak się stąd wydostać, to sobie już pójdę.

W głębi duszy wiedziałam, że to na nic. Ale musiałam spróbować. Może były tu jakieś taksówki. Tato zawsze powtarzał, że gdziekolwiek jestem, mam wzywać taksówkę, a on zapłaci, choćby to było w New Jersey.

- A ty - dokończyłam - będziesz mógł wrócić do tych... swoich... zajęć...

Głos ugrzązł mi w gardle, kiedy zobaczyłam, że jego lekko rozbawiona mina zmienia się w śmiertelnie poważną.

- Co? - spytałam. Nie podobał mi się wyraz jego twarzy. - Co się stało?

- Przykro mi - powiedział. Zmarszczył brwi. - Pierce, myślałem, że wiesz.

I przypomniał mi, jak się potknęłam i uderzyłam w głowę, i wpadłam do basenu, i spotkała mnie śmierć. To dlatego moje ubranie było mokre i...

Śmierć. To było w zasadzie jedyne słowo, które usłyszałam. Śmierć.

Po nim w ogóle przestałam słuchać.

Wydaje się, że w głębi duszy wiedziałam przez cały czas. Ale to słowo, które padło z jego ust - śmierć - było najgorsze ze wszystkiego. Było gorsze niż uderzenie w głowę. Gorsze niż krztuszenie się wodą. Gorsze niż leżenie na dnie basenu ze świadomością, że tato nie zdąży mnie uratować i że umarłam przez ptaka. Przez ptaka!

Ptaka, który wcale nie był ranny, tylko oszołomiony z zimna, bo odfrunął, kiedy tylko spadłam na plandekę. Widziałam go, idąc pod wodę.

Śmierć. Ja umarłam.

Tyle spraw się teraz wyjaśniło. To dlatego nikomu nie działała komórka.

Wszyscy byliśmy martwi.

Zdrętwiałam. Cała. Jakbym ciągle leżała na dnie tamtego basenu, w lodowatej wodzie.

Miałam dopiero piętnaście lat. Ledwie parę godzin temu rozmawiałam z Hannah przez telefon.

Planowałyśmy iść do centrum handlowego, do kina. Udało mi się ją przekonać, żeby namówiła mamę, by podwiozła nas najpierw do stadniny, do Odważniaka...

Mama! Moja mama nie wiedziała, gdzie jestem. Musiałam dać jej znać.

- Ja... - Język i wargi wydawały się jedynymi częściami mojego ciała, które nie zdrętwiały. - Dziękuję - powtórzyłam, przerywając jego wyjaśnienia. Bo John wciąż gadał. Ale co mówił? Znowu wyglądał na zdenerwowanego. - Bardzo dziękuję za wszystko, ale teraz muszę już iść. Do widzenia.

Odwróciłam się od niego i ruszyłam w stronę zwiewnych zasłon, w stronę dziedzińca. John zrobił szybki krok naprzód, blokując mi drogę.

- Wiem, że pewnie jesteś zszokowana - powiedział. - Ale to tak nie działa. Widzisz, kiedy już tu jesteś, nie możesz odejść.

Pokręciłam głową.

- Ale ja muszę - nalegałam. - Muszę zawiadomić mamę, że wszystko ze mną w porządku. Oczywiście nie licząc tego, że nie żyję - dodałam. Nie byłam pewna, jak mama przyjmie tę nowinę.

- Twojej mamie nic nie jest - zapewnił mnie, kładąc dłonie na moich nagich ramionach i kierując mnie z powrotem do pokoju. - Powiedziałem ci, że nie możesz stąd odejść. I chyba powinnaś usiąść.

Przeżyłaś szok.

- Co to znaczy, że nie mogę odejść? - Obróciłam się, żeby spojrzeć mu w twarz. Nagle całkowicie oprzytomniałam. - A co z tymi wszystkimi ludźmi nad jeziorem? Oni opuszczają to miejsce, zgadza się?

Wzruszył ramionami.

- W pewnym sensie. Udają się do ostatecznego miejsca przeznaczenia.

- Czyli? - spytałam.

- Do nagrody, na którą sobie zasłużyli - odparł z nutą goryczy.

- I tam zabierają ich te łodzie? - spytałam. - W takim razie nie powinnam właśnie wsiadać na prom?

Ten, który właśnie odpływa?

Głos utknął mi w gardle, gdy zobaczyłam jego minę. Poważniejszą niż kiedykolwiek przedtem.



- Masz na myśli ten, który właśnie odpłynął.

Te słowa, miałam wrażenie, poniosły się echem po pokoju. Chociaż wcale tak nie było.

- Zaraz - powiedziałam. - Co?

- Łódź odpłynęła - odparł John. - Spytałem cię, czy chcesz być gdzie indziej, a ty powiedziałaś: „Tak, proszę”. Łódź odpłynęła. Wybrałaś mnie zamiast przeprawy i teraz będziesz musiała zostać tutaj.

Posłuchaj, naprawdę nie wyglądasz dobrze. Chyba powinnaś usiąść. Nie zjesz niczego? Może chociaż się napijesz? Gorącej herbaty?

Zahuczał grzmot. Ale był wyłącznie w mojej głowie, nie na zewnątrz. Znów zrobiło mi się potwornie zimno, mimo ognia buzującego w ogromnym kominku.

- Chcesz powiedzieć, że muszę zostać tu z tobą na zawsze, bo przez ciebie przegapiłam prom? - spytałam gniewnie.

Był tak wysoki, że musiałam zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w twarz. To, co zobaczyłam - mięsień drgający przy żuchwie, wysunięty uparcie podbródek - sprawiło, że poczułam taki sam lęk jak nad brzegiem jeziora.

Nawet kiedy w jego srebrnych oczach dostrzegłam smutek...

Ten widok nie pomógł mi odpędzić łez, które były coraz bliżej, i uspokoić tętniącego pulsu.

- A ta druga łódź? - spytałam. Mój głos nawet dla mnie brzmiał piskliwie. - Ta dla ludzi w drugiej kolejce?

- Nie chcesz się znaleźć tam, dokąd płynie ta łódź - odparł szorstko John. - Jak myślisz, dlaczego oni wszyscy chcieli wsiąść na twoją?

Nie mogłam uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

- W porządku. - Siliam się na spokój, chociaż czułam serce tłukące mi się w gardle. - Nie wsiadłam na łódź, więc nie przeniosłam się do ostatecznego miejsca przeznaczenia, tak? A ty potrafisz wskrzeszać zmarłych. Zrobiłeś to z ptakiem. Więc teraz zrób to ze mną. Po prostu spraw, żebym znów ożyła.

Musisz, bo zawaliłeś sprawę. Przez ciebie przegapiłam swoją łódź. Więc zrób to. Już, John.

Jego twarz pozostała uparta, choć oczy wciąż były smutne.

- Nie mogę - odparł.

- Nie możesz? - Szloch zaczął ścisnąć mi gardło. - Czy nie chcesz?

Odwrócił oczy.

- Nie chcę - powiedział.

Czułam w piersi taki ucisk, jakby znów oplątywała mnie plandeka basenu.

- Dlaczego nie?

- Dlatego - odparł. Po chwili zastanowienia dodał: - Bo to wbrew zasadom.

- Nie ty ustalasz zasady? - spytałam. To było straszne. To było najgorsze, co mi się przydarzyło w życiu. Włącznie ze zgonem.

- Nie - powiedział. Widziałam, że stara się nad sobą panować. Ale nie wychodziło mu to najlepiej, tak jak mnie nie udawało się zapanować nad łzami. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot. Tym razem nie w mojej głowie. - Nie ja.

- Więc kto? - Jego postać zaczęła mi się rozmywać przed oczami. Nie dlatego, że zniknął, ale z powodu łez,

które zaczęły płynąć mi z oczu. Otarłam je wściekłym ruchem.

- Nie wiem. - Teraz w jego głosie było już tylko zmęczenie. - W porządku? Myślisz, że mnie się to podoba? Myślisz, że ja bym nie chciał się stąd wynieść i odwiedzić mojej matki? Ale ja też nie mogę. Informacja, że on także chciałby zobaczyć matkę, też jakoś nie pomogła mi opanować łez. Nawet do głowy mi nie przyszło, że ktoś taki jak on może mieć matkę. Ale oczywiście miał. Przecież wszyscy mieli.

- Dlaczego nie?

- Przez Furie - odparł głucho, jakby to wszystko wyjaśniało. - Uwierz mi, już one pilnują, żeby kara za złamanie zasad tego miejsca była gorsza niż wszystko, co potrafiś sobie wyobrazić. I nie tylko za złamanie zasad. Za wszystko, co im się nie podoba. - Urwał i spojrzał na mnie, po czym spuścił wzrok i pokręcił głową. - Po prostu mi uwierz. Dlatego dałem ci naszyjnik. On cię ostrzeże, kiedy Furie znajdą się w pobliżu. Będziesz wiedzieć, czy robisz coś, co mogłoby cię narazić na ich gniew, nawet niechcący.

Kiedy znów na mnie popatrzył, jego oczy były jasne. Jaśniejsze niż tamte gwiazdy do rzucania, które miał tata. A jego głos brzmiał łagodnie.

- Obiecuję ci, Pierce, że po jakimś czasie przekonasz się, że tu nie jest tak źle. Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz. Wszelkie domowe wygody...

To było najgorsze, co mógł powiedzieć. Wszelkie domowe wygody, z wyjątkiem wszystkiego - wszystkiego - co kochałam.

Teraz już nie byłam zdrętwiała. Topniałam jak bryła lodu. Łzy zaczęły płynąć tak obficie i szybko, że wszystko, łącznie z nim, zniknęło mi sprzed oczu.

- Przepraszam. - Ukryłam twarz w dłoniach. To było straszne. Nie dość, że umarłam, to teraz jeszcze byłam torturowana. - Nie mogę tu zostać. Nie mogę- Nie - potwierdził. Teraz grzmot było słychać jakby

tuż nad naszymi głowami. - Nie płacz.

Mówiąc to, położył dłoń na moim ramieniu - żeby mnie pocieszyć, jak sądzę - ale ja odskoczyłam pod jego dotykem, jakby mnie sparzył, i cofnęłam się do kominka. Osunęłam się na kolana.

Na zawsze? Miałam tu być z nim uwięziona na zawsze?

I dlaczego? Przez jakieś odgórne zasady? Przez coś, co się nazywa Furia? Chyba żartował. Już sobie wyobrażałam, co powiedziałby mój tato, gdyby się tu znalazł. „Nie wiesz, kim jestem?” - huknąłby. Choć wewnątrz byłam kompletnie odrętwiała, wciąż czułam na plecach ciepło bijące od płomieni. Jak mogłam być nieżywa, skoro czułam? Jak?

W następnej sekundzie John był przy mnie.

- Proszę. Wypij to. Pomoże ci.

Wsunął mi w dłoń filiżankę z gorącym napojem. Ale ja nie mogłam pić.

Potem usiadł przy mnie koło kominka. Po chwili zauważyłam, że znów mówi.

- Wiem, że teraz to nie wygląda dobrze, ale będzie lepiej, przyrzekam. Już niedługo, nie od razu, ale w koń-

cu na pewno, w ogóle nie będzie ci to przeszkadzać. A przynajmniej nie tak bardzo. Wiem, że to nie to samo, co całkowita akceptacja sytuacji. Ale przynajmniej nie będziesz sama. To najważniejsze. I to było najgorsze. Tak długo być samemu.

O czym on w ogóle mówił? Uniosłam zboląle spojrzenie i omiotłam nim pokój, aż wreszcie zawiesiłam je na łóżku. Dopiero wtedy zauważyłam, jak jest wielkie. Dwuosobowe.

0 Boże.

„Zimą trzymaj się z daleka od basenu, Pierce. Nawet z plandeką nie jest bezpieczny”.

Oto cena, jaką płaciłam za to, że nie słuchałam mamy.

Nigdy nie sądziłam, że będzie aż tak wysoka.

To nie mógł być przypadek, że właśnie wtedy zauważyłam otwarte, łukowate drzwi po drugiej stronie pokoju, tuż za łóżkiem. Za drzwiami widziałam długi korytarz, oświetlony eleganckimi kinkietami. Z korytarza wychodziły kręte schody. Jedne prowadziły w górę.

Drugie w dół.

Byłam pewna, że nie zauważyłam ich wcześniej, bo nie miałam na sobie naszyjnika. John sam powiedział, że kamień chroni właściciela przed złem.

1 już działał.

W głowie miałam tylko jedno pytanie: które schody zaprowadzą mnie jak najdalej stąd?

Wiedziałam, że będę musiała podjąć tę decyzję, kiedy przyjdzie czas.

- Hm - mruknęłam, kiedy dotarło do mnie, że jeśli nie odwrócę jakoś jego uwagi, to w ogóle nie będę

miała szans na ucieczkę. - Pewnie masz rację. Jestem... jestem po prostu niemądra.

Patrzył na mnie, nieco zdumiony moją nagłą zmianą podejścia.

- Naprawdę? - spytał. - Mówisz... mówisz serio?

- Jasne - odparłam. Jakimś cudem zdobyłam się nawet na łzawy uśmiech.

Uniosłam filiżankę, którą mi podał, jakbym naprawdę chciała się z niej napić.

Wtedy zrobił coś, czego nie robił przy mnie nigdy wcześniej. Coś straszego. Coś, co dowodziło, że mimo tego, co mówił wcześniej - o znajomości mojej natury -tak naprawdę wcale mnie nie znał.

Uśmiechnął się.

A ja zrobiłam coś, na wspomnienie czego serce wciąż ściska mi się w piersi. Coś, co wciąż prześladowuje mnie w snach. Coś, co nie mieści mi się w głowie i czego do dzisiaj bardzo żałuję.

Ale musiałam. Bo to łóżko i on, tak blisko mnie, i... jakie miałam wyjście?

Tyle tylko, że kiedy przypominam sobie ten uśmiech, serce mi pęka po troszeczkę.

Ale byłam taka wystraszona i taka młoda. Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić.

Więc zrobiłam pierwsze, co przyszło mi do głowy. Coś, czego na pewno chcieliby mój tato i moja mama, i nawet Akademia dla Dziewcząt.

Chlusnęłam mu gorącą herbatą w twarz.

I uciekłam.

*Tak, było, duch mój, podczas gdy ucieka,  
Pogląda za się na przebytą drogę,  
Co nie przepuści żywego człowieka.*

**Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń I**

Wybrałam kręte schody w dół, przekonana, że doprowadzą mnie z powrotem nad jezioro. Pamiętam - tak wyraźnie, jakby to było wczoraj - że z każdym krokiem miałam wrażenie, że serce mi eksploduje. Jak zapewniali mnie później psychiatrzy, to była epinefryna.

W następnej chwili patrzyłam już na moją mamę. Widziałam, jak na jej twarzy przerażenie zmienia się w rozpaczliwą udrekę, a potem w dziką, radosną nadzieję, kiedy jak robot odpowiadałam na pytania lekarza z oddziału ratunkowego.

Tak, wiedziałam, kim jestem. Tak, wiedziałam, kim jest moja matka, jaki jest rok i ile palców pokazuje doktor.

Żyłam. Uciekłam stamtąd - czymkolwiek było to miejsce.

Uciekłam od niego.

Wszystko, co było potem, działo się jak za mgłą. Operacja krwiaka w mózgu. Rekonwalescencja. Lekarze. Psychiatry.

Rozwód.

Bo oczywiście w końcu to nie tato mnie uratował. Uratowała mnie mama. Kiedy wróciła do domu z biblioteki i zawołała mnie, rozejrzała się po domu i wreszcie odkryła, gdzie przepadłam, to ona zanurkowała na dno basenu i mnie wyciągnęła. To jej wargi zsiniały, kiedy próbowała wdmuchnąć życie w moje zlodowaciałe ciało przez dwanaście minut, zanim przyjechała karetka. To jej mokre włosy przymarzły soplami do mojej twarzy.

Tato nawet nie wiedział, co się dzieje, dopóki nie usłyszał syreny karetki, po którą mama zadzwoniła z komórki. Wciąż prowadził telefoniczną konferencję.

- Ale to dobrze - powtarza zawsze tato - że woda w tym basenie była taka zimna! Inaczej już byś nie żyła. Tylko dzięki temu udało im się pobudzić twoje serce do pracy, jak już cię ogrzali.

Prawdę mówiąc, ma rację. Dzięki temu, że temperatura wody była bliska zeru, fizycznie całkowicie wyzdrowiałam.

To moje psychologiczne „problemy” wymagały pracy. Tym bardziej że wypisując mnie ze szpitala, kiedy doszłam już do siebie po operacji, mama spytała:

- A, kotku, od dawna chciałam cię zapytać. Skąd to się wzięło?

I położyła naszyjnik na moich kolanach. Ten naszyjnik. Ten, który ON mi dał.



- Skąd to masz? - spytałam, ściskając go w dłoni z nadzieją, że moja twarz nie zdradza przerażenia, które mnie ogarnęło.

- Przynieśli z resztą twoich rzeczy, kiedy przygotowywali cię do operacji - odparła. - Kiedy cię już przywrócili do życia. Chyba miałaś to pod kurtką. O mało im nie powiedziałam, że to pomyłka i że to nie twój, bo nigdy wcześniej go nie widziałam. Jest twój? Pożyczyłaś ten wisiołek od Hannah?

- Hm, nie. To... to prezent. - Jak to było możliwe? Jak kamień mógł wrócić ze mną? Szczególnie że wszyscy lekarze, którym opowiadałam, co widziałam podczas śmierci klinicznej, mój neurolog, chirurg, a nawet lekarze, którzy zaglądali przez weekend, żeby mnie zbadać, zapewniali mnie, że to był tylko straszny, koszmarny sen...

Ale w takim razie to nie był sen. To oznaczało, że...

- Prezent? - Mama była zajęta formularzami. Formularze zwykle wypełniał tato. Ale ona wygnała tatę ze szpitala. Jego widok tak bardzo wyprowadzał ją z równowagi, że, chociaż jeszcze o tym nie wiedziałam, zdążyła go nawet wyrzucić z domu. - Prezent od kogo? - spytała, przerzucając dokumenty leżące przed nią. Nie wiem, czy to dlatego, że ściskałam naszyjnik w dłoni, miałam dość rozumu, żeby odpowiedzieć właśnie tak, czy po prostu przekonałam się już, że lepiej nie mówić prawdy.

- Od koleżanki - wyjaśniłam, wpatrując się w niebieskoszarą głębię kamienia. Byłam zbyt zdenerwowana, żeby powiedzieć coś więcej.

Kamień oznaczał, że to była prawda. To wszystko było prawdą. On był prawdziwy. I chwała Bogu, że nie powiedziałam tej prawdy mamie. Chwała Bogu, że była tak zajęta rozwodem, że nigdy więcej nie wspomniała o naszyjniku. Chwała Bogu, że od tej pory zawsze nosiłam diament schowany pod koszulką. Byłam zbyt zdezorientowana tym, co jego istnienie na tym świecie mówiło o moim tak zwanym świadomym śnie, by komukolwiek się chwalić...

Może tylko raz, kiedy po powrocie do szkoły powiedziałam o tym Hannah. I nawet wtedy szybko okazało się to sporym błędem, który nauczył mnie trzymać język za zębami.

Ale jeszcze większy błąd popełniłam jakiś tydzień czy dwa później, kiedy mamę zatrzymali prawnicy taty i nie zdążyła odebrać mnie z wizyty kontrolnej. Czekaając na nią, bezwiednie zawędrowałam do sklepu jubilerskiego w tym samym kwartale co gabinet mojego lekarza. Gapiąc się od niechcenia na wyroby z szarego kwarcu, które akurat mieli w sprzedaży, widocznie odruchowo wyciągnęłam diament i zaczęłam się nim bawić. Mężczyzna za ladą zauważył go i skomentował jego urodę. Zaczerwieniłam się jak burak i spróbowałam go schować, ale było już za późno. Spytał, czy może przyrzeć mu się dokładniej, bo nigdy nie widział tak niezwykłego kamienia.

Co miałam zrobić? Pozwoliłam mu popatrzeć, ale nie zdjęłam łańcuszka z szyi. Od kiedy mama mi go oddała, nigdy go nie zdejmowałam. Nie wiem czemu. Ten kamień mnie fascynował. Nigdy nie przybierał konkret-

nej barwy, zdawał się wiecznie zmieniać. Teraz, kiedy trzymał go sprzedawca, jasnosrebrzysty kolor zastąpił głęboki fiolet deszczowej chmury.

Zanim się zorientowałam, facet za ladą powiedział, że musi go pokazać szefowi, który akurat jadł lunch na zapleczu. Że szef będzie zachwycony.

Nie wiem, czego się spodziewałam... ani dlaczego ogarnęła mnie tak silna pokusa, żeby uciekać.

Powinłam była słuchać intuicji. Powinłam była się zorientować, co próbuje powiedzieć mi kamień.

Ale się nie zorientowałam.

Kiedy asystent wyszedł, pojawił się szef sklepu, wycierający usta serwetką. Wtedy zobaczyłam, że mama zaparkowała samochód po drugiej stronie ulicy.

Ogarnęła mnie fala ulgi. Teraz miałam pretekst, żeby wyjść.

- Przyjechali po mnie. Muszę lecieć. Przykro mi...

Ale starszy jubiler zdążył już chwycić mój naszyjnik, więc byłam w pułapce - wisiałam nad szklaną ladą, przytrzymywana na złotym łańcuszku.

Wtedy stało się kilka rzeczy, niemal jednocześnie.

Spojrzenie jubilera stało się zimne, kiedy padło na kamień. Im niżej się nad nim pochylał, żeby się przyjrzeć, tym bardziej ja stawałam się nerwowa... i tym ciemniejsze stawało się serce diamentu. Moje zaczęło bić bardzo mocno.

I chociaż nie mogłam całkiem odwrócić głowy, bo jubiler trzymał mnie już prawie za szyję, przysięgłabym, że kątem oka dostrzegłam jego, stojącego na ulicy i patrzącego na nas przez witrynę.

- Masz w ogóle pojęcie, co nosisz na szyi, młoda damo? - spytał groźnie jubiler. I zaczął wyjaśniać niezrozumiałym, jubilerskim żargonem: - To jest szaro-niebieski bort typu fancy. Jeśli się nie mylę, jest wart prawdopodobnie od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów. Może więcej, jeśli da się udowodnić jego pochodzenie, bo dziwnie przypomina kamień, który już gdzieś widziałem.

Co ja mogłam powiedzieć? Kamień przybrał barwę hebanu. Delikatnie pociągnęłam za łańcuszek, mając nadzieję, że jubiler puści.

Ale on, oczywiście, chwycił jeszcze mocniej, więżąc mnie w swoim sklepie.

- Niestety - powiedziałam. - Naprawdę muszę...

- Nie powinnaś go nosić na ulicy - przerwał mi jubiler. - Powinien leżeć w depozycie. Powinienem ci go skonfiskować, choćby dla twojego bezpieczeństwa. Skąd go w ogóle wzięłaś? Rodzice wiedzą, że go masz?

Od wypadku minął zaledwie miesiąc. Wszyscy w szkole zaczęli już traktować mnie inaczej, bo zachowywałam się strasznie dziwnie, od kiedy zmartwychwstałam. Straciłam wszelkie zainteresowanie wyprawami do centrum handlowego i pracą w patrolach ratujących zwierzęta, którą kiedyś uwielbiałam. Powiedziałam Hannah dziwną rzecz, że zawsze będę ją chronić przed złem (oczywiście mówiłam o naszyjniku, ale ona o tym nie wiedziała). Niedługo miałam stracić rolę Królowej Śnieżki w szkolnym przedstawieniu.

Już wtedy powoli zamykałam się we własnej szklanej trumnie.

Ale jakimś cudem zdołałam rwącym się głosem wyjaśnić jubilerowi, że ten naszyjnik to rodzinne dziedzictwo. I że matka czeka na mnie w samochodzie na ulicy, a ja muszę w tej chwili do niej iść. Choć tak naprawdę bardziej przerażała mnie myśl, że wyjdę ze sklepu i być może spotkam Johna, niż bycie tutaj z tym wyjątkowo surowym jubilerem.

Wtedy usłyszałam dzwonki nad drzwiami, oznajmiające, że ktoś wchodzi do środka.

Serce mi struchlało. Nie. Błagam, nie.

- Nie wierzę ci - powiedział zimno jubiler. - Tak dla twojej wiadomości, mój asystent na zapleczu właśnie rozmawia przez telefon z policją. Zaraz tu będą. Więc twoja matka, jeśli rzeczywiście czeka na dworze, w co wątpię, bo jest oczywiste, że go ukradłaś, może tu wejść i się do nas przyłączyć, jeśli ma ochotę popatrzeć, jak cię aresztują za kradzież.

Tyle że moja matka nie miała ku temu okazji. Bo do akcji wkroczył John.

A ściany sklepu na moich oczach zaczęły przybierać kolor krwi.

- Przepraszam - powiedział John głębokim głosem, który był kompletnie nie na miejscu w tym małym, eleganckim sklepiku. On sam też wyglądał tu absolutnie nie na miejscu, złowrogo z tym swoim wzrostem, w czarnej skórzanej kurtce i dżinsach.

Myślałam, że zemdleję. Co on tu robił? Przyszedł zabrać mnie z powrotem, bo złamałam zasady? To dlatego kamień poczerniał? Żeby mnie ostrzec?

Jubiler zerknął na niego z irytacją.

- Mój asystent zaraz się panem zajmie.

- Nie, dziękuję - odparł John, jakby dziękował za orzeszki w samolocie. - Puść ją.

Żrenice jubilera poszerzyły się lekko. Ale nie puścił.

- Słucham? - W jego głosie brzmiało oburzenie. -Zna pan tę młodą damę? Bo ona...

Wtedy John - bez cienia gniewu czy irytacji ani jakiegokolwiek innej emocji - sięgnął nad ladą i chwycił rękę, którą jubiler mnie trzymał, jakby chciał zmierzyć mu puls.

Ale John nie mierzył mu pulsu. To absolutnie nie było to.

Jubiler zachłysnął się powietrzem. Szczeka mu opadła. Chłód zniknął z jego oczu. Zamiast tego wypełnił je strach.

Nie wiedziałam - wtedy - co robi John. W głowie ciągle jeszcze kręciło mi się od samej jego obecności.

Ale rozpoznałam, w odróżnieniu od jubilera, niebezpiecznie wysuniętą szczękę i determinację w jego oczach.

I niepokój, który mnie ogarnął, nie miał nic wspólnego z moim bezpieczeństwem.

- John - powiedziałam. Wyłuskałam kamień ze ściśniętych palców starszego mężczyzny i cofnęłam się od lady. Nie mogłam oderwać wzroku od twarzy jubilera. Zrobiła się szara jak papier. - Proszę cię. Cokolwiek robisz. Nie rób tego. Wszystko jest dobrze. Naprawdę.

Nie było dobrze. Było oczywiste, że absolutnie nie jest dobrze.

Ale okazało się, że powiedziałam dokładnie to, co trzeba, jako że John - zerknąwszy niespokojnie w mo-

ją stronę, jakby chciał sprawdzić, czy mówię prawdę -puścił nadgarstek jubilera. Ledwie to zrobił, tamten z trudem zaczerpnął tchu i zatoczył się do tyłu, przyciskając ręce do piersi. Nie on jeden. Ja też chwyciłam się za pierś, gdy John w następnej sekundzie spojrzał na mnie wzrokiem pełnym palącego wyrzutu... Tuż zanim w drzwiach zaplecza pojawił się asystent jubilera i powiedział:

- Okej, panie Curry, policja już jedzie... Boże drogi! A ja - ależ ze mnie tchórz - zawróciłam na pięcie i na oślep wypadłam ze sklepu, słysząc za sobą brzęczenie dzwonków nad drzwiami. Ale co innego miałam zrobić? Sterczeć tam, dopóki nie pojawią się gliny? Popędziłam prosto do czekającego samochodu mamy.
- Pierce - powiedziała mama, opuszczając komórkę i patrząc na mnie z zaskoczeniem, kiedy roztrzęsiona klapnęłam na fotel pasażera. - Jesteś. Właśnie próbowałam się do ciebie dodzwonić. Znowu zapomniałaś telefonu? Nie odbierałaś. Gdzie ty...
- Jedź - wysapałam. - Po prostu jedź.
- Co się dzieje? Nie spodobał ci się ten nowy lekarz? Matka Jennifer McNamary mówiła...
- Nie o to chodzi. Jedźmy już.

Następne godziny były torturą. Czekałam, aż policja - albo on - zjawi się pod naszymi drzwiami. Przecież ktoś musiał widzieć samochód, do którego wskoczyłam, i zapisał numer rejestracyjny mamy. A jeśli w sklepie pana Curry'ego były kamery? Ale policja się nie zjawiała.

Nie zjawił się też John.

I chociaż codziennie przeglądałam gazetę, łącznie z nekrologami, nigdy nie trafiłam na żadną wzmiankę o jubilerze.

Kiedy następnym razem byłam w tamtej okolicy, dowiedziałam się dlaczego. W witrynie sklepu jubilerskiego wisiała tablica „Do wynajęcia”. Kiedy spytałam o to ekspedientkę z sąsiedniego sklepu odzieżowego, powiedziała mi, że słyszała, że pan Curry dochodzi do siebie po zawale i wyprowadził się... całkiem możliwe, że na Florydę. Coś kojarzyła, że ma tam wnuki.

I chwala Bogu, bo wszyscy w okolicy nie cierpieli tego zrzędlivego starucha. A teraz może będzie tutaj przyzwoity sklep z butami, a ta sukienka genialnie by na mnie wglądała, nie mam ochoty przymierzyć?

Z tego, co udało mi się zrozumieć, kiedy przyjechała policja, asystent jubilera był pochłonięty reanimowaniem pana Curry'ego. Nie pamięta, że wezwał ich z powodu jakiejś dziewczyny, która być może miała skradziony naszyjnik... Nie mówiąc już o dziwnym mężczyźnie w skórzanej kurtce, który zniknął równie tajemniczo, jak ona.

Może to dlatego już nigdy nikomu go nie pokazałam.

Od tamtej pory trudno mi było pozbyć się wrażenia, że... że John mnie obserwuje. Może nawet chroni. Trochę nadgorliwie.

Szczególnie po tym, co stało się w szkole z Hannah i panem Muellerem.

Tylko nigdy nie mogłam pojąć dlaczego. Dlaczego zadawał sobie tyle trudu? Przecież uciekłam od niego.



A teraz, kiedy rzucił naszyjnik w labirynt naziemnych krypt cmentarza na Isla Huesos, zrozumiałam, że nie o to mu chodziło.

Powinłam była pójść go poszukać. Powinłam była, ale nie poszłam.

Bo kiedy uniósł rękę, żeby rzucić naszyjnik, dotarło do mnie, że - jak można było się spodziewać po kimś, kogo wyrzucono z Akademii dla Dziewcząt w Westport - wszystko źle zrozumiałam.

Oczywiście, to nie była moja sprawa. Już nie. On się o to postarał, ciskając mój naszyjnik na drugi koniec cmentarza. Ale ostatnio postanowiłam, że cudze sprawy już zawsze będą moimi sprawami. Był to element nowego początku, na którym tak zależało mamie.

A jego sprawy zawsze były moimi sprawami. On to wszystko zaczął. On przyszedł do mnie.

Przynajmniej za pierwszym razem.

Więc nie mogłam pójść szukać naszyjnika. Musiałam zostać. Nie miałam wyboru.

I dlatego, nie ruszając się z miejsca, spytałam:

- Co ci się stało w rękę?

*Jak ciężko słowem opisać ten srogi Bór,  
owe stromych puszczy pustynne dzicze,  
Co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi.*

**Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń I**

Patrzył na mnie, jakby podejrzewał, że zwariowałam. No cóż, dlaczego miałby myśleć inaczej niż wszyscy?

- Co? - Nadal wyglądał na wściekłego. Jego pierś, wznosząca się i opadająca gwałtownie, jakby biegł, dość dobrze o tym świadczyła.

Więc powinnam była dwa razy pomyśleć, zanim zrobiłam to, co zrobiłam - przesunęłam palcem po bliźnie, którą właśnie zauważyłam, wijącej się po wewnętrznej stronie przedramienia i znikającej w czarnym rękawie.

Nie powinnam była powiedzieć:

- Ta jest nowa.

Ale i tak powiedziałam.

Zabrał gwałtownie rękę, jakby mój palec był pod napięciem.

- Przestań. - Popatrzył na mnie wściekle. - To nic.

- Nie wygląda na nic - odparłam z niepokojem. Zaczynałam powoli kojarzyć fakty i nie podobało mi się to, co z nich wynikało. - To są konsekwencje?

Zmrużył oczy.

Czułam ciepło jego ciała i zapach, który tak dobrze pamiętałam - drzewnego dymu i czegoś, co kojarzyło mi się z jesienią.

- Ja nie jestem ptakiem - powiedział złowróżbnym głosem. - Nie potrzebuję żadnej pomocy ani od ciebie, ani od nikogo innego. Twoja matka wie, gdzie teraz jesteś?

Zabawne, że wspomniał o mojej matce. Bo właśnie jej głos słyszałam w głowie, ponagłający mnie, żeby powiedzieć mu to, czego nie powiedziałam ostatnim razem, tego strasznego dnia w szkole... to, czego nie pozwolił mi powiedzieć. Odszedł, zanim zdążyłam.

No cóż, musiał. Jechała do nas policja. Znowu.

Oczywiście moja matka nie wiedziała o nim nic, z wyjątkiem tego, w co wierzyli psychiatrzy (i, jak się okazało, babcia), że nie jest prawdziwy.

Ale gdyby mama wiedziała o nim to co ja, chciałaby, żebym to powiedziała. Było jasne, że powinnam mu to powiedzieć, teraz bardziej niż kiedykolwiek, bo zrozumiałam, że moje pierwsze wrażenie co do niego nie było takie znów dalekie od prawdy:

Był dzikim stworzeniem, jak ten gołąb, którego znalazłam, rozpaczliwie potrzebującym pomocy, nawet jeśli się na nią nie godził.

I choć moja pomoc mogła wyrządzić mu jeszcze większą krzywdę, musiałam przynajmniej spróbować.

Więc powiedziałam mu to, co zapewne powinnam była powiedzieć dawno temu:

- Przepraszam.

Zmrużył oczy jeszcze bardziej.

- Słucham?

- Przepraszam - powtórzyłam głośniej. - Za to, co ci zrobiłam tego dnia, kiedy umarłam. Jeśli były jakieś... konsekwencje. Szczególnie jeśli ty je poniosłeś.

Nie odpowiedział, tylko dalej patrzył na mnie z góry, jakbym to ja była socjopatką z zaburzeniami osobowości. Bo kto daje dziewczynie naszyjnik, który zmienia barwy jak niebo - czasem jest szary jak lutowy poranek, innym razem czarny jak północ - a potem rzuca nim po cmentarzu? Tylko dlatego, że ona bardzo grzecznie próbuje go zwrócić, bo podejrzewa, że ofiarodawca może ponosić jakieś konsekwencje jej czynów?

Ale dlaczego tylko ja przepraszałam? Miło byłoby usłyszeć „przepraszam” i od niego.

Bo naprawdę był dla mnie wredny tego dnia, kiedy spotkaliśmy się po raz drugi.

Owszem, po części wynagrodził to tym, co dla mnie zrobił w sklepie jubilerskim i później, w szkole, z panem Muellerem.

Ale mimo wszystko. Tak wiele straciłam. Fakt, odzyskałam życie. Ale co ze wszystkimi rzeczami, których nie odzyskałam? Jak na przykład małżeństwo rodziców albo Hannah. Już pierwszego dnia po wyjściu ze szpitala odtrąciła mnie, moja była najlepsza przyjaciółka Hannah Chang. Bo powiedziałam jej, że szwendanie się po centrum handlowym i wypatrywanie kolegów

jej brata, a także nasza zabawa we „wstrzymaj oddech, kiedy przechodzisz koło cmentarza, bo opętają cię złe duchy” jest głupia i nie mam zamiaru tego więcej robić.

To prawda, że w wieku piętnastu lat i tak byłyśmy za stare na takie rzeczy.

Ale tylko pogorszyłam sprawę, kiedy radośnie ją poinformowałam: „Nie przejmuj się złem, Hannah. Teraz je widzę. I ochronię cię przed nim”.

Nic dziwnego, że nazwała mnie wariatką. Od tej pory wszyscy w szkole zaczęli mnie tak nazywać. Chyba nie mogę mieć im tego za złe. Dlaczego nie mieliby nazywać wariatką dziewczyny, która twierdzi, że widzi zło i potrafi chronić przed nim ludzi? Tym bardziej że później tak spektakularnie zawaliłam to ostatnie.

Wiem, że Hannah nazwała mnie wariatką, bo się o mnie martwiła. Musiała pomyśleć, że po wypadku i wyjściu ze szpitala zachowuję się jak... cóż, jak wariatka.

To wtedy nauczycielka aktorstwa zdała sobie sprawę, jak wielki popełniła błąd. Rolę Królowny Śnieżki dała Hannah Chang, a ze mnie zrobiła asystentkę reżysera.

Hannah powiedziała mi, że jej przykro, i wiedziałam, że to prawda. Przyjaciele czasem się rozstają, stwierdziła. Jak ona i Odważniak. Po prostu nie miała już czasu na konie, wyjaśniła. Zajęła się innymi sprawami. Jak koszykówka. I chłopaki.

Zapewniłam ją, że wszystko w porządku. Wtedy byłam już zbyt szczelnie zamknięta w swojej szklanej trumnie, żeby się tym przejmować. I nią, i złem, przed którym obiecałam ją chronić, i faktem, że wszyscy uważali mnie za wariatkę.

Dopiero w następnym roku dotarło do mnie, jak strasznie wszystko zawałam.

Ale wtedy było już za późno dla Hannah, oczywiście.

Wiedziałam, że o to wszystko nie wolno mi obwiniać Johna. Tylko w bajkach królowna może sobie pozwolić na czekanie, aż oswobodzi ją przystojny książę. W prawdziwym życiu sama musi się wyrwać z trumny i ratować na własną rękę.

A poza tym, kto przy zdrowych zmysłach uznałby Johna za księcia z bajki? Był przeciwieństwem księcia z bajki. Prędzej nadawał się na księcia z koszmaru.

Ale... może nie mógł nic poradzić na to, że był przerażający.

Tak jak ja nie mogłam nic poradzić na to, jaka jestem, i że zareagowałam na niego w taki, a nie inny sposób, kiedy miałam piętnaście lat.

- Przepraszam nie tylko dlatego - powiedziałam, zastanawiając się, czemu teraz, kiedy jestem starsza, wciąż nie wiem, jak z nim rozmawiać - że zrobiłeś to, co zrobiłeś u jubilera, i później, w mojej szkole. Tym razem, zamiast przekrzywić głowę, uniósł tylko jedną ciemną brew. To nie ułatwiało mi sprawy. Wciąż nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy.

- To nie ma z tym nic wspólnego - powiedziałam, kiedy wciąż milczał. - Oczywiście, jestem wdzięczna. Naprawdę. Przepraszam, że wtedy ci nie podziękowałam. Zrobiło się trochę... zamieszania, jak zniknąłeś.

Zamieszanie absolutnie nie było odpowiednim słowem, żeby opisać tornado, jakie John zostawił po sobie

tego dnia, kiedy zjawił się w Akademii dla Dziewcząt w Westport.

- I dlatego ty i twoja matka jesteście tu teraz. I zaczynacie wszystko od nowa.

- No właśnie - odparłam. - Więc nie będę cię potrzebować w mojej nowej szkole. A tak dla twojej wiadomości, tamtą sytuację w Westport miałam pod kontrolą, dopóki się nie pokazałeś.

Teraz uniósł obie brwi.

- Naprawdę - upierałam się. - Nie potrzebowałam twojej pomocy. Właśnie po to była kamera...

Przy słowie „kamera” jego ręka wystrzeliła tak szybko, że widziałam tylko zamazaną smugę. Zanim się zorientowałam, chwycił mnie za ramię - jego uścisk nie był właściwie bolesny, ale nie był też delikatny - i przyciągnął mnie do siebie.

Okiennice, które zasłaniały jego oczy, nareszcie znów się otworzyły - tylko na moment.

- Jaka kamera? - spytał gniewnie.

- Kamera - wymamrotałam, myśląc już, że chyba nie powinnam była o tym wspominać - którą zainstalowałam w plecaku...

Stwierdzenie, że osłupiał, byłoby niedopowiedzeniem roku.

- Chcesz mi powiedzieć, że to zaplanowałaś? - spytał. - To, co zaszło między tobą i tym nauczycielem? To było specjalnie? Chciałaś, żeby on ci to zrobił?

Może jednak mnie nie śledził. Bo gdyby śledził, przecież by o tym wiedział.

- No - potwierdziłam; zaschło mi w ustach. - Tak. -Po czym, zanim zdążył wybuchnąć, a widziałam, że jest na granicy, dodałam szybko: - To był jedyny sposób, żeby zdobyć dowód, jaki naprawdę jest pan Mueller, bo nikt nie wierzył, że on i Hannah mieli...

Głos utknął mi w gardle, bo kiedy spojrzałam w jego twarz, zobaczyłam, że jego usta zamieniły się w cienką linię... taką samą, jak wykres pracy mojego serca tego dnia, kiedy wpadłam do jego świata.

Wiedziałam, że nie jest dobrze. Było bardzo, bardzo źle.

- Ale nie zamierzałam dopuścić, żeby to zaszło tak daleko - dodałam pośpiesznie. - Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co się stało...

Ścisnął mocniej moje ramię.

- Jak w ogóle mogłaś się wpakować w taką niebezpieczną sytuację? - spytał ze złością. - I to dla czegoś tak głupiego? Zdajesz sobie sprawę, co mogło ci się stać?

No, owszem. Zdawałam sobie... teraz. Wtedy nie miałam najbledszego pojęcia, bo inaczej nie próbowałabym tego numeru.

Spróbowałam zbagatelizować sprawę.

- Tak naprawdę to nie było aż takie...

- W ogóle nie powinnaś tam być - wycedził przez zęby. - Tak jak nie powinnaś być tutaj w tej chwili. Zanim się obejrzałam, zaczął mnie odciągać od krypty.

- Brama cmentarza jest w nocy zamknięta - mruknął. Kwiaty poincjany eksplodowały pod jego czarnymi buciorami.



Ledwie go słyszałam. To prawda, że kiedyś jakimś cudem zdołałam uciec - jemu i śmierci. Ale udało mi się dzięki defibrylatorowi i zastrzykowi epinefryny w prawdziwym świecie... A przynajmniej tak twierdzili lekarze. Moja ucieczka nie miała nic wspólnego z czymkolwiek, co zrobiłam w jego świecie, mówili. Bo jego świat nie był realny.

Tylko że był. I wiedziałam to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Jak ty tu w ogóle weszłaś? Ogrodzenie ma ponad dwa metry. I szpikulce na szczycie - mrucał pod nosem.

Nie chciałam mówić nic, co rozniewałoby go jeszcze bardziej... Na przykład tego, że wcale nie było tak trudno wspiąć się na ogrodzenie, kiedy przyturlałam jeden z tych wielkich pojemników na śmieci z zieloną pokrywą, które stały dosłownie wszędzie.

I że to nie moja wina, że rodzina Dolores Sanchez, Ukochanej Żony Rodriga, postanowiła wybudować swoją kryptę tak blisko wewnętrznej strony ogrodzenia, zapewniając mi doskonale lądowisko.

Czy powinnam ryzykować, że znów go rozzłoszczę, i mówić mu, że nawet gdyby policja zrozumiała, co było na tym filmie (a nie rozumiała), to i tak nie mogliby go znaleźć i przesłuchać? Departament policji w Westport nie wiedział, gdzie mieszka John. Ciekawe, czy ktokolwiek oprócz mnie wiedział. Ale ja chciałam zadać mu parę pytań. Skąd wiedział, że musi zjawić się tamtego dnia dokładnie w chwili, kiedy potrzebowałam go najbardziej? Czy to naprawdę dzięki naszyjnikowi, jak powiedział, potrząsając nim

przed moją twarzą? Czy to dlatego wiedział poprzednim razem, u jubilera?

Ale czemu w ogóle się przejmował, skoro wciąż tak serdecznie mnie nienawidził za to, co mu zrobiłam?

Teraz jednak chyba nie był najlepszy moment, żeby pytać o to czy o cokolwiek innego.

- To wszystko nie jest moja wina - powiedziałam, kiedy ciągnął mnie tak szybko, że o mało nie pogubiłam japonkę. Chociaż to nie było moje największe zmartwienie.

- Och, doprawdy? - zakpił, odwracając głowę, żeby rzucić mi wściekłe spojrzenie. - Jak to nie twoja wina?

- Ja tylko umarłam - powiedziałam. - A potem, kiedy nadarzyła się okazja, żeby jednak nie być martwą, skorzystałam z niej. Każdy zrobiłby to samo.

Odwrócił się całkiem i spopielił mnie wzrokiem.

- No tak. Całkowicie panowałaś nad sytuacją.

- Co to miało znaczyć? - spytałam, urażona jego tonem. - Panowałam. Przecież uciekłam, nie? I mówiłam ci, że byłam przerażona. Nie chciałam ci zrobić krzywdy. To nie było nic osobistego. Dlatego przyszłam tu dzisiaj. Żeby przeprosić. Chcę ci pomóc. Oddałam ci naszyjnik. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

- Powiem ci, co możesz zrobić. - Zatrzymał się gwałtownie. Chwycił mnie za oba ramiona. Ale i tym razem nie po to, żeby mnie pocałować. Tylko po to, żeby mnie obrócić i znów zabijać mnie wzrokiem.

- Możesz zostawić mnie w spokoju.

Łzy znów napłynęły mi do oczu. To tego ode mnie chciał? Żebym trzymała się od niego z daleka?

To spotkanie okazało się jeszcze większą katastrofą niż tamto, kiedy umarłam. A nadal oddychałam, więc teoretycznie mogło być jeszcze gorzej.

- Chciałabym - powiedziałam. Oprócz jego głębokiego, pełnego dezaprobaty głosu, słyszałam tylko dudnienie własnego serca w uszach. Głupia, głupia, głupia, mówiło moje serce. - Tylko za każdym razem, kiedy próbuję, ty znowu się pojawiaasz i zachowujesz jak kompletny... kompletny...

- Kompletny co? - spytał ze złością. Dosłownie wyzywał mnie, żebym to powiedziała.

Me, ostrzegł mnie w głowie głos mamy. *Nie mów tego.*

- Palant.

Kiedy to słowo wychodziło z moich ust, wiedziałam, że nie jest ani zręczne, ani delikatne. Szczególnie że starałam się poukładać nasze sprawy. Bo mieliśmy mieszkać na tej samej wyspie. No i, bądź co bądź, on uratował mi życie, przynajmniej tamtego dnia z panem Muellerem.

No, może nie życie. Ale coś z pewnością uratował.

Jednak jakimś cudem, przeprosiwszy go, skopałam wszystko jeszcze bardziej.

Jakby sytuacja nie była jeszcze dość fatalna, po wypowiedzeniu tego słowa uniosłam rękę do tej świeżej blizny, którą dostrzegłam na jego prawej ręce.

Nie mogłam się powstrzymać. Nigdy nie byłam w stanie trzymać się z daleka od rannych stworzeń.

I to był ostateczny błąd, jaki popełniłam tego wieczoru.

Jego usta wykrzywił bardzo nieładny grymas, dowodzący, że w jednej kwestii miałam rację: on nigdy nie będzie niczym księciem z bajki.

- Nie musisz się już o to martwić - wypalił, zabierając rękę, jakby mój dotyk był jadowity - bo już mnie więcej nie zobaczysz.

W tej chwili dotarło do mnie kilka faktów. Pierwszy, że jego oczy nie były już martwe. Były równie żywe, jak przewody pod napięciem, i równie niebezpieczne.

Drugi fakt dotarł do mnie powoli, kiedy spojrzałam na palce ściskające moje ramię; palce, na które rozsypały się ciemne pasma moich włosów, uwolnionych spod spinki.

To nie były miękkie, gładkie dłonie ludzi w naszym wieku, dla których jedyną „pracą” jest pisanie SMS-ów albo poruszanie joystickiem.

Dłonie Johna zaznały pracy - prawdziwej, ciężkiej pracy. To były dłonie, które walczyły.

I nie tylko walczyły, zrozumiałam tego wieczoru.

To były dłonie, które zabijały.

Jakaś część mnie musiała to wiedzieć przez cały czas. Ale tak naprawdę dopiero dziś to do mnie dotarło.

I oczywiście było już dużo, dużo za późno.

*W życia wędrówce, na polowie czasu,  
Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi,  
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.*

### **Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń I**

Kiedy wróciłam do domu, mama powiedziała:

- Och, cześć, kotku. Dobrze, że wróciłaś przed burzą. Wygląda na to, że lunie lada chwila. Miałaś przyjemną przejażdżkę?

- Tak - powiedziałam. Odwróciłam się i zamknęłam drzwi. Przekreśliłam i gałkę, i zamek.

Potem wcisnęłam guzik „Aktywuj” w alarmie i wprowadziłam kod. Nasz kod to nasze inicjały plus rok, w którym uczelnia mamy wygrała mistrzostwa NCAA. Mama całkiem nieźle radzi sobie z rozczarowaniem, że ja prawdopodobnie nie dostanę się na żadną uczelnię, nie mówiąc już nawet o tej, na której poznała tatę.

- Hm, kotu - zagadnęła mama z dziwną miną. - Co ty robisz?

- Włączam alarm. - Serce wciąż tłukło mi się w piersi. Kiedy tylko wsiadłam na rower, popędziłam prosto do domu. Nie zatrzymałam się nawet, żeby przypiąć rower czy wyłączyć światła; przypominałam sobie to

teraz, unosząc zasłonę w jednym z okien w holu, żeby sprawdzić, czy John za mną nie przyszedł. -  
Bezpieczeństwo jest najważniejsze.

- Kotku. - Mama wcisnęła guzik „Wyłącz” w panelu i znów wprowadziła kod. - Część gości jeszcze tu jest. Więc może zaczekamy z alarmem, dopóki sobie nie pójda? Okej?

Kiwnęłam głową, wciąż wyglądając przez okno. Ani mi się śniło wracać tam, żeby wyłączyć światła w rowerze. Mogły sobie mrugać całą noc. Jeśli się przepala, po prostu kupię nowe. To nic wielkiego. A jak ukradną mi rower, co z tego? Zwyczajnie poproszę tatę, żeby kupił mi nowy. To wszystko i tak była jego wina. Tak uważa mama.

Już nigdy nie wyjdę na dwór.

Przynajmniej dopóki on tam jest.

- Kotku? - spytała mama. - Wszystko w porządku?

- Jasne, mamó - powiedziałam, opuszczając zasłonę. - Wszystko super. Dobrze się bawisz na swoim przyjęciu?

- To twoje przyjęcie, kochanie - odparła z uśmiechem. - I bawię się świetnie. Tak miło znowu wszystkich zobaczyć. Zdaje się, że nawet wujek Chris dobrze się bawił...

- To fajnie, mamó - przerwałam jej. - Wiesz, jestem strasznie zmęczona. Idę spać. - Zamierzałam naciągnąć kołdrę na głowę i nigdy spod niej nie wyłazić.

- Och. - Mama zrobiła rozczarowaną minę. - Nie chcesz się ze wszystkimi pożegnać? Wujek Chris czekał specjalnie na ciebie; on, babcia i Alex już wybierają się

do domu. A Alex chce się upewnić, że nie masz więcej pytań na temat jutrzejszego rozpoczęcia roku. Pomyślałam, że to miło z jego strony.

Już na samą myśl, że jutro zaczyna się szkoła, miałam ochotę poobgryzać sobie wszystkie paznokcie. Ale mama zabrała mnie wczoraj na specjalny, inauguracyjny manikiur-pedikiur, więc musiałam utrzymać ręce z dala od ust.

- Jestem naprawdę padnięta. To pewnie przez to całe zamieszanie z przyjęciem. Podziękuj Alexowi, ale zobaczę się z nim jutro rano, jak po mnie przyjedzie. Dobranoc, mamo.

Wbiegłam po schodach, zanim zdążyła jeszcze coś dodać.

Rozwalił bramę cmentarza.

Rozbił zamek jednym wściekłym kopniakiem ciężkim, czarnym butem. Kiedy brama otworzyła się z trzaskiem, wypchnął mnie za nią.

- Wynoś się - rzucił złowrogim, niskim głosem. - Słyszysz mnie, Pierce? Wynoś się i nigdy nie wracaj. Tu nie jest dla ciebie bezpiecznie. Chyba że naprawdę chcesz umrzeć. Tym razem na dobre.

Kiedy tylko to powiedział, potężna błyskawica rozświetliła chmury, a potem rozległ się grzmot tak głośny, że myślałam, że niebo pęknie na dwoje. Huk zagłuszył skrzypienie bramy, która się za mną zamknęła.

Byłam tak wdzięczna, że stamtąd uciekam, że nie oglądając się, pobiegłam do przypiętego roweru.

Teraz, stojąc pod prysznicem, w strumieniach wody tak gorącej, że niemal parzyła, zastanawiałam się:

Czy to wszystko stało się naprawdę? Jak to możliwe? Nikt nie może rozbić kopniakiem zamkniętej bramy - a czarna, kuta brama cmentarza Isla Huesos była ogromna; dość duża, by wpuścić karawan, a jej pręty były grube i mocne jak więzienne kraty.

W każdym razie nikt z tego świata.

Nie chciałam o tym myśleć.

I nie mogłam myśleć o niczym innym.

Czy ja naprawdę go widziałam... rozmawiałam z nim... dotykałam go... byłam dotykana przez niego? Spojrzałam na nagą skórę ramion, tam gdzie były te mordercze palce. O dziwo nie zostawiły śladu, choć wcześniej przysięgłabym, że spaliły ciało do kości.

Nie miałam już nawet naszyjnika, żeby udowodnić sobie, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Przepadł - „tym razem na zawsze”, jak powiedział John - bo z pewnością nie miałam zamiaru więcej postawić nogi na cmentarzu. Może znajdzie go jakiś turysta. Pewnie trafi na aukcję internetową albo do lombardu.

Kiedy wyszłam spod prysznic i owinęłam się jednym z grubych, białych ręczników, które wybrał dla mamy dekorator wnętrz, pokręciłam głową. To już nie miało znaczenia. Wiedziałam, co widziałam, co czułam. Nie potrzebowałam świecidełka, żeby to udowodnić. Ani sobie, ani nikomu innemu.

Dzisiejsze spotkanie tylko pogorszyło sprawę. Moje przeprosiny za to, co mu zrobiłam, okazały się kompletnym niewypałem, jak pusta *piñata* na urodzinach pięciolatki.



Z drugiej strony, nie usłyszałam żadnych przeprosin z jego ust. Więc dlaczego w ogóle się przejmowałam? Faceci naprawdę potrafili być palantami. Przynajmniej tak wynikało z moich obserwacji. Mama z pewnością tak uważała. Dlatego spakowała nas obie i przeniosła się na Isla Huesos. Bo nie byłam jedynym stworzeniem, któremu tato pozwolił umrzeć przez zaniedbanie.

- Isla Huesos, Deb? Naprawdę? - podsłuchałam, jak powiedział do niej któregoś razu, kiedy przywiózł mnie po jednym z naszych ostatnich wspólnych lunchów (oczywiście nakazanych przez sąd, ale ja nie miałam nic przeciwko). Żadne z nich nie wiedziało, że jestem za drzwiami i podsłuchuję. Jasne, podsłuchiwanie nie jest w porządku. Ale jak inaczej miałam się dowiedzieć, co się dzieje? - Myślisz, że to miała na myśli ta psycholog, kiedy mówiła o miejscu lepiej dostosowanym do jej potrzeb?

- To nie może być dla niej gorsze niż Connecticut -odparła mama.

- Tego nauczyciela nie zwalisz na mnie, Deb - rzucił zaczepnie tato. - To wyłącznie twoja wina.

Słyszałem, jak ją naciskasz, żeby skorzystała z jego korepetycji...

- Skończ już - powiedziała mama. Teraz to jej głos brzmiał agresywnie. - Zabieram ją do domu.

Koniec pieśni.

- Oczywiście, że ją zabierasz. Jedziesz ratować ptaki.

- Ktoś musi - rzuciła spiętym głosem.

- To nic nie da, Deb. To jak kropla w morzu. Ale jedziesz chyba raczej dlatego, że on znów jest wolny.

Teraz mama naprawdę się wkurzyła.

- Myślałam, że masz teraz do roboty inne rzeczy niż sprawdzanie w Internecie stanu cywilnego moich byłych chłopaków.
- Lubię obserwować ich zwyczaje godowe - odparł tato - tak jak ty obserwujesz warzęchy.
- Warzęchy - wypaliła mama - nie mają już godów. Większość z nich umiera. Dzięki tobie.
- Och, na litość boską, Deborah. Myślisz, że to też zrobiłem celowo?
- Jak inne sprawy, które mogłabym wymienić. Ten wyciek ropy by się nie wydarzył, gdybyś trochę uważał.

Auć.

Ale tato nie mógł temu zaprzeczyć, chociaż na pewno bardzo by chciał. To był jeden z powodów, dla których ciągle pojawiał się w telewizji. Firma taty była przynajmniej po części odpowiedzialna za zrujnowanie ekonomii dziesiątków społeczności wokół Zatoki Meksykańskiej, łącznie z Isla Huesos. Turyści nie chcieli spędzać wakacji w miejscu, gdzie ich wypożyczone skutery wodne mogły trafić na plamy ropy. Panny młode nie chciały mieć kluch smoły na swoich ślubnych zdjęciach. Wędkarze nie chcieli już czarterować łodzi i łowić ryb w miejscach, gdzie tak wiele gatunków morskich zwierząt uznano za niezdadne do spożycia z powodu dyspergatora\*, którego firma taty używała z tak nieodpowiedzialnym rozmachem.

- Jest całkowicie bezpieczny - zapewniał tato w programach telewizyjnych. - Został przetestowany!

\* **Środek chemiczny, używany między innymi do rozpraszania plam ropy (przyp. tłum.).**

Ale pewnego razu w wiadomościach dziennikarz podał tacie talerz krewetek, mówiąc, że zostały złowione w wodach, w których używano dyspergatora. Poprosił go na antenie, żeby sam skosztował, skoro to takie bezpieczne. Wtedy tato zrobił się strasznie czerwony i powiedział, że lekarz zakazał mu jeść krewetki z powodu podwyższonego cholesterolu.

Tato nie miał podwyższonego cholesterolu.

Byłam ciekawa, kim był ten „on”, o którym wspomniał tato. Nie chciałam mamie zawracać głowy, bo miała już wystarczająco dużo problemów - warzęchy, przeprowadzkę, wujka Chrisa, no i oczywiście mnie.

I dlatego, kiedy przed pójściem spać uniosłam zasłonę w mojej sypialni i zobaczyłam mężczyznę stojącego przy basenie, nic jej o tym nie powiedziałam.

Wtedy wszyscy goście z przyjęcia rozeszli się już do domów, a mama dawno była w łóżku.

Tymczasem burza nadciągnęła z pełną siłą. Wysiadł prąd, jak to się często zdarzało na Isla Huesos, tak daleko od lądu.

I to by było tyle, jeśli chodzi o nasz alarm anty-włamaniowy.

Deszcz lał się jak z cebra. Nasz mały, nerkowaty basen w ogrodzie prawie się już przelewał, a wiatr miotał liśćmi palmowymi jak stronami gazety.

Kiedy błyskawica zmieniła ciemność w ogrodzie w biały dzień - tylko na sekundę - mogłabym przysiąc, że widzę Johna, stojącego tam i patrzącego na mnie.

Bo to mógł być tylko on. Kto inny zdołałby tu wejść?

Tato zgodził się, żebym zamieszkała w innym sta. nie, pod warunkiem że mama pośle mnie do szkoły

z programem dopasowanym do moich szczególnych potrzeb i kupi dom na zamkniętym osiedlu. Wiedział, jak bardzo będzie to wbrew jej liberalnym przekonaniom. Dolphin Key było jedynym takim osiedlem na Isla Huesos. Przy bramie - jedynym wejściu z naszej ulicy - dwadzieścia cztery godziny na dobę stał ochroniarz. Hiszpański mur, który otaczał nasz nowy dom, miał prawie cztery metry wysokości. Nikt nie potrafiłby się na niego wspiąć bez drabiny. Ale mury i ochroniarze nie mogli powstrzymać kogoś takiego jak John. Tylko dlaczego miałby stać na deszczu pod oknem mojej sypialni, skoro powiedział mi, że bym zostawiła go w spokoju? Nie wspominając już o tym, że prosto w twarz nazwałam go palantem. Dlaczego w ogóle zachciało mi się przeproszać za to, co mu zrobiłam? On mnie zrobił coś o wiele gorszego. Dlaczego nie umiałam go nienawidzić, chociaż powinnam? Może dlatego, że John był jak ptaki mamy: dzikie stworzenia. Nic nie mógł poradzić na to, jaki jest. I wiedziałam, że nigdy się z nim nie dogadam. Jak powiedział tato, po co w ogóle próbować? Tym bardziej że najwyraźniej, uciekając, złamałam zasady, o których John tak tajemniczo mówił. Było jasne, że zostanę za to ukarana, najprawdopodobniej przez niego... albo przez te Furie, o których wspomniał. Nie da się uciec śmierci. Po wypadku przeczytałam na ten temat wszystko. Śmierć wcześniej czy później po ciebie przyjdzie.

Ale kiedy po kilku sekundach znów się błysnęło, zobaczyłam, że postać zniknęła. Może w ogóle nigdy jej tam nie było. Może tylko moja wybujała wyobraźnia, o której wszyscy mówili, znów płatała mi figle.

Opuściłam zasłonę i wróciłam do łóżka. To było takie głupie. Powinnam czuć się dobrze. Oddałam naszyjnik, który wzięłam, choć nie powinnam, i powiedziałam wszystko, co w moim przekonaniu powinnam była powiedzieć. Dosłownie i w przenośni zdjęłam z siebie ciężar, który powinnam była zdjąć. Zaczynałam wszystko od nowa tak jak mama.

John nawet przyjął moje przeprosiny! Może trochę niechętnie, ale przyjął. On też ruszył z miejsca, co zademonstrował, rzucając naszyjnik na drugi koniec cmentarza i mówiąc mi, żebym trzymała się od niego z daleka.

A później, kiedy poszłam do okna łazienki, żeby sprawdzić, jak ma się rower, zobaczyłam, że ktoś go przypiął i wyłączył lampy. Powiedziałam sobie stanowczo, że zrobił to pewnie wujek Chris albo Alex, kiedy opuszczali przyjęcie. Niemożliwe, żeby to był John. Dlaczego miałby robić dla mnie coś tak miłego, skoro zbyt jasno dał mi do zrozumienia, że mnie nienawidzi i chce, żebym zniknęła z jego życia?

Więc dlaczego, kładąc się do łóżka, czułam się gorzej, a nie lepiej? Nie miałam poczucia, że zamknęłam sprawę, i ani trochę nie ustąpiło moje... przerażenie - to było jedyne właściwe określenie. Od kiedy postawiłam nogę na tej wyspie, czułam tylko to: ucisk na karku, jakby miało się stać coś straszego.

Ale coś strasznego już się stało! Spotkałam się z nim. Było po wszystkim!

Więc dlaczego miotałam się przez pół nocy i nie mogłam spać? A powodem nie były wcale grzmoty. To wyglądało niemal tak - ale to nie mogło być prawdą, bo było potwornie głupie - jakby brakowało mi znajomego ciężaru diamentu na szyi.

Co się ze mną działo? Dlaczego nie mogłam się wczuć w nowy początek mamy?

Kiedy następnego ranka podziękowałam Alexowi, wsiadając do jego samochodu, spytał za co.

- Za rower - powiedziałam. - Nie przypiąłeś go wczoraj wieczorem, jak od nas wychodziłeś? I nie wyłączyłeś świateł?

- Hm, nie. Wyszedłem chyba jakoś zaraz po tym, jak wróciłaś, bo twoja mama powiedziała, że poszłaś na górę. A w ogóle dzięki, że się pożegnałaś. I że sobie pojechałaś, zostawiając mnie z babcią. To było przemile. W każdym razie twój rower już był przypięty i miał wyłączone światła. Myślałem, że ty to zrobiłaś.

- Nie - odparłam. Nagle zrobiło mi się zimno. Tylko że klimatyzacja w samochodzie Alexa (zwanym przez babcię kupą złomu) była zepsuta, więc musieliśmy jechać z otwartymi oknami, a na dworze było już dwadzieścia siedem stopni. - Nie przypięłam go.

- Hm - mruknął Alex. - Rzeczywiście dziwne. Ale nie najdziwniejsze. - Zatrąbił na turystów, którzy wleźli na środek jezdni, żeby zrobić zdjęcie wielkiego figowca. - Ej, co oni sobie myślą, że to Main Street w Disney-

worldzie? Niektórzy naprawdę tu mieszkają. - Zatrąbił jeszcze parę razy.

- A co jest najdziwniejsze? - spytałam, kiedy turyści umknęli z drogi, a Alex wcisnął gaz do dechy.

Nie byłam pewna, czy chcę to usłyszeć.

Ale nie byłam też pewna, że nie chcę.

- A, tylko to, że na waszym chodniku, na całej długości, były uschnięte płatki poincjany. Tak sobie po prostu leżały. I to było przed burzą. Więc nie przyniósł ich wiatr. Pomyślałem, że to trochę dziwne, bo na waszej ulicy nie rosną poincjany. Więc skąd się tam wzięły?... Zresztą, nieważne. - Podkręcił radio.

- Gotowa do szkoły?

Przełknęłam ślinę.

- Nie.

*Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy,  
Bo mną owładła senność jakaś duża  
W chwili, gdy drogi zaniechałem prawej.*

**Dante Alighieri *Piekło, Pieśń I***

Mama zapisała mnie do uznanego w całym kraju (i tylko dlatego tato się zgodził, inaczej groziła mi szkoła z internatem w Szwajcarii) programu w Liceum Isla Huesos, zwanego Nowe Drogi.

Nowe Drogi były dla uczniów z „problemami”. Chłopaków jak Alex, którego tato właśnie wyszedł warunkowo z więzienia, a mama właściwie się nie pokazywała, od kiedy się urodził, więc całe życie mieszkał z babcią, która prowadziła jedyny na wyspie sklep z robótkami ręcznymi, Manja Dzierganja. Tak, było tak fatalnie, jak się wydaje.

Nowe Drogi były też dla dziewczyn takich jak ja, które umarły i wróciły do żywych z trochę trudnym charakterem.

Naprawdę. Nowe Drogi: cokolwiek ci dolega, one cię wyleczą (to nie jest oficjalne motto).

- Ten program ma najlepsze rekomendacje - powtarzała mi mama przez całe lato. - Cały czas będziesz chodzić na zwykłe lekcje, jak wszyscy inni. Tylko będziesz



pod specjalnym nadzorem pracowników socjalnych z doświadczeniem w terapii poznawczo-behawioralnej i w poradnictwie. Oni naprawdę wiedzą, co robią, Pierce. Nie zapisałabym cię, gdybym nie uważała, że potrafia ci pomóc.

Nie dodałam - chociaż tak pomyślałam - że Liceum Isla Huesos nie przyjęłoby mnie, gdybym nie została zapisana do Nowych Dróg. Przez to, co stało się z panem Muellerem.

Ale co tam. Jeśli jedyną alternatywą miała być szwajcarska szkoła dla bogatych dzieciaków z problemami społecznymi, nie zamierzałam się kłócić. Więc tak dla Nowych Dróg!

Przynajmniej terapeuci z Nowych Dróg - szczególnie Jade, którą mi przydzielono - byli naprawdę mili. - Postarali się, żebym czuła się dobrze przyjęta, chociaż wiedzieli, co zrobiłam (czy też rzekomo zrobiłam) nauczycielowi w poprzedniej szkole. Jade nigdy nie wyglądała, jakby się mnie bała. Kiedy rozmawiała ze mną na spotkaniach zapoznawczych, zawsze nawiązywała kontakt wzrokowy i dużo się uśmiechała, i nawet częstowała mnie paskami czerwonej lukrecji ze słoja na biurku. Zauważyłam, że kiedy byłam w gabinecie Jade, naszyjnik nigdy nie zmienił koloru. Spokojnie sobie trwał, kojąco szary... w kolorze sierści emerytowanego greyhouna.

Ale kiedy pierwszego dnia szkoły przyjechałam do jedyne liceum na Isla Huesos nie czułam się uspokojona. (Dowożono tu setki uczniów z okolicznych wysp. Wzdłuż wybrzeży Florydy jest ich ponad tysiąc

siedemset, jak poinformowała mnie mama któregoś dnia, kiedy słuchałyśmy, na ile sposobów firma taty powoli niszczy ich ekosystem). I nie musiałam patrzeć na kolor naszyjnika (którego zresztą już nie miałam), by wiedzieć, jak się czuję.

A czułam się przytłoczona mimo starannych wyjaśnień Jade, czego mam się spodziewać. Nigdy nie widziałam tylu uczniów, a w szczególności tylu chłopaków, stłoczonych w tylu budynkach... W sumie w czterech ogromnych skrzydłach, połączonych centralnym, brukowanym dziedzińcem. Jade powiedziała mi, że nazywają to Kwadratem, w jego centrum stały zacienione stoły piknikowe.

Tutaj, jak wyjaśniła Jade, mieliśmy codziennie jadać lunch. Stołówka była na dworze.

Dla mnie to absolutnie nie miało sensu, choćby Jade powtórzyła mi to sto razy.

Tylko najstarsze klasy mogły wychodzić z kampusu na lunch. Ja byłam w najstarszej klasie, ale jak mogłam opuścić kampus? Nie miałam prawa jazdy. Władze stanu Connecticut najwyraźniej zgadzały się z moim neurologiem, że prowadzenie samochodu w moim wykonaniu to nie jest dobry pomysł.

Spojrzałam w necie na pisemny test stanu Floryda, bo namówiła mnie do tego Jade, i było w nim jeszcze więcej pytań niż w teście stanu Connecticut. Beznadziejna sprawa.

W drodze do szkoły Alex powiedział:

- Spotkajmy się na Kwadracie na lunch. Zjemy po hamburgerze.

Ale kiedy przyszła pora lunchu, oczywiście nie mogłam go znaleźć. Nie powiedział mi, gdzie mam go szukać. Typowe dla Alexa. I, niestety, typowe dla mnie, bo zapomniałam spytać.

Wybrałam sobie z automatów dwa napoje z kofeiną, paczkę orzeszków, paczkę chipsów i paczkę ciastek. Po czym schowałam się w bibliotece, żeby je zjeść. Wydawało mi się to najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

W bibliotece znalazła mnie Jade.

- Pierce - powiedziała, wyciągając sobie krzesło spod solidnego, osłoniętego biurka i siadając na nim.

-Szukałam cię.

- Jestem tutaj - powiedziałam głupio. To oczywiste, że byłam tutaj. Wyjęłam słuchawki z uszu. - Co słychać?

- W porządku - odparła Jade. - A co u ciebie? Widzę, że nie dotarłaś do stołówki na lunch.

- Nie dzisiaj - odparłam. - Może jutro.

A co miałam powiedzieć? Że nie mam już naszyjnika, który mnie chronił? Nie żebym wierzyła, że tutaj potrzebne mi są jego ochronne moce.

Po prostu nie byłam pewna, że ich nie potrzebuję.

- Och, rozumiem, spoko. - Jade miała bardzo ciemne włosy i mnóstwo czarnych rzemyków, które nosiła na szyi i rękach. Na nadgarstku miała ozdobny, wytatuowany napis: „Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G”. - Ale gdybyś chciała pogadać, może nawet o tej akcji z nauczycielem w twojej starej szkole albo o twojej przyjaciółce, która umarła... o wszystkim, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Wiedziałałam, gdzie ją znaleźć. Biura Nowych Dróg znajdowały się w skrzydle D, gdzie przypadkiem odbywała się też większość moich lekcji. Wygodne.

Ale doprawdy... o wszystkim, Jade? To może o gościu, na którego wpadłam wczoraj na cmentarzu? Możemy porozmawiać o nim? Bo spotkałam go już wcześniej, i to podczas „tej akcji z nauczycielem” w mojej starej szkole. Kiedy umarła „moja przyjaciółka”.

A przynajmniej kiedy starałam się pomścić jej śmierć.

A ten gość posłał nauczyciela do szpitala.

- Dzięki - powiedziałam, nie wspominając o żadnej z tamtych rzeczy. - Spoko.

Jade spojrzała na mnie z dziwną miną, jakoś pomiędzy uśmiechem a marsmem na czole.

- Hej. - Sięgnęła, żeby dotknąć mojej ręki. - Mówię poważnie. Przecież wiesz, że to wszystko, co się stało w tamtej szkole, to nie była twoja wina.

Zdrętwiałałam, kiedy mnie dotknęła. I nie tylko dlatego, że bibliotekarka posłała nam krytyczne spojrzenie z drugiego końca sali... raczej nie była zadowolona, że rozmawiamy w czytelni, nie mówiąc już o tym, że zrobiłam sobie z niej jadalnię.

- Tak - przytaknęłam. - Wiem. Czy ona sobie jaja robiła? Jade skinęła głową.

- Dobrze. Po prostu o tym pamiętaj. A tymczasem spróbuj dobrze się bawić, okej? Wiem, że wiele przeszłaś, ale odpuść sobie na trochę. To tylko liceum.

Przylepiłam uśmiech na twarz.

- Jasne. - Może to Jade była wariatką, a nie ja. Chociaż ona i jej koledzy z Nowych Dróg zadawali sobie mnóstwo trudu, by przypominać nam, że nie ma czegoś takiego jak „wariat” ani „normalny”. Te słowa nie były terapeutycznie korzystne. - Spróbuję.

- Okej, miło się gadało. - Jade wstała. - Pięć minut do dzwonka. Koniecznie wpadnij do mnie po szkole. Mam więcej tej lukrecji, którą lubisz. Tej czerwonej. Ach, o drugiej w auli jest apel. Nie przegap. Będzie mega.

Puściła do mnie oko i poszła. „Mega”, w odróżnieniu od „wariat” i „normalny”, jest słowem, które personel Nowych Dróg wprost uwielbia. Szczególnie Jade. „Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G”.

Było jasne, że w Liceum Isla Huesos miałam do wyboru: utonąć albo pływać.

Już wiedziałam, jak to jest utonąć.

Uznałam, że chyba lepiej będzie pływać.

Kiedy przyszłam do auli na apel, hałas był ogłuszający. Sala na dwa tysiące miejsc była pełna ludzi. Witali się po długim letnim rozstaniu. Dziewczyny wrzeszczały i ścisnęły się, miały szponiaste, białe paznokcie -choć ten *look* na północy był stanowczo niemodny... Przynajmniej tak wynikało z plotek, które podsłuchiwałam w Akademii dla Dziewcząt w Westport, zanim mnie wyrzucili. Wytatuowane chłopaki w bandanach przybijali sobie żółwiki i piątki, a nawet witali się trochę bardziej agresywnie. Tylu uczniów gadających tak głośno w tak wielkiej sali... kusiło mnie, by z powrotem włożyć słuchawki, żeby nie zwariować. Czy jakie

tam jest terapeutycznie korzystne słowo zamiast „zwariować”.

Ale wiedziałam, że nie mogę. Obiecałam sobie, że w tym roku będę się angażować. Bo jeśli nie będę się angażować, jak mam zapobiec śmierci kolejnej dziewczyny na mojej wachcie?

Okej, ostatniej nie pomogłam - nawaliłam na całej linii.

Ale nigdy nic nie wiadomo. Tutaj, na Isla Huesos, na moją korzyść działało parę rzeczy, których nie miałam w Connecticut. Tu przynajmniej nie byłam niewidzialna, tak jak w starej szkole, do czego zresztą sama doprowadziłam i co trwało stanowczo zbyt długo. Tu od razu było inaczej, bo zauważył mnie jakiś chłopak w białej koszulce i przytrzymał mi drzwi do auli.

Szczerze mówiąc, ledwie mogłam w to uwierzyć.

- Panie przodem - powiedział uprzejmie.

Nie wiedziałam, co zdumiało mnie bardziej: czy fakt, że był pierwszą osobą, która się do mnie dzisiaj odezwała (nie licząc Jade), czy to, że był tak swojsko przystojny, w stylu chłopaka z boysbandu - wysoki, niebieskooki, z przyjaznym uśmiechem, odsłaniającym zestaw idealnie prostych, białych zębów, z opalenizną, ewidentnie po zdrowej aktywności na dworze, a nie z solarium, i ze słonecznymi, jasnymi pasemkami w piaskowych włosach.

Wszystko to opakowane w szorty w kolorze khaki i białą koszulkę polo, spod której widać było jego bicepsy.

Niewiarygodne.

Kitesurfing, gdybym miała zgadywać. Od zwykłego żeglowania ma się opaleniznę, ale nie bicepsy.  
- Dzięki - powiedziałam, nie uśmiechając się. Wtedy morska bryza zdmuchnęła mój różowy rozkład lekcji.

- Oj, czekaj. - Puścił drzwi. - Zaraz złapię.

- Nie trzeba - rzuciłam. Chciałam tylko, żeby sobie poszedł. Był jak pomysł na stołówkę na dworze: niezrozumiały.

Ale było już za późno. Zdażył już podnieść mój plan, który przyłgnał do kosza na śmieci z nalepką „Wyłącznie puszki i butelki”.

- No więc, Pierce OHviera - powiedział, oddając mi plan, na który wcześniej zerknął. Roześmiał się.

-Skrzydło D, tak?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. I chyba poznał to po mojej minie, bo aż nazbyt skwapliwie wyjaśnił:

- Spoko, nie przejmuj się tym. - Wydało mi się to dziwne, tym bardziej że zaledwie przed chwilą Jade radziła mi, żebym sobie odpuściła. Przynajmniej nie kazał mi się wyluzować. Nie cierpiałam, kiedy ludzie mówili mi, żebym wyluzowała. - Nowe Drogi, tak?

Gapiałam się na niego. Skąd wiedział? Miałam to napisane na czole, czy jak? A tak starannie się dzisiaj ubierałam. To był mój pierwszy dzień w publicznej szkole, czyli pierwszy dzień bez mundurka... mój pierwszy dzień w szkole, w której mogłam nosić, co chciałam. Gdzie popełniłam błąd?

- Wszyscy ze skrzydła D są w Nowych Drogach - wyjaśnił. - Oczywiście to nic złego. Nowe Drogi są

super. Wielu moich znajomych to zaliczyło. Świetny program. Naprawdę świe...

Wyciągnęłam rękę, odebrałam mu plan i wepchnęłam do torby. Denerwował mnie. Im bardziej atrakcyjni byli ludzie, tym bardziej się przy nich denerwowałam.

Może dlatego, że atrakcyjni ludzie zwykle bywali tacy zaangażowani, a ludzie zaangażowani mnie przerażali. Jak to robili, na przykład, że ich ciuchy były takie schludne? Koszulka tego chłopaka była tak strasznie biała. Jakim cudem jeszcze niczym się nie oblał? To nie fair. Jedynym plusem tego, że nie musiałam już nosić mundurka, była możliwość noszenia czarnych koszulek, na których nie widać plam.

John nigdy nie nosił nic białego. Akurat to mi się podobało.

Ach, prawda. Ja już nie myślałam o Johnie.

- Mam problemy z panowaniem nad złością - poinformowałam go. Wszyscy w końcu i tak się zorientują. Równie dobrze mogłam powiedzieć wprost.

- Oj, to nie jest najgorsze. - Pokazał mi swoje olśniewające zęby. - Przecież jesteś Pierce Oliviera. To nieźle, nie?

- Tak - odparłam, uśmiechając się, bo on się uśmiechnął. Jade powiedziała mi, że kiedy nie bardzo wiem, jak na coś zareagować, powinnam po prostu naśladować zachowanie ludzi dookoła. - Pewnie tak.

„Przecież jesteś Pierce Oliviera?” Co to miało znaczyć? Czy to był złośliwy uśmiech pod tytułem „Jesteś spokrewniona z Zackiem Oliyierą”?



Czy raczej „Twój wujek to ten facet, który tak długo siedział w więzieniu”?

Czy „Nie ty jesteś tą dziewczyną, która tak załatwiła nauczyciela”?

Nie potrafiłam stwierdzić. Może wszystko po trochu. Może żadne z powyższych. Żałowałam, że John wyrzucił mój naszyjnik.

Nie, nie żałowałam. John był palantem. Skończyłam z nim. Byłam na Nowej Drodze.

Wskazałam drzwi auli.

- Wchodzisz?

- A, jasne, tak. - Chłopak wyciągnął rękę i otworzył drzwi. Uderzyła nas ogłuszająca fala dźwięku.

- Dzięki - rzuciłam i poszłam sobie.

Nie przejmuj się, powiedziałam sobie. Jade nazwałaby to pozytywną interakcją. To było mega.

A może jednak nie było. Bo kiedy zobaczyłam tego gościa w polo po raz drugi, w auli, znów na mnie spojrzał i się uśmiechnął. Był z kumplami. Oni też się do mnie uśmiechnęli. Dwie dziewczyny z wyprostowanymi włosami (to cud osiągnąć coś takiego na południu Florydy) zaczęły zerkać na mnie złym wzrokiem. Stukały białymi paznokciami w klawiatury swoich komórek. Byłam zdumiona, że potrafią jednocześnie pisać i patrzeć na kogoś złym wzrokiem. Przeniosły wielozadaniowość na całkiem nowy poziom.

- Skrzydło D - prychnęła na mnie jedna z nich. Jakby to była jakaś potworna obelga.

O co chodziło z tą ich obsesją na punkcie skrzydła D?

Modląc się, żeby nie dostać pełnoobjawowego ataku paniki - w karku czułam pulsowanie silniejsze niż kiedykolwiek - rozejrzałam się po auli. Nigdzie nie widziałam Alexa. Dostrzegłam za to dziewczynę, którą widziałam na lekcji ekonomii. W zeszłym tygodniu była w biurze Nowych Dróg, miała spotkania orientacyjne z innym prowadzącym. Zapamiętałam ją, bo... no cóż, dość trudno byłoby ją zapomnieć. A poza tym zauważyłam, że kiedy była w pobliżu, mój naszyjnik robił się fioletowy. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale dziewczyna siedziała na brzegu rzędu siedzeń, a dookoła niej było mnóstwo pustych miejsc.

- Zajęte? - spytałam, podchodząc do niej.

Zignorowała mnie. Po sekundzie czy dwóch zorientowałam się, że mnie nie olewa. Po prostu miała słuchawki. Nie zauważyłam od razu, bo zasłaniała je wielka szopa czarnych, kręconych włosów, przetykanych liliowymi pasemkami.

Kiedy postukałam ją w ramię, uniosła wzrok znad ekranu komórki i powiedziała:

- O sorry. - Zabrała nogi, żebym mogła przejść.

- Dzięki - odparłam i klapnęłam na siedzenie obok niej. Oczywiście powinnam była się zorientować, że tak

będzie. Nie tylko po ostatniej nocy - wciąż nie miałam pewności, że to w ogóle się wydarzyło, nawet kiedy Alex opowiedział mi o kwiatkach poincjanach, które zmiotła burza zanim wstałam - ale i po tym, że byłam jedną z bardzo nielicznych dziewczyn, których spódnica nie była mini. Moja, zgodnie z regulaminem LIH, nad którym ślęczałyśmy z mamą, szczególną uwagę poświęcając

sekcji oznaczonej *Zasady dotyczące stroju*, kończyła się dokładnie dziesięć centymetrów nad kolanem; regulamin nie zezwalał na krótsze.

Skąd mogłam wiedzieć, że *Zasad dotyczących stroju* nikt nie egzekwuje - szczególnie zakazu „odśloniętej talii i nisko opuszczonych bądź zwisających spodni” - skoro do dzisiejszego dnia nie poznałam żadnych młodych ludzi z Isla Huesos? W tygodniu przed szkołą, jeśli akurat nie jeździłam na rowerze po cmentarzu w nadziei, że spotkam Johna, siedziałam na kanapie przed telewizorem u babci, z Alexem i wujkiem Chrisem.

A Alex, typowy facet, odpowiedział: „Nie wiem. Ciuchy”, kiedy mama i ja spytałyśmy, co dziewczyny z LIH noszą do szkoły.

Gdy usiadłam, dziewczyna obok mnie - z piercingiem w wardze i w brwi - zajęła się z powrotem swoją komórką. Niektórzy mogliby uznać, że niegrzecznie było podglądać, co robi. Nie ja. To prawda, komuś z zewnątrz mogłoby się wydawać, że jestem wścibska... może dlatego, że sama nie miałam komórki.

Ale Tim, szef programu Nowe Drogi, zabrał mi moją przed lekcjami. Powiedział, że będę mogła odebrać ją po szkole. Uznał, że lepiej się skoncentruję i będę mieć lepsze interakcje, jeśli nie będę mogła wchodzić do netu.

Nie chciało mi się sprzeciwiać. Po moich zeszłorocznych doświadczeniach w poprzedniej szkole wiedziałam, że wszystko, co powiedział, jest prawdą.

Tego dnia, kiedy wróciłam do szkoły po wypadku, powiedziałam mojej przyjaciółce Hannah, że będę ją chronić przed złem.

Ale nie ochroniłam jej. Zamiast tego, urażona, że nazwała mnie wariatką, wciąż odrętwiała po tym, co John zrobił w sklepie jubilerskim, przerażona, że może wrócić i zrobić to mnie, po prostu położyłam się w swojej szklanej trumnie i czekałam, aż uratuje mnie księżę z bajki.

Dlatego nie zauważyłam zła. Nie takiego, jakie lubią sobie wyobrazać ludzie, takiego, o jakim opowiada się w historiach o duchach i w horrorach.

Ale prawdziwego zła, które czaiło się w korytarzach Akademii dla Dziewcząt w Westport, szukając najsłodszej, najbardziej niewinnej ofiary, jaką mogło znaleźć.

Kiedy wreszcie dotarło do mnie, że nie ma księżat z bajki, że wszystko zależy wyłącznie ode mnie... że zawsze wszystko zależało wyłącznie ode mnie, było już za późno.

Hannah nie żyła.

I w odróżnieniu ode mnie już nigdy nie miała wrócić.

*Silny huk gromu wyrwał mi spod powiek  
Senność kamienną, tak że się wzdrygnąłem  
Niby gwałtownie przebudzony człowiek.*

**Dante Alighieri *Pieśń IV***

W pewnym sensie jestem wdzięczna panu Muellerowi, który zaczął uczyć w Akademii dla Dziewcząt w Westport w zeszłym roku, gdy byłam w przedostatniej klasie. Dał mi coś, czego, jak zaczynałam już myśleć, nigdy nie będę miała: zalecane przez panią Keeler „zajęcie pozaszkolne”, w które mogłam się „zaangażować”.

Pan Mueller błyskawicznie zdobył ogromną popularność wśród uczennic i wśród rodziców, kiedy jako nowy trener koszykówki doprowadził drużynę do stanowych finałów.

Jakby tego było mało, zaczął też po szkole udzielać darmowych korepetycji swoim „wyjątkowym” uczennicom... Nawet tym z nas, które, jak ja, zostały przeniesione do „alternatywnych” klas z przyczyny, którą ostatecznie zdiagnozowano jako zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi. Z przewagą tego ostatniego.

Oczywiście jako jedyny młody, przystojny nauczyciel płci męskiej w żeńskim liceum - nie wspominając już o posadzie trenera - pan Mueller pewnie i tak byłby popularny.

Ale darmowe korki mu w tym pomogły.

Wyglądało na to, że byłam jedyną osobą w całej szkole, która od początku traktowała pana Muellera i motywy jego działań podejrzliwie. Może dlatego, że jedno z ulubionych powiedzonek mojego taty brzmi: „Nie istnieje coś takiego jak darmowy lunch”. Nikt nie jest aż tak skłonny do poświęceń, szczególnie kiedy dostaje w zamian tylko domowe ciastka od wdzięcznych mam uczennic.

Jednak któregoś dnia okruch z jednego z tych ciastek spadł na moje nagie kolano, gdy pan Mueller stał pochylony nad moim stolikiem i pomagał mi w jakimś szczególnie trudnym zadaniu z algebry. Wtedy zauważyłam w nim coś dziwnego, oprócz jego uderzającej urody i nadmiaru wolnego czasu, oczywiście.

- Ups - powiedział pan Mueller, przyciskając palcem okruszek do mojego kolana. Potem uniósł palec do ust i oblizał kawałek ciastka. I uśmiechnął się do mnie. - Bardzo przepraszam!

Może dziewczyna, która nie umarła, a potem nie była śledzona przez niepokojąco rosnącego, srebrnookiego gościa, który wcześniej próbował ją zmusić, by z nim zamieszkała, powiedziałaaby sobie tylko: ha, facet widocznie bardzo lubi ciastka.

Ale ja poczułam się, jakby poraził mnie prądem.

I to nie w romantycznym sensie; żadnego: „Och, on mnie dotknął!” Inne dziewczyny z klasy mogły sobie do niego wzdychać, ale mnie pan Mueller z całą pewnością się nie podobał i nie życzyłam sobie, żeby mnie dotykał. Nie życzyłam sobie nawet, żeby dotykał okruchów ciastek, które na mnie spadły. Dopiero kiedy wróciłam do domu, zobaczyłam to:

„Pan Mueller właśnie dotknął gołego kolana Pierce Olivieri, a potem oblizał palec! Sexy!!!!!!”  
Potem na różnych portalach społecznościowych, na które wrzucono tę uwagę, posypały się tony komentarzy, w rodzaju: „Ale ona ma szczęście” i „Co zrobiła, żeby sobie zasłużyć na coś takiego?” i „Kim, do diabła, jest Pierce Oliviera?”

Te uwagi zdołały przeniknąć przez grube szkło mojej trumny. Sprawily, że poczułam się niezręcznie. Nie tylko dlatego, że obudziły stare demony (ostatnio udawało mi się skutecznie unikać odwiedzin w gabinecie psychologa). Ale głównie dlatego, że jakieś dwa dni później pan Mueller zapytał - przy wszystkich - czy chcę przychodzić do niego na prywatne korepetycje.

Od tego momentu było już tylko gorzej.

„Pan Mueller właśnie spytał Pierce OlMerę, czy chce chodzić na korki! Farciara! On jest taki sexy!!!!!!”  
- Nie rozumiem - powiedziała mama. - Pan Mueller powiedział mi na wywiadówce, że zaproponował ci korepetycje, bo jesteś strasznie do tyłu w tyłu przedmiotach, a ty odmówiłaś. Dlaczego?  
- Mam już korepetytorów. - No bo miałam. Tato się postarał, żebym miała nauczycieli z prawie wszystkich

przedmiotów. Co oczywiście nie pomagało. Żeby korepetycje były skuteczne, muszą cię obchodzić.

- Ale pan Mueller wydaje się taki miły - upierała się mama.

Powinłam była wtedy coś powiedzieć. Mamo, powinłam była powiedzieć, pan Mueller nie jest miły. Problem w tym, że ona by mi nie uwierzyła. To, że na widok faceta miałam ciarki, niczego nie dowodziło.

Tym bardziej że mama nie była jedyną osobą przekonaną o tym, że pan Mueller to dar boży dla Akademii dla Dziewcząt w Westport. Chociaż sezon koszykarski dawno się skończył, wszystkie mamy wciąż dawały swoim córkom liściki i puszki domowych ciastek dla pana Muellera, by mu okazać, jak bardzo go doceniają.

Pan Mueller zawsze promieniał radością, kiedy znajdował któryś z tych prezencików na biurku, i mówił karcąco (choć tak naprawdę było widać, że jest zachwycony): „Dziewczyny! Nie trzeba było!” Aż kiedyś moja była najlepsza przyjaciółka, Hannah Chang - która nabrała kształtów odkąd nie rozmawiałyśmy, została gwiazdą drużyny koszykarskiej Akademii dla Dziewcząt w Westport i jedną z najgorliwszych wielbicielek korepetycji pana Muellera - zostawiła na jego biurku liścik, który popsuł mu humor.

Wiem o tym, bo Hannah i ja miałyśmy wtedy wspólną lekcję z panem Muellerem, a ona siedziała przy stoliku przede mną. Widziałam, jak napisała liścik i zostawiła mu go. Widziałam, jak pan Mueller go otwierał.



Ale nie rozpromienił się radośnie na jego widok.

Wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Ona bez przerwy zostawiała liściki na biurku pana Muellera. Zawsze były fikuśnie poskładane i oklejone maleńkimi nalepkami w kształcie serduszek. W moje urodziny nawet mnie zostawiła liścik, napisany na specjalnej papeterii z rysunkami koni. Znalazłam go, kiedy siadłam przy swoim biurku.

„Wszystkiego najlepszego, Pierce! - napisała Hannah swoim dużym, okrągłym pismem. Narysowała obrazek tańczącego torciku ze świeczką. - Niech to będzie świetny rok! Buziaki, Hannah”.

Nawet w tym stanie odcięcia od świata, do jakiego się doprowadziłam (Po co to wszystko? I tak wszyscy umrzemy, a potem nie wpuszczą nas na prom) nie mogłam nie poczuć wzruszenia. Hannah może i nie traktowała swojego konia, Odważniaka, tak dobrze, jak moim zdaniem powinna.

Ale Hannah troszczyła się o ludzi. A przez to, że się troszczyła, ludzie troszczyli się o nią.

Czy ja tego już gdzieś nie słyszałam?

Tak czy inaczej, chociaż Hannah Chang nazwała mnie wariatką w dziesiątej klasie, i tak ją lubiłam.

I dlatego już zawsze będę obwiniać się o to, co ją spotkało.

Następnego dnia po tym, jak Hannah zostawiła liścik panu Muellerowi, jadłam śniadanie z mamą. Mama, która czytała lokalną gazetę, krzyknęła nagle cicho i zakryła usta dłonią.

- Mamo? - Spojrzałam na nią z zaciekawioną znużeniem z kubka z ziołową herbatą. Neurolog ostrzegł mnie, żebym nie nadużywała kofeiny, bo będę miała złe sny i problemy z bezsennością. Mama żartowała, że gdyby tato przestał nadużywać kofeiny, świat stałby się o wiele bezpieczniejszy. - Co się stało?

- Nic - odparła, kładąc gazetę. Ale to nie było nic. Bo jej twarz pobladła.

- Mamo - powtórzyłam. - Co się stało? Powiedz mi.

- Tu jest... - Było oczywiste, że mówienie mi, o co chodzi, było ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę. Było też oczywiste, że wiedziała, iż musi.

- Tu jest napisane, że jakaś dziewczyna, Hannah Chang, zmarła tej nocy po przedawkowaniu leków

- wyjaśniła mama, unosząc gazetę. - Ale to na pewno nie jest ta sama Hannah Chang...

Zakrztusiłam się łykiem herbaty. Kiedy przestałam kaszleć, powiedziałam:

- Pokaż mi to.

„Dziewczyna znaleziona martwa, podejrzewa się samobójstwo”, krzyczał nagłówek na pierwszej stronie lokalnej gazety. Ze zdjęcia patrzyła na mnie twarz Hannah, uśmiechniętej, w szkolnym mundurku.

Mama nie widziała Hannah od prawie dwóch lat, bo od wypadku egzystowałam w swojej szklanej trumnie. Hannah przez ten czas stała się bardzo kobieca.

- To ona - powiedziałam, czując, jak ściskają mi się płuca. - To Hannah.

- Niemożliwe, żeby zrobiła to celowo - jęknęła mama, głaszcząc mnie po włosach, kiedy ja wpatrywałam się w zdjęcie. - Napisali, że to były pigułki nasenne. Może wzięła jedną, a potem była tak senna, że zapomniała, i niechcący wzięła więcej. Na pewno nie chciała się zabić. Ja byłam równie pewna, że chciała. Dziewczyny takie jak Hannah Chang nie brały zbyt wielu pigułek nasennych przypadkiem.

- Dzięki, mamo. - Uściskałam ją i wstałam. - Ale muszę iść, bo się spóźnię.

- Pierce - rzuciła mama, patrząc na mnie niespokojnie. - Dobrze się czujesz? Jeśli chcesz dzisiaj zostać w domu, to w porządku. Wiem, że ty i Hannah nie byliście zbyt blisko, od... od wypadku. Ale kiedyś się przyjaźniłyście...

- Nie trzeba - odparłam automatycznie. - Nic mi nie jest.

Poszłam do garażu po rower, żeby pojechać do szkoły. Tato kupił mi bmw kabrio na szesnaste urodziny, sądząc, że mnie to zachęci, żeby wziąć się w garść i zrobić prawo jazdy.

Ale oczywiście nie podziałało. Już czterdzieści dwa razy podchodziłam do pisemnego egzaminu online. Nigdy nie zdałam.

Bo nie wszystko było ze mną w porządku. Pod wieloma względami.

Papeteria Hannah w konie, nalepki z serduszkami, rola gwiazdy drużyny koszykówki i niezapominanie

o urodzinach, i udawanie, że opętają cię złe duchy, jeśli nie wstrzymasz oddechu, przechodząc koło cmentarza. Wszystko to było tylko maską zasłaniającą fakt, że pod spodem u niej też nie wszystko było w porządku.

Ale to wystarczyło, żeby zamydlić mi oczy. Tak bardzo, że choć Hanna cały czas siedziała przede mną, przegapiłam znaki, że w jej życiu dzieje się coś strasznego, co kazało jej połknąć garść pigułek i zmienić się w śpiącą królową. Permanentnie.

Jak mogłam być aż tak niezaangażowana?

Kiedy dotarłam do szkoły, wszystkie dziewczyny już wiedziały, co się stało z Hannah. Wszystkie o tym gadały, jakby to one były kiedyś jej najlepszymi przyjaciółkami, jakby to one siedziały za nią w klasie. Wszystkie snuły domysły, dlaczego to zrobiła. Ich szepty brzmiały w moich uszach jak krzyki, bo zwykle na korytarzach nosiłam słuchawki, żeby odciąć się od hałasu. Choć tak naprawdę to tylko wzmagalo brzęczenie, które zwykle słyszałam w głowie.

Ale tego dnia wyjęłam słuchawki. Muszę słuchać, powiedziałam sobie. Przynajmniej tyle byłam winna Hannah. Musiałam się dowiedzieć, co ją spotkało.

Ale słyszałam tylko, że wszyscy zadają to samo pytanie, które ja sobie zadawałam: jakim cudem dziewczyna pozornie tak miła i szczęśliwa jak Hannah Chang mogła wczoraj wrócić do domu ze szkoły i się otruć?

Gdzie teraz jest? - zastanawiałam się. Czy nie cierpi? Czy jest wśród szczęśliwców, którzy wsiedli na właściwą łódź, tę, która wiozła ludzi do lepszego miejsca? Czy wciąż stała, zmarznięta i przemoknięta, w drugiej

kolejce, czekając na drugą łódź na tej okropnej plaży?

Nie wiedziałam. I zdawałam sobie sprawę, że mogę nigdy się nie dowiedzieć.

Ale czegoś mogłam się dowiedzieć. Dlaczego.

Tego dnia, po raz pierwszy od ponad roku, zamiast spędzać przerwy w swojej bezpiecznej trumnie i ignorować wszystkich ze słuchawkami w uszach, wyjęłam je i podeszłam do plotkujących dziewczyn przy automatach z przekąskami koło sali gimnastycznej.

Wrzuciłam pieniądze do automatu i kupiłam napój z jak największą zawartością kofeiny, wbrew ostrzeżeniom mojego neurologa. Uznałam, że czas przestać być wystraszoną, a zacząć być niebezpieczną jak mój tato.

Otworzyłam puszkę i wypiłam zawartość, stojąc tam i słuchając, jak zastanawiają się głośno, dlaczego Hannah to zrobiła.

W drodze na lekcję wypiłam drugi napój, już wolniej - wciąż bez słuchawek - i spróbowałam sobie przypomnieć wszystkie szczegóły ostatniej godziny, kiedy widziałam Hannah żywą. Czy wyglądała na zdenerwowaną? Czy wyglądała na smutną?

I najważniejsze: co napisała w tym liściku do pana Muellera? W tym, który zostawiła na jego biurku i który zepsuł mu humor?

Serduszka. To pamiętałam. Kartka, na której napisała liścik do pana Muellera, była cała w serduszka. I „kochasz”. Zdawało mi się, że widziałam słowo „kochasz”.

„Dlaczego”. Czy to też jedno ze słów? Dlaczego nie mogłam zwracać większej uwagi na rzeczy, które były naprawdę ważne?

„Nie”. Czy to było jedno ze słów? Jak w „Nie wysilaj się, Pierce. Jesteś tak nienormalna, jak o tobie mówią”.

Kiedy weszłam do klasy, ledwie mogłam patrzeć na jej stolik, a tym bardziej na bladą, smutną twarz pana Muellera. Te próby zaangażowania się sprawiały mi straszny ból. Nie robiłam tego od ponad roku. Teraz rozumiałam dlaczego: angażowanie się było piekielnie męczące. Jak ludzie mogli to robić przez cały dzień? Codziennie?

Usiadłam na swoim miejscu, starannie unikając patrzenia na cokolwiek prócz podłogi, bo bałam się, że widok pustego stolika Hannah kompletnie mnie rozwali.

To dzięki temu zobaczyłam parę butów. Czarnych mokasynów pana Muellera, takich z chwościkami.  
- Pierce - powiedział cicho pan Mueller. - Mogę z tobą porozmawiać? Muszę cię prosić o szczególną przysługę.

Staralam się nie myśleć o jego butach - bo oczywiście była to najbardziej idiotyczna rzecz, na jakiej mogłam się koncentrować w takiej chwili - więc uniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy.

- Tak, proszę pana? - spytałam.

- Na pewno słyszałaś smutną nowinę o Hannah Chang - powiedział.

- Tak - odparłam. - Słyszałam.

- Administracja bardzo się martwi ewentualnymi próbami naśladownictwa - wyjaśnił tym swoim wylu-

zowanym tonem. Jakbyśmy byli w tym samym wieku. Jakbyśmy byli równi. To dlatego tyle dziewczyn uwielbiało pana Muellera. Bo nigdy nie mówił do nas z góry. - Często, kiedy uczeń popełnia samobójstwo, innym wpada do głowy, żeby też spróbować... Widziałaś, że dziewczyny już układają kwiaty pod jej szafką.

Mijałam szafkę Hannah w drodze na lekcję. Leżała już pod nią wysoka sterta kwiatów, kartek i pluszowych zwierzątek. Głównie pluszowych koników.

- Tak - potwierdziłam, z trudem przełykając ślinę.

- Szkoła nie planuje urządzić żadnej uroczystości ku jej pamięci ani nic w tym stylu - ciągnął pan Mueller. - Już postanowili, że nie chcą gloryfikować jej śmierci. Chcą, żebyśmy działali dalej, jakby nic się nie stało.

Jakby nic się nie stało. Skinęłam głową. Zauważyłam, że pan Mueller dziś rano się nie ogolił. Miał małą krótką bródkę. Trochę przez to przypominał tego przystojnego aktora, który grał lekarza w popularnym serialu. Serialowy doktor, przypominałam sobie nagle, też często nosił buty z chwościkami. Dlaczego nie mogłam przestać myśleć o chwościkach?

- Więc czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę - spytał tym swoim głosem pod tytułem „jesteśmy takimi bliskimi przyjaciółmi” - i przesunąć się o jedno miejsce do przodu? Nie mogę pozwolić, żeby stolik Hannah stał pusty. To wygląda, jakbyśmy chcieli ją upamiętnić, jakbyśmy pochwalali to, co zrobiła. A tak nie może być, prawda?

Patrzyłam na niego i na tę sztuczną kozią bródkę, którą zapuszczał. Postanowiłam, że kiedy następnym

razem pojedę do miasta na nakazany przez sąd lunch z tatą, przekopię mu szafę, wyjmę wszystkie pary butów z chwościkami i podaruję je schronisku dla bezdomnych. Nawet te od Prądy. Już nigdy więcej nie chciałam oglądać męskich butów z chwościkami.

- Jasne, panie Mueller. - Zmusiłam się do uśmiechu. - Usiądę przy stoliku Hannah.

Chociaż od jej śmierci nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, i to będzie tak, jak by powiedzieć, że nigdy nie istniała.

Wstałam z miejsca i wsunęłam się na krzesło Hannah. Wyobrażałam sobie, że tak czuje się człowiek leżący w cudzej trumnie.

- Dzięki - powiedział pan Mueller, uśmiechając się do mnie z ulgą. - Dzięki za zrozumienie, Pierce. Zabawne, że to powiedział. Bo w chwili, kiedy usiadłam przy jej stoliku, naprawdę zrozumiałam. Spojrzałam na diament leżący pod moją bluzką i zobaczyłam, że zrobił się tak czarny jak wtedy u jubilera.

I nagle przypomniałam sobie słowa, które Hannah napisała w liściku do pana Muellera. Tak po prostu. Może dlatego, że siedziałam na jej miejscu. Może przez tę całą kofeinę. Może przez naszyjnik. Nie wiedziałam.

Ale nagle zrozumiałam... wszystko. Okej, może nie wszystko. Ale przynajmniej to, dlaczego pan Mueller tak mnie odstręczał.

- Oczywiście... - Znow z trudem przełknęłam ślinę. - Pan na pewno wie, dlaczego ona to zrobiła, prawda, panie Mueller?



Pan Mueller, który szedł już do swojego biurka, zmarł. Było już po dzwonku, ale wszystkie dziewczyny wciąż gadały i łąziły po klasie. Nikt inny mnie nie usłyszał, nikt nie zwracał uwagi. Właśnie w tym problem, zauważyłam, kiedy wreszcie podniosłam wieko swojej trumny i zaczęłam rozglądać się wokół. Ludzie tak naprawdę nie zwracają uwagi.

Oczywiście ja byłam tak samo winna jak wszyscy pozostali.

- Dlaczego to zrobiła? - Pan Mueller odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć; jego orzechowe oczy były szeroko otwarte. Uśmiechał się wciąż jeszcze przyjaźnie. - Nie, nie wiem. Oczywiście była trochę... trudną dziewczyną.

Trudną. Jasne. Jeśli uważał, że Hannah była trudna, to lepiej, żeby zaczął uciekać. Już.

Bo ja zamierzałam narobić mu takich trudności, jakich nie wyobrażał sobie w najśmielszych snach.

- Ale wczoraj zostawiła panu list - powiedziałam, otwierając szeroko oczy z miną niewiniątka. -

Widziałam. Widziałam, jak pan go czytał.

Obserwowałam go uważnie. Wszystko zależało od tego, jak pan Mueller zareaguje.

- Ach, to - nawet się nie zająknął. - To nie było nic ważnego. - Wzruszył ramionami. - Wiesz, jaka była.

Wiecznie zostawiała mi zabawne liściki. Żałuję, że nie wiedziałem, że ten będzie ostatni. Pewnie bym go zachował. Ale wyrzuciłem go do kosza. - Wskazał niebieski pojemnik do recyklingu, stojący koło jego biurka. „Papier”, było napisane na nalepce. Widziałam ze swojego miejsca, że kosz jest pusty. -

Pewnie już jedzie

do jakiejś przetwórni makulatury w New Jersey. No trudno.  
Poszedł na przód sali, żeby sprawdzić obecność. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie powinno paść  
nazwisko Hannah, pominął je, jakby nigdy go tam nie było.  
I nikt nie powiedział słowa.  
Nawet ja.  
W każdym razie nie wtedy.

*Nieświadomości skrepowany pęty:  
„Mistrzu - spytałem - skąd ten chór boleści,  
Kto lud ów taką snadź rozpaczą zdjęty?”*

### **Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III**

Dziewczyna siedząca obok mnie w auli LIH czytała komentarze na Facebooku. Zobaczyłam, że się wzdrygnęła, a w końcu wyłączyła telefon i rozparła się na krześle, mamrocząc coś po hiszpańsku. Mój pisemny hiszpański jest oficjalnie poniżej średniej, ale znam wszystkie przekleństwa.

- W mojej starej szkole - rzuciłam, choć wiedziałam, że nie mówiła do mnie - napisali, że jestem sztywna, jakby mi wsadzili kij w tyłek.

Dziewczyna spojrzała na mnie bystro, jakby zauważyła mnie dopiero teraz. Jej wyraziste, czarne oczy były bardzo fachowo pomalowane czarnym linerem, rzęsy wytuszowane, a w obu kącikach przylepiła sobie małą srebrną gwiazdkę. Przypomniałam sobie, że w LIH były zajęcia z kosmetologii. Może na nie chodziła.

- Co? - spytała ze skołowaną miną.

- W necie. - Wskazałam jej telefon. - W mojej starej szkole. Nazwali mnie też szmatą. - Nie wspomniałam

o innych, gorszych przezwiskach, jakie usłyszałam po awanturze z panem Muellerem.

Zmarszczyła brwi. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to zły, czy dobry znak.

- Tak? Mnie też nazywają szmatą. Przez nie. - Wskazała swoje piersi. Trudno było zaprzeczyć, że były wielkie. Na dodatek czarna, bawełniana koszula, w którą była ubrana, miała żabot. To też nie poprawiało sytuacji.

- Niektórzy są zwyczajnie głupi - odparłam, bezwiednie zerkając na dwie dziewczyny z wyprostowanymi włosami, które wciąż stały przy schodkach na scenę. Gapiły się w moim kierunku... tyle że teraz nie miały już takich pogardliwych min. Wyglądały na osłupiałe.

Jedna, widząc, że na nią patrzę, uniosła dłoń z białymi pazurami, uśmiechnęła się i pomachała. Do mnie.

Przez sekundę nie rozumiałam dlaczego. Potem zauważyłam chłopaka w białym polo, oddalającego się od nich, i wszystko stało się jasne.

- Tutaj głupoty jest pod dostatkiem - mówiła drwiąco dziewczyna obok mnie. - Hej, czy ty nie chodzisz ze mną na ekonomię?

- Tak. Jestem Pierce. - Celowo nie wymieniłam swojego nazwiska. Miałam przeczucie, że te dwie dziewczyny przy scenie właśnie się dowiedziały. Pewnie stąd ta nagła korekta podejścia do mojej osoby.

- To mała wyspa - ostrzegła mnie mama. - I nie wszyscy będą tak wyrafinowani jak w Westport. Mieszkańcy Isla Huesos mogą polubić cię za to, kim jest tato. Albo wręcz odwrotnie, biorąc pod uwagę sytuację. Zależy. Po prostu bądź ostrożna.

- Kayla Rivera - powiedziała dziewczyna, wskazując na siebie. - A ty jesteś kuzynką Alexa Cabrera. To było stwierdzenie faktu. Więc albo Alex o mnie mówił, albo Kayla zapamiętała moje nazwisko gdzie indziej. Czy Tim i Jade zachęcali innych podopiecznych Nowych Dróg, żeby byli dla mnie mili? To najbardziej miłosierny scenariusz, jaki potrafiłam sobie wyobrazić. I żałosny, jeśli tak naprawdę było.

Ale przynajmniej wyglądało na to, że nie wiedziała, kim jest mój ojciec. Miałam szczerą nadzieję, że kiedy odzyskam telefon, nie znajdę w necie całej masy komentarzy na swój temat. Nie miałam profilu na Facebooku ani Twitterze, bloga ani nic takiego. Wystarczająco dużo ludzi śledziło mnie w realu. Chociaż pewnie już nie.

- Tak - potwierdziłam. - Słuchaj, mogę cię o coś zapytać?

- A, są prawdziwe - odparła Kayla, wskazując swoje piersi. - Ubezpieczenie mojej mamy obejmuje operację zmniejszenia biustu i zamierzam sobie ją zafundować, jak tylko skończę osiemnaście lat. I to nie z powodów kosmetycznych. Nie obchodzi mnie, jak mnie przezywają. Tylko mam dość obijania sobie sutków kolanami, kiedy próbuję jeździć na rowerze. A do tego bolą mnie plecy. Zoperowałabym się już teraz, ale lekarz mówi, że może jeszcze rosnąć. Uwierzysz? One mogą jeszcze rosnąć.

- Rany - powiedziałam. A myślałam, że ja mam problemy. - Ale nie o to chciałam zapytać. Co to znaczy, kiedy ludzie nazywają cię skrzydło D?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, poczułyśmy walnięcie w oparcia naszych siedzeń, jakby ktoś w nie kopnął. Obróciłam się gwałtownie, pewna, że to on.

Ale oczywiście to nie był on. Tylko mój kuzyn Alex, wbijający się do rzędu za nami.

- Hej - rzucił do mnie. - Tu jesteś. Wszędzie cię szukałem na dużej przerwie. Czemu nie odbierasz telefonu?

- Tim mi zabrał - odparłam. - Powiedział, że bez niego lepiej się zaangażuję.

Kayla się roześmiała.

- O rany. Ty naprawdę jesteś nowa. Niewiarygodne, że się na to nabrałaś. Nigdy nie oddajesz telefonu, dziewczyno, cokolwiek mówi Tim. Nigdy.

Wzruszyłam ramionami.

- I tak nikt do mnie nie dzwoni.

Było to smutne, ale prawdziwe. Czy John w ogóle miał komórkę? Wątpliwe. Jak by płacił rachunki? Szarymi diamentami? Pewnie firmie telekomunikacyjnej bardzo by się to spodobało.

Alex dotarł do siedzenia za mną i klapnął na nie.

- Dzięki - powiedział. - To znaczy, że ja się nie liczę jako ktoś.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi - odparłam.

W odpowiedzi trącił mnie po przyjacielsku w ramię.

- Ciszej, ludzie.

Powiedział to mężczyzna o zmęczonym głosie - dyrektor szkoły - który wszedł na scenę i stanął za mównicą, czekając, aż wszyscy usiądą. Kiedy zaczął przeglądać plik notatek i sprawdzać, czy są we właściwej kolejności, usłyszałam westchnienie Alexa. Nie dziwi-

łam mu się. Rozejrzałam się dookoła, już znudzona. Potrzebowałam kolejnego napoju. Od śniadania wypiałam tylko sześć. Lepiej by było, żeby ten gość streszczał się ze swoją mową.

- No i? - zagadnął mnie Alex. - Jak tam twój pierwszy dzień?

- Jak na razie? - Wzruszyłam ramionami. Zobaczyłam, że dziewczyny, które wysyczały do mnie „skrzydło D”, znalazły miejsca... po obu stronach chłopaka w białym polo, który otworzył mi drzwi. Interesujące. - Nieźle.

- Rany - powiedział Alex. - Kłamiesz prawie tak samo przekonująco jak mój tato. Naprawdę. Jestem pod wrażeniem.

- Ta szkoła to syf - stwierdziła Kayla, wiercąc się na siedzeniu. - Wiem, że Stanowy Departament Edukacji jest bez kasy. Ale zdaje się, że w moim siedzeniu są pluskwy.

- Ludzie. - Głos dyrektora Alvareza huknął przez mikrofon. - Dopóki będzie trwało to niepoważne zachowanie...

Ktoś krzyknął coś niepochlebnego o pochodzeniu dyrektora Alvareza, a potem zasugerował, żeby poszedł popełnić czyn kazirodczy ze swoją matką.

Wtedy drzwi auli otworzyły się gwałtownie i w każdym wejściu pojawili się funkcjonariusze policji w mundurach z krótkimi rękawami, przez wzgląd na upał. Weszli do auli i oparli się o ściany.

Popatrzyłam na nich nerwowo. Miałam nadzieję na coś bardziej interesującego niż szampowa pogadanka antynarkotykowa.

Ale ponieważ ledwie kilka miesięcy temu spędziłam w towarzystwie policji sporo czasu - chociaż niczego nie zrobiłam, zostałam tylko oskarżona - jak dla mnie było to trochę za wiele.

Wydawało się, że nie tylko ja zdenerwowałam się na widok gliniarzy. Publiczność nagle ucichła.

- Panie Flores - przemówił do mikrofonu dyrektor - może zaskoczy pana informacja, że doskonale pana widzę z tego miejsca. I właśnie zarobił pan ZZW za uwagę o mojej matce. To zawieszenie z zakazem wstępu, do wiadomości tych, którzy nie znają tego terminu. Proszę opuścić teren szkoły, panie Flores, i nie wracać do poniedziałku.

Wszyscy na widowni zahukali z podziwem, kiedy młody mężczyzna w czarnym ubraniu wstał z tylnego rzędu i wyszedł pewnym krokiem zupełnie nieprzejęty karą. Policjanci od niechcenia obserwowali, jak wychodzi.

To było zupełnie coś innego niż Akademia dla Dziewcząt w Westport, gdzie pierwszy apel zawsze był raczej śpiewaną akademią na cześć założycielki szkoły, panny Emily Gordon Portsmouth.

- Hej.

Ku mojemu zaskoczeniu chłopak w białym polo wstał ze swojego miejsca. Odwrócił się przodem do widowni. Nawet nie wytarł nerwowo spoconych dłoni o swoje szorty w kolorze khaki (pewnie dlatego, że nie pocił się z nerwów) i powiedział swoim luzackim tonem:

- Witajcie po wakacjach, Wrakarze. Osłupiałam, kiedy wszyscy się zamknęli i zaczęli go słuchać. Podejrzewałam, że to zasługa glin.



Ale tu działo się coś więcej. W sposobie mówienia tego gościa czuło się swobodę i pewność siebie. Jego uroda gwiazdora boysbandu zapewne też nie przeszkadzała. To wszystko sprawiało, że ludzie najwyraźniej chcieli się zamknąć i go słuchać.

- Wiem, że to było długie lato - powiedział, z poważną, a zarazem życzliwą miną. - I ja też się cieszę, że wróciłem i zobaczyłem was wszystkich. No, może niektórych. Prawda, Andre? - Jego udawane groźne spojrzenie padło na jakiegoś kolesia w tłumie. Andre udał, że kuli się na siedzeniu. Wszyscy się roześmiali. - Ale teraz mówi pan Alvarez - ciągnął chłopak w białej koszulce. - Więc posłuchajmy, co ma do powiedzenia. Okej? Spokój.

Odwrócił się i usiadł przy wtórze gromkiego aplauzu. Ja też klaskałam, nawet nie wiedząc dlaczego. Tylko że wszyscy klaskali... z wyjątkiem, jak zauważyłam, mojego kuzyna Alexa.

Przechyliłam się przez oparcie i szepnęłam:

- Dlaczego nie klaszczesz?

Wzruszył ramionami. Alex, tak jak jego ojciec, nie zawsze był superkomunikatywny.

- Dziękuję - powiedział dyrektor Alvarez i oklaski ucichły. Najwyraźniej chciał przejąć kontrolę nad sytuacją, zanim ktoś inny zacznie wykrzykiwać uwagi o jego matce. - Dziękuję, panie Rector. A dla informacji wszystkich nowych lub przeniesionych uczniów, którzy być może tego nie wiedzą, to był przewodniczący ostatnich klas, Seth Rector, który jest też tegorocznym rozgrywającym szkolnej drużyny futbolowej i skarbnikiem Klubu Hiszpańskiego Liceum Isla Huesos...

Rector? Z całą pewnością słyszałam to nazwisko gdzieś na wyspie, a przynajmniej je widziałam. Tylko gdzie?

A, tak. Ponieważ lokalne interesy nie szły najlepiej -w dużej mierze dzięki firmie mojego taty - bodajże co drugi sklep czy punkt usługowy na Isla Huesos miał w witrynie tabliczkę „Na sprzedaż”. Biuro Nieruchomości Rectora było wszędzie. Czy to mogło mieć jakiś związek z Sethem Rectorem? - Chciałem tylko przywitać was wszystkich, i nowych, i powracających uczniów, zanim oddam mikrofon komuś, kogo, jak sądzę, wszyscy dobrze znacie. Ale najpierw chciałbym omówić z wami ważną kwestię dotyczącą bezpieczeństwa. A ta kwestia to... ogniska.

Dyrektor Alvarez spojrzał w notatki. Notatki? Serio? Co za nuda.

- Dlaczego nie pozwalamy już na palenie ognisk podczas szkolnych rozgrywek futbolowych? Już wam mówię. Tutaj, na Isla Huesos, średnia temperatura we wrześniu wynosi trzydzieści i pół stopnia. Przy takim upale ognisko może łatwo wymknąć się spod kontroli...

Ale nazwisko Rector widziałam nie tylko na tablicach biura nieruchomości. Było jeszcze gdzieś...

Tak, teraz sobie przypomniałam. Było wyrzeźbione w polerowanym marmurze jednego z mauzoleów, które mijaliśmy z mamą na cmentarzu podczas naszej rowerowej wycieczki po wyspie.

W odróżnieniu od pozostałych krypt w pobliżu, mauzoleum Rectorów miało własną działkę, odgradzoną niskim, łańcuchowym płotkiem, miało parter i piętro,

i błyszczące, mosiężne tabliczki z nazwiskami. Ta rodzina naprawdę wykosztowała się dla swoich drogich zmarłych.

- Chyba mają za dużo kasy - zauważyłam, zastanawiając się, dlaczego mój naszyjnik, schowany pod koszulką z dekoltem w serek, przybrał kolor tak głębokiej, burzowej szarości.

- To prawda - odparła mama dziwnym głosem. -Mają.

- Co się stało, mamó? - Kiedy oderwałam wzrok od naszyjnika i spojrzałam na nią, zobaczyłam, że jest biała na twarzy jak jej sukienka. - Znasz tych ludzi?

- Kiedyś znałam - odparła nieobecny tonem. -Dawno temu.

Potem jakby się otrząsnęła, oparła stopę na pedale i uśmiechnęła się do mnie.

- No popatrz, taki piękni dzień, a my siedzimy na cmentarzu. Jedźmy gdzieś na lemoniadę.

- I dlatego w tym roku - truł dalej dyrektor Alvarez - podejmiemy środki zapobiegawcze, by ukrócić te wybryki. Powinniście wiedzieć, że funkcjonariusze policji Isla Huesos, razem z personelem uznawanego i nagradzanego w całym kraju, innowacyjnego programu nauczania Nowe Drogi, podczas najbliższych dni i nocy będą patrolować wyspę. W tym roku zamierzają być szczególnie czujni...

Rozległo się buczenie. Tak mnie przestraszyło, wytrącając z myśli o wycieczce z mamą po cmentarzu, że o mało nie spadłam z krzesła. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Jakim cudem doszliśmy od ognisk do patroli

policji - i moich terapeutów z Nowych Dróg - które miały zapobiegać jakimś wybrykom? Nigdy jeszcze nie widziałam tak wrogiego tłumy. W mojej starej szkole nigdy nie działo się nic takiego... Chyba że liczyć skandal, który wybuchł po tym, jak próbowałam udowodnić, że moja była przyjaciółka miała romans z trenerem koszykówki.

- My po prostu nie chcemy, żeby komuś stała się krzywda! - krzyczał do mikrofonu dyrektor Alvarez. - Przecież wiecie, że to wszystko dla waszego bezpieczeństwa! Wykroczenia, wandalizm i podpalenia nie będą w tym roku tolerowane i będą ścigane z całą surowością prawa. A każdy winowajca zostanie ukarany i przez wymiar sprawiedliwości, i przez system szkolny. Zarzuty, od zakłócania porządku po pobicie, nie wspominając już o wydaleniu ze szkoły...

Buczenie przerodziło się we wrzaski. Ludzie zaczęli rzucać obelgi, i to nie tylko o matce dyrektora Alvareza. Poleciało mięso o jego żonie - choć nie wszystko po angielsku, więc nie wylapałam szczegółów.

Z kolei Alex i Kayla wyglądali po prostu na znudzonych. No okej, Kayla wyglądała na znużoną. Znowu klikała na swoim profilu na Facebooku.

Alex wyglądał na zniesmaczonego.

Ale on bardzo często wyglądał na zniesmaczonego. Kto mógłby mu się dziwić? Życie nie rozdało mojemu kuzynowi najlepszych kart. Nie dość, że musiał mieszkać z babcią, to jeszcze ojciec przez większość jego życia siedział w więzieniu, a o okazjonalnych wizytach matki, przyjeżdżającej z kontynentu, Alex nawet nie chciał

mówić. Poza tą jedną uwagą, że teraz, kiedy ojciec jest w domu, więcej wizyt nie będzie, bo wujek Chris nie mógł jej ścierpieć (pracowała w jakiejś firmie, do której można było zajrzeć w necie, ale tylko po ukończeniu osiemnastu lat).

„Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G”.

- Co więcej - ciągnął dyrektor Alvarez, podnosząc głos, jakby większe natężenie mogło skłonić ludzi do słuchania. Widziałam, że jego czoło zaczyna błyszczeć. Bo rzeczywiście w auli zrobiło się dość gorąco. Nie tylko pod względem temperatury powietrza.

- Powinniście wiedzieć, że skontaktowaliśmy się ze wszystkimi miejscowymi sklepami budowlanymi, prosząc, żeby przez najbliższy tydzień nie sprzedawali dużych ilości drewna młodocianym ani ich rodzicom.

Piekło. Nigdy nie słyszałam takiej eksplozji. Ludzie stali na siedzeniach. Można by pomyśleć, że ktoś odebrał im przywilej jedzenia lunchu poza kampusem, albo coś w tym stylu.

Policjanci, którzy przedtem podpierali ściany, zrobili krok naprzód, gotowi do akcji. Uczniowie, którzy stali na siedzeniach, usiedli z powrotem. Ale wciąż byli wzburzeni.

Spojrzałam na Alexa, nic nie rozumiejąc.

- Co jest grane? Czemu tak się wściekli? Tylko dlatego, że nie mogą rozpalić jakiegoś głupiego ogniska?

- Nie - odparł Alex, kręcąc głową. Uśmiechał się gorzko. - Tu wcale nie chodzi o ogniska. To drewno nie służy im do palenia.

Pokręciłam głową.

- Co? Nic nie kumam.

- Nie przejmuj się. On też nie - powiedział Alex, wskazując ruchem głowy dyrektora. - To jak w Nowych Drogach. Bez przerwy urządzają takie gówniane akcje. Ale to niczego nie zmienia. W większości przypadków tylko pogarsza sprawę. Niech upchną nas wszystkich w skrzydle D.

- Zaraz. - Teraz byłam już kompletnie skołowana. -Co ma z tym wspólnego skrzydło D?

Alex spojrzał za moje plecy.

- Ona pyta, co ma z tym wspólnego skrzydło D -powiedział do Kayli z uśmiechem politowania.

- Aj - rzuciła Kayla. Mlasnęła językiem i pokręciła głową. - Laska.

- Co? - spytałam, wciąż nic nie rozumiejąc. - O co chodzi? To tylko budynek.

- Jest urocza - powiedziała Kayla do Alexa. - Skąd ją wytrzasnąłeś?

- Z ładu - odparł Alex tonem pod tytułem „nie żal ci jej?”

Dyrektor Alvarez uniósł obie ręce.

- Ludzie! Ludzie, słuchajcie... Proszę... Komendant policji Santos wszystko wam wyjaśni! Panie komendancie. .. w pańskie ręce.

To powiedziawszy, dyrektor Alvarez uciekł ze sceny. Z wielką ochotą pozwolił komuś innemu przyjąć winę na siebie.

Ale komendant policji nie spieszył się na scenę. On, w odróżnieniu od dyrektora, nie trzymał karteczek z notatkami.

Trzymał za to prawą dłoń na kolbie pistoletu przy biodrze. Nie wiem, czy robił to celowo, czy nie, ale zauważyłam, że buczenie natychmiast ucichło.

I nikt nie krzyknął nawet słowa o jego żonie. Prawdę mówiąc, pełna szacunku - czy może strachu - cisza znów ogarnęła widownię.

Bo rzeczywiście komendant Santos wyglądał trochę przerażająco. Był potężny, miał popielaty wąs, popielate, krzaczaste brwi i bardzo niski, dźwięczny głos. Nie tylko powoli podchodził do mikrofonu, ale też powoli dobierał słowa.

- Dziękuję, panie dyrektorze - powiedział, nawet nie zerknąwszy na niższego mężczyznę. Swoje jastrzębie spojrzenie wbijał w nas. Szczerze mówiąc, miałam wrażenie, że patrzy prosto na mnie. Zapadłam się trochę głębiej w siedzenie. Chciało mi się napoju z kofeiną bardziej niż kiedykolwiek.

- Dość tej zabawy - zaczął komendant, trochę cedząc słowa przez zęby. - Nie jesteście dziećmi. I wszyscy wiecie, dlaczego tu jestem. - Można by usłyszeć delfina pluskającego ogonem w morzu. Nie zrobiłam niczego złego - a przynajmniej nie w Liceum Isla Huesos. Ale czułam się, jakbym zrobiła.

Zaraz... to o to chodziło? Czytał moją kartotekę? Czyżby wiedział, co zrobiłam w starej szkole? To musiało być to. Wiedział.

Tylko że ja nic nie zrobiłam. Owszem, planowałam coś zrobić.

Ale nie zrobiłam. To był John. Nic nie zostało udowodnione - przynajmniej nie w sądzie. Nigdy nie

wniesiono przeciwko mnie zarzutów kryminalnych, z braku dowodów.

A prywatne oskarżenia? To już zupełnie inna sprawa.

- Zauważyliśmy już przejawy wandalizmu w pewnej części miasta, a to ledwie pierwszy dzień szkoły -ciągnął komendant Santos swoim wyważonym głosem.

Zaraz. Wandalizm?

Zachciało mi się śmiać. Co ze mną było nie tak? Znaczy, oprócz tego, co oczywiste. Na litość boską, dlaczego pomyślałam choćby przez sekundę, że to ma cokolwiek wspólnego ze mną?

Jade miała rację: powinnam sobie odpuścić. Ostatecznie to naprawdę tylko liceum.

- I myślę, że wiecie, o jakim rejonie miasta mówię -ciągnął komendant.

Zauważyłam subtelny zmianę w postawie policjantów stojących przy wyjściach. Tak jak ich szef, trzymali teraz dłonie na kolbach pistoletów.

To nie były żarty.

- Kiedy wasz dyrektor do mnie przyszedł - perorował komendant Santos tonem jeszcze bardziej starannym i opanowanym niż do tej pory - powiedziałem mu, że nic na świecie nie sprawi mi większej przyjemności niż przyjść tutaj i do was przemówić. Szczerze mówiąc...

Komendant oparł się o mównicę i pokiwał na nas palcem, jakby chciał nas przywołać bliżej, bo zaraz wyjawia nam jakiś sekret.

On, w odróżnieniu od dyrektora Alvareza, był tak przekonującym mówcą, że odruchowo się pochyliłam, zanim zreflektowałam się, jakie to głupie. Co komen-



dant policji z Isla Huesos mógł mieć mi do powiedzenia? Nawet mnie nie znał.

I jeśli sprawy potoczą się tak, jak miałam nadzieję, nigdy mnie nie pozna.

- Chciałbym, żebyście wszyscy po tym spotkaniu poszli do domów i powiedzieli rodzicom, z których wielu uczęszczało do tej szacownej instytucji, że komendant Santos przyszedł do was dzisiaj i mówił o wiekowej tradycji Isla Huesos, którą z pewnością niejeden z nich celebrował. Chcę, żebyście im powiedzieli: mamó, tato...

Jego głos wzniosł się, i tonacja, i natężenie. Teraz już nie szeptał. Jego słowa huknęły w auli jak grom, aż ściany się zatrzęsły:

- W tym roku Nocy Trumien nie będzie.

Natychmiast rozległ się gniewny jęk, a po nim oburzone pomruki. Ludzie wydawali się szczerze zawiedzeni, że nie będą mogli obchodzić święta, które nazywało się Noc Trumien.

Co to za pokręcone miejsce?

- Uczniowie - ciągnął szef policji, unosząc ręce, żeby zaprowadzić ciszę. I posłuchano go. - Może trzeba było się nad tym zastanowić, zanim ktoś z was włamał się wczoraj w nocy na cmentarz i go zdemolował. Nie tylko jedną z krypt, ale też bramę.

Gapiałam się na niego, ledwie ważąc się oddychać. Cmentarz.

o Boże.

I brama. Ta rozwalona, pogięta brama.

- Cmentarz to nie jest wasz prywatny plac zabaw! -Głos komendanta, który do tej pory był dość przyjemny

dla ucha, wzniosł się do gromkiego ryku i przestraszył nawet Kaylę. Opuściła komórkę i zagapiła się na komendanta szeroko otwartymi oczami. - To miejsce spoczynku zmarłych. Tym grobom należy się szacunek. Dopóki ja jestem na służbie, nie będziecie ich bezcześcić dla swoich dziecinnych zabaw... Żadnego z nich! Wyrażam się jasno?

Pulsujący ból w moim karku się nasilił. - A teraz, kiedy słuchacie mnie już z należytą uwagą - powiedział komendant trochę ciszej - chcę was poinformować, że do odwołania brama cmentarza będzie zamknięta przez całą dobę. Oczywiście kiedy już zostanie zreperowana, na wypadek gdyby ktoś z was nie potraktował moich słów poważnie. A ponieważ wśród was może się znaleźć jeden czy dwóch głupków, którzy spróbują przejść przez ogrodzenie - och! - kilku moich funkcjonariuszy będzie nocą patrolować okolicę. Z pewnością nie spodoba się to tym z was, którzy zechcą odwiedzić swoich krewnych pochowanych na naszym cmentarzu. Ale proszę bardzo, możecie się umawiać na konkretną godzinę z zarządcą, panem Richardem Smithem.

Komendant Santos wskazał starszego pana, elegancko ubranego w lnianą marynarkę, jasnozieloną muszkę i słomkowy kapelusz. Siedział na składanym krześle u stóp schodów prowadzących na scenę, z aktówką na kolanach. Kiedy padło jego nazwisko, wstał, uchylił nam kapelusza i usiadł.

Rozpoznałam w nim natychmiast człowieka, który tyle razy na mnie nakrzyczał, że robię z cmentarza drogę publiczną.

- Zarządca Smith z radością otworzy bramę i odprowadzi do grobu każdego z was, kto będzie chciał wyrazić szacunek dla swoich bliskich, i poczeka do zakończenia wizyty - wyjaśnił komendant.

Zarządca cmentarza Richard Smith znów wstał i zawołał głosem dziwnie dźwięcznym jak na tak podeszły wiek:

- W godzinach urzędowania! - I usiadł z powrotem.

- W godzinach urzędowania, oczywiście - powtórzył do mikrofonu komendant Santos.

Znów rozległy się niezadowolone pomruki zgromadzonych. Z wyjątkiem Alexa, który uniósł tylko brew, jakby cała ta sprawa wydawała mu się dość interesująca. Zaczął wybijać długopisem nerwowy rytm na oparciu siedzenia przed sobą ku wielkiemu niezadowoleniu siedzącej tam dziewczyny.

- Możesz przestać, z łaski swojej? - spytała dziewczyna, odwróciwszy się gwałtownie.

- Sorki - powiedział Alex i przestał bębnić.

- Kto chce potem iść na mordercę żołądka? - spytała Kayla, unosząc głowę znad telefonu.

- Ja mam tylko pięć dolców - odparł Alex.

- Laska może zapłacić - powiedziała Kayla. - Czy jej tatko nie jest przypadkiem jakimś bogaczem?

Wchodzisz w to, laska?

- Jasne - odparłam. - Cokolwiek to jest.

Nie miałam pojęcia, na co się właśnie zgodziłam. Kiedy tak siedziałam, oszołomiona, jakbym właśnie potknęła się o szalik i zafundowała sobie kolejny krwiak

podtwardówkowy, mogłam myśleć tylko o tym, że John znów to zrobił:  
Zostawił namacalny dowód, że naprawdę istnieje, i przy okazji popełnił kolejne przestępstwo.  
Przestępstwo, o które policja Isla Huesos - tak jak policja w Connecticut, która uznała, że nie ma innego wyjścia, bo przecież nie może obwinie dwumetrowego cienia, który, choć widoczny na filmie, nie zostawił śladów stóp ani odcisków palców - obwini mnie.  
Czy mój dzień mógł być jeszcze gorszy?  
Okazało się, że może być gorszy. O wiele gorszy.  
Bo kiedy po apelu poszłam do biura Nowych Dróg po swój telefon (Alex i Kayla wlekli się za mną, marudząc, po co w ogóle idziemy po mój telefon, skoro i tak nikt do mnie nie dzwoni), zastałam tam nie kogo innego, jak moją mamę, gawędzącą z Timem, Jade i innymi terapeutami.  
Ale nie to było najgorsze. O nie. Bo w kącie poczekalni, na jednym z fioletowych, plastikowych krzeseł, przeglądając stary numer „Time'a” w okularach w złotych oprawkach, siedział sobie cichutko zarządca cmentarza Richard Smith. Jego słomiany kapelusz i aktówka leżały na krześle obok. A na aktówce leżał naszyjnik.  
Mój naszyjnik.

*Nie chodzą duchy dobre ku tej wodzie;  
Wiesz teraz, czemu, widząc cię w ich kole,  
Chciał tobie Charon stawać na przeszkodzie.*

### **Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń III**

Moje serce radośnie podskoczyło w piersi, kiedy tylko spojrzałam na kamień. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo za nim tęskniłam, dopóki nie zobaczyłam go u kogoś innego. Ale to nie był po prostu ktoś. Mój naszyjnik był w rękach zarządcy cmentarza. Co to mogło oznaczać? Domyślałam się, że nic dobrego.

- O, cześć, kotku! - krzyknęła mama. Udało jej się powstrzymać i nie uściskać mnie przy wszystkich. Ale było widać, że właśnie to chciała zrobić.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że wpadłam - powiedziała. - Wiem, Alex, że miałeś ją podwieźć do domu, ale po prostu nie mogłam się doczekać. Chciałam zobaczyć na własne oczy, jak poszło. Przysięgam, że miałam większą szkolną tremę niż wy, dzieciaki!

Nie. Nie sędę, mamó. Bó widzisz, ty nie wiesz, co mnie spotkało wczoraj wieczorem na cmentarzu. Przespałaś całą burzę.

I nie masz pojęcia, co ten stary człowiek, siedzący na plastikowym krześle, ma zamiar zrobić. Ja też nie mam pojęcia, prawdę mówiąc.

Ale nie zdoła mi nic udowodnić. Każdy mógł mieć taki naszyjnik. No, może nie każdy. I może nie całkiem taki sam.

Ale to nieważne. Dopóki nie zrobi niczego, co mnie wkurzy.

- Nie martw się, mamó. - Podeszłam i objęłam ją jedną ręką. Miałam nadzieję, że nie poczuje, jak bardzo się trzęsę. - Całkiem udany dzień.

Kłamstwo. I było jasne, że ten dzień zrobi się dużo, dużo gorszy.

- Och. - Mama westchnęła, odwzajemniając uścisk. - Tak się cieszę. Oczywiście nie spodziewałam się niczego innego - dodała cicho - ale nic nie poradzę, że trochę się zaniepokoiłam, kiedy podjechałam pod szkołę i zobaczyłam te wszystkie radiowozy...

- A, to nie było nic ważnego - odparłam, starannie omijając wzrokiem zarządcę cmentarza.

- Jasne - parsknęła ironicznie Kayla. - Przyjechali tylko powstrzymać uczniów przed wywołaniem zamieszek i zamordowaniem dyrektora Alvareza, bo odwołał Noc Trumien. Znowu. Jak zwykle.

- Noc Trumien? - Z gardła mamy wyrwał się radosny śmiech. Gdyby wszedł tu ktoś, kto nie wiedziałby, co się dzieje, mógłby ją wziąć za członkinię personelu

Nowych Dróg. Niewiele się od niech różniła, tyle że nie miała tatuaży. Główna różnica polegała na tym, że mama była ubrana w granatową koszulkę polo z emblematem Instytutu Morskiego Isla Huesos. Właśnie załatwiła sobie u nich posadę. Czyli podarowała im sporą część pieniędzy, które dostała od taty na mocy ugody rozwodowej.

Biorąc pod uwagę jej stopnie naukowe, IMIH pewnie i tak by ją zatrudnił. Ale nie mogliby wypłacać jej pensji, bo bardzo słabo stali z funduszami. Teraz, dzięki mamie, mieli ich pod dostatkiem. A warzęchy, których populacja naprawdę została zdziesiątkowana, w dużej mierze z winy firmy taty, miały szansę zawalczyć o życie... I nie tylko warzęch, ale mnóstwa innych miejscowych gatunków morskiej fauny.

Czasami przynosiła mi ulgę świadomość, że małżeńskie problemy moich rodziców nie wynikły wyłącznie z mojego wypadku.

- Nie mówcie, że nasz ogólniak nadal urządza Noc Trumien - mówiła mama, podekscytowana jak dziecko, ściskając dłoń Kayli, która właśnie jej się przedstawiła. Wyglądało na to, że Kayla uwielbia przedstawiać się ludziom. Nie bardzo wiedziałam, z jakiego powodu była w Nowych Drogach, ale nieśmiałość na pewno nie należała do jej problemów.

- No cóż, powiedzmy, że dyrekcja robi wszystko, co w jej mocy, żeby nie urządzał - powiedział Tim.  
- Ale trudno pozbyć się starych nawyków.

Trudno mi było nadażać za rozmową i jednocześnie mieć oko na zarządcę Smitha. Czy rozpoznał mnie po

tym, jak tyle razy prosił mnie, żebym zsiadła z roweru i okazała trochę szacunku zmarłym? Na pewno nie.

A nawet jeśli, to co? Nie wiedział, że to mój naszyjnik ani że byłam wczoraj wieczorem na cmentarzu, ani że miałam cokolwiek wspólnego ze zniszczoną bramą.

Tylko że oczywiście w łańcuszku wciąż był zaplątany kołtun włosów, które sobie wyrwałam, kiedy dramatycznym gestem ściągałam naszyjnik przez głowę, żeby oddać go Johnowi. Nawet teraz widziałam ciemnobrązowy kosmyk na jaśniejszej skórze aktówki.

Czy mógł ode mnie zażądać próbki DNA? Nie bez nakazu.

Ale nawet gdyby mógł, co z tego? Byłam na cmentarzu mnóstwo razy, a pierwszy raz już dziesięć lat temu. Nie mógł mi udowodnić, że byłam tam wczoraj. A poza tym przecież nic nie zrobiłam tej bramie! Jak bym mogła? Jestem tylko panienką z Akademii dla Dziewcząt w Westport.

A przynajmniej byłabym, gdyby mnie nie wyrzucono za napaść.

- A skoro już mowa o starych nawykach - powiedział Tim. - Gratulacje, Pierce. Cały dzień z głowy, a ty nie zarobiłaś żadnego ZOS ani ZZW. Tak trzymaj. - Otworzył szufladę i wyjął moją komórkę, po czym podał mi ją zamaszystym gestem.

- Dzięki. - Wzięłam telefon z jego wyciągniętej ręki. Tim, dyrektor programu Nowe Drogi, był raczej w wieku mojej mamy niż Jade, więc nie używał takich słów jak „mega” i nie miał żadnych widocznych tatuaży. Zamiast tego używał słów jak ZOS - zawieszenie



w obowiązkach szkolnych - i ZZW - zawieszenie z zakazem wstępu - i nosił krawat.

- To możemy już iść? - spytał Alex tak niecierpliwie, że Jade, która stała oparta o drzwi gabinetu ze słojem czerwonej lukrecji w ramionach, wybuchnęła śmiechem.

- Co się tak spieszysz, kolego? - spytała, przechylając słoje w jego stronę. - Nie możesz się doczekać pracy domowej?

- Idziemy do Queen - wyjaśniła Kayla, zanurzając dłoń w słoju; Jade podsunęła go jej, kiedy Alex pokręcił głową. - I chcemy tam dotrzeć przed hordami głodomorów.

- Och - rzuciła mama ze spojrzeniem, które dobrze znałam. To samo spojrzenie dostrzegłam, kiedy Kayla wspomniała o Nocy Trumien, cokolwiek to było... rozmarzone spojrzenie pełne tęsknoty za szczęśliwymi czasami, które minęły. - Dzieciaki ciągle chodzą po szkole na lody do tego lokalu naprzeciwko plaży Higginsa?

- Tak - odparł krótko Alex. - I dlatego musimy się pospieszyć. Potrzebuję czegoś więcej niż dietetycznej lukrecji, żeby zapewnić sobie popołudniową działkę cukru.

Wszyscy się roześmiali... z wyjątkiem zarządcy Smitha, który odłożył czasopismo i wstał.

- Na twoim miejscu nie żartowałbym na temat działek, młody człowieku - powiedział ponuro do Alexa. - Szczególnie biorąc pod uwagę, ile czasu twój ojciec spędził w więzieniu i za co.

Śmiech umilkł tak gwałtownie, jakby porwał go jeden z podmuchów wczorajszego burzowego wiatru.

- Przepraszam bardzo - wtrąciła mama spiętym tonem, odwracając się do pana Smitha. - My się chyba nie znamy. Jestem Deborah Cabrero, a to jest moja córka, Pierce. Alex jest moim bratankiem.

Christopher Cabrero, jego ojciec, jest moim bratem.

- Wiem - odparł zarządca cmentarza. Zupełnie nie był zmieszany. Wyglądał, jakby stanie w biurze Nowych Dróg w lnianej marynarce i muszce i urządzenie awantur było na dzisiaj jego jedynym zajęciem.

A ponieważ pracował na cmentarzu, którego (zepsuta) bramę zamknięto na dobre, prawdopodobnie było to na dzisiaj jego jedyne zajęcie.

- To wstyd, co spotkało pani brata. I zupełnie niepotrzebnie. Nie chciałbym widzieć, jak ten młodzieniec idzie w jego ślady. - Ciemne oczy pana Smitha popatrzyły na Alexa, który zaczerwienił się ze złości aż po linię kruczoczarnych włosów.

Ale zanim Alex zdążył odpowiedzieć, pan Smith odwrócił się i, patrząc na moją mamę znad złotych oprawek swoich okularów, powiedział:

- Pani życie ułożyło się zupełnie inaczej niż pani brata, nieprawdaż, Deborah? Grywałem w *bocce*\* z pani ojcem, zanim zmarł. Był z pani bardzo dumny. Wielka szkoda, że nie odwiedzała go pani częściej, kiedy jeszcze żył. - Nie przegapiłam nagany w jego tonie i nie miałam pojęcia, jak mama mogła ją przegapić... ale z nią nigdy nic nie wiadomo. Często zostawia głowę wśród warzéch. - Ale widzę, że tymczasem wróciła pani na

**Odmiana gry w kule (przyp. tłum.).**

Isla Huesos. Mam nadzieję, że teraz będzie pani mogła okazać Christopherowi trochę więcej wsparcia niż wtedy.

Oczy mamy stały się wielkie jak spodki. Byłam pewna, że tym razem nie zostawiła głowy wśród warzéch. Zauważyła wyrzut Smitha, że nie odwiedzała dziadka przed śmiercią. I tę, że nie wspierała wujka Chrisa... cokolwiek to miało znaczyć.

Jeszcze zanim spojrzałam w dół, kark zaczął mi pulsować.

Ale kiedy zerknęłam na buty zarządcy cementarza, wiedziałam, że jest już za późno. Chwościki.

- Nie bardzo wiem, do czego pan pije, panie Smith -mówiła mama spiętym, zduszonym głosem. - Ale dziękuję za troskę. Mój brat radzi sobie bardzo dobrze od czasu zwolnienia...

- Naprawdę? - spytał pan Smith tonem, w którym słychać było szczere zadowolenie. - To dobrze. W liceum był dość lubianym chłopcem, o ile pamiętam. Na pewno bez przerwy ma gości...

Co? Coś tu się nie zgadzało. Nikt nigdy nie odwiedzał wujka Christophera, przynajmniej wtedy, kiedy wpadałam do babci na kolację albo posiedzieć z Alexem czy po prostu w milczeniu pooglądać kanał Meteo z jego tatą. Ten kanał był całkiem niezły, prawdę mówiąc. Pokazywali mnóstwo programów o ludziach, których wessało tornado.

„Wy dwoje - mawiała zawsze babcia, kiedy wracała po długim dniu w Manji Dzierganja - jak dwa groszki

w strączku! Jak możecie to pić? Od tego gnije mózg. Pierce, czy twój doktor wie, ile napojów dziennie wypijasz? Nie obchodzi mnie, że są dietetyczne. Zdawało mi się, że nie powinnaś pić kofeiny. Tak mówi twoja mama. Z każdym dniem jesteś bardziej podobna do ojca. Christopher, mógłbyś z łaski swojej przestać ją zachęcać?" „Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G". Ale to, co mówił zarządca cmentarza, bez wątpienia było prawdą. Wujek Christopher, tak jak i moja mama, był bardzo popularny w liceum. Kiedy weszliśmy do głównego budynku LIH, teraz nazywanego skrzydłem A, by zanieść moje papiery z Akademii w Westport i zapisać mnie na zajęcia, Alex pokazał mi gablotkę z trofeami. Nazwisko wujka Chrisa było wszędzie. Mamy też, w takich dyscyplinach jak tenis i pływanie. Dziadek był biegaczem, a babcia królową szkolnych zjazdów. Całe skrzydło A było wytapetowane rodziną Cabrero. Wszystkimi, z wyjątkiem Alexa. I mnie, oczywiście. Moja mama stała w biurze Nowych Dróg w skrzydle D i, przygryzając wargę, patrzyła w podłogę... chociaż nie w kierunku chwościków na butach pana Smitha. Czego nie mogłam zrozumieć. Jak mogła ich nie widzieć? Jak ktokolwiek mógł patrzeć na coś innego? Były takie ohydne.

Spojrzałam na naszyjnik. Nawet nie miałam go na sobie, a i tak zaczynał przybierać kolor siniaka. Zrozumiałam, że muszę wyjść, zanim stanie się coś straszego.

- No cóż - wtrącił Tim natarczywie wesołym głosem, przerywając nagłą ciszę. - Alexander jest uczestnikiem

naszego programu Nowe Drogi i świetnie sobie radzi. Jest świetnym chłopakiem.

- Ogromnie miło mi to słyszeć. - Richard Smith spojrział na Alexa znad oprawek okularów. Ale choć jego usta wypowiadały słowo „miło”, jego spojrzenie tego nie potwierdzało. - Przyszedłem, bo mam do omówienia niezwykle ważną sprawę.

Odwrócił się i schylił nad teczką, na której leżał mój naszyjnik, starannie ułożony na środku.

O nie. On wiedział. Nie miałam pojęcia skąd, ale wiedział. Wiedział, że to ja byłam wczoraj wieczorem na cmentarzu i że miałam coś wspólnego z tą bramą. Chociaż nie miałam. Nie do końca.

Podniósł fioletowoszary kamień.

Usłyszałam, że mama gwałtownie wciągnęła powietrze. Poznała go. Oczywiście, że tak. Tysiąc razy widziała go na mnie, przez cały ten pokręcony czas po wypadku i po rozwodzie, i każdego dnia później. Chociaż nigdy nie przyszło jej do głowy zapytać jeszcze raz, skąd go wzięłam. Myślała chyba, że to jakieś sztuczne świecidełko, do którego czułam ekscentryczne przywiązanie.

Teraz, widząc go w cudzych rękach, spojrzała mi w oczy, zdumiona.

Z krwią huczącą w uszach zaklinałam ją w duchu, żeby nic nie mówiła. Ściany biura Nowych Dróg nagle stały się tak czerwone, jakby wyrastały z nich kwiaty poincjany.

Nie mów tego, myślałam. Nie wiedziałam, czy przemawiam do siebie, do mamy czy do Richarda Smitha.

Błagam, nie mów tego. Jeśli to powiesz, stanie się coś strasznego...

Ale wtedy zarządca cmentarza odłożył mój naszyjnik na bok, otworzył aktówkę i wyjął z niej plik kartek.

- Miałem nadzieję, że pomożecie mi rozprować te ulotki. - Odwrócił się, podszedł do nas i wręczył każdemu z nas po pliku. - Wyjaśniają nowe regulacje dotyczące wizyt na cmentarzu. Chciałbym rozdać je tak szybko, jak to możliwe.

Tim, stojący obok mnie, spojrzał na kartki, które zarządca cmentarza wetknął nam w dłonie. Miał trochę skołowaną minę.

Nie on jeden.

- Mógł pan po prostu zostawić je w sekretariacie szkoły - powiedział. - Wie pan, panie Richardzie, zwykle oni zajmują się takimi sprawami.

- A tak - odparł zarządca Smith, krzątając się po biurze i z ważną miną rozdając swoje ulotki. - Wiem. Ale przekonałem się, że personel skrzydła D jest o wiele bardziej skłonny do współpracy.

Stałam tam, gapiąc się na plik kartek w moich dłoniach. Czerwień sącząca się ze ścian biura Nowych Dróg zaczynała znikać, mój puls i oddech wracały do normy.

Ale nagle zauważyłam, że moje ulotki różnią się od wszystkich pozostałych. Na pierwszej od góry widniała jakaś notka, napisana, zdaje się, piórem wiecznym, płynną kursywą.

„Proszę się ze mną umówić - napisał zarządca cmentarza. - Zrobi to Pani, jeśli nie chce Pani kłopotów”.

Pod tą wiadomością był numer telefonu.

Kłopoty były ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam.

Rzecz w tym, że kłopoty, jak wytknął mi wczoraj John, zawsze pojawiają się tam, gdzie ja.

Patrzyłam na wiadomość, próbując ją zrozumieć -skąd wiedział, skąd Richard Smith wiedział, że to byłam ja? - aż usłyszałam kliknięcie. Kiedy uniosłam wzrok, zarządca właśnie zamykał aktówkę.

Z moim naszyjnikiem w środku.

- No to do widzenia państwu - powiedział, biorąc teczkę i machając nam wesoło na pożegnanie. -

Miłego popołudnia.

I wyszedł, pogwizdując jakąś melodyjkę. Przechodząc pod dużymi oknami biura, spojrzał mi prosto w oczy.

Dopiero później uświadomiłam sobie, że melodia, którą gwizdał, to było *Ring Around The Rosie*.

Co tak naprawdę nic nie znaczy.

Chyba że jesteś kimś, kto kiedyś umarł, a potem wrócił do świata żywych. I spędził dużo czasu w necie, wyszukując dziwne fakty na temat śmierci. Na przykład taki, że niektórzy ludzie wierzą, że dziecięca rymowanka *Ring Around the Rosie* tak naprawdę jest o pladze czarnej śmierci, która w średniowieczu zabiła jakieś sto milionów ludzi.

- Hm. - Jade westchnęła, kiedy już sobie poszedł. -Dziwny gość. - Przechyliła w moją stronę swój słoik. -Lukrecji?

Spojrzałam na czerwone, długie kluski.

- Uch. Dziękuję, ale nie, dziękuję. - Straciłam apetyt.

Zdaje się, że mama czuła się tak samo. Uśmiechnęła się do mnie - zbyt radośnie - jakby chciała mi pokazać, że wszystko jest w porządku.

Ale ja widziałam, że ścisnęła pasek swojej torebki tak mocno, że zbieleły jej kostki palców. Wiedziała, że nic nie jest w porządku, tak samo jak ja.

- No dobrze! - Spojrzała na Alexa, Kaylę i na mnie. - Island Queen! To dopiero będzie frajda, nie?

- O, tak - odparłam. - Będzie mega.



*Z pola tez wianie buchnęło ogromne,  
Przeleciał po nim gromu błysk czerwieny  
I omdlały mi zmysły nieprzytomne.*

**Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III**

Mogłabym wymyślić całe mnóstwo rzeczy, które wolałabym robić, zamiast stać w dwudziestoosobowej kolejce przed Island Queen w palącym słońcu popołudnia - tandetnej, wyspiarskiej podróbce Dairy Queen.

Na przykład spanie. Nie pospałam za długo ostatniej nocy. I to prawda, że głównie z własnej winy. Ale jednak.

Po drugie, umówienie spotkania z Richardem Smithem, żeby mieć to już z głowy.

Ale nie odebrał, kiedy zadzwoniłam do niego z damskiej ubikacji, zanim dołączyłam do Alexa i Kayli na parkingu dla uczniów. Pewnie dlatego, że jeszcze nie dotarł do siebie. Numer, który mi zostawił, mógł nie być na komórkę. Smith nie wyglądał na kogoś, kto ma komórkę. Może nawet nie wiedział, co to takiego.

- Hm, witam, ee, panie Smith - wydukałam. - Mówi Pierce Oliviera. Właśnie spotkaliśmy się w biurze Nowych Dróg. Dał mi pan liścik z prośbą o kontakt. -Dłonie wciąż miałam spocone po naszym spotkaniu,

choć klimatyzacja w szkole była ustawiona, zdawałoby się, poniżej zera. - Więc dzwonię, żeby umówić się na spotkanie, o które pan prosił - zakończyłam.

To była chyba najbardziej żałosna wiadomość zostawiona na sekretarce w historii świata. Ale co ja miałam powiedzieć? „Chcę odebrać mój naszyjnik, który zostawiłam na cmentarzu wczoraj wieczorem, kiedy popełniono tam przestępstwo”? Nie zamierzałam nagrywać niczego, co mogłoby mnie obciążyć. Nauczyłam się tego po akcji w Westport.

- Gdyby pan mógł do mnie oddzwonić - dodałam - w najbliższym dogodnym terminie, byłabym wdzięczna. Im szybciej, tym lepiej, bo chciałabym wyjaśnić sprawę jeszcze dzisiaj, jeśli to możliwe. - Zostawiłam numer, na wypadek gdyby nie miał identyfikacji, i się rozłączyłam.

Teraz nie miałam do roboty nic innego, jak tylko zabijać czas, dopóki pan Smith nie oddzwoni. Wolałabym nie robić tego w koszmarnie długiej kolejce w dzikim upale, czekając na zamówienie czegoś, co nazywało się zabójca żołądka.

- Morderca - poprawiła mnie Kayla, kiedy spytałam, dlaczego nie możemy iść po to gdzie indziej. - Morderca żołądka. I robią je tylko tutaj. To coś jak śnieżycy z Dairy Queen, tylko lepsze, bo dają tam więcej rzeczy.

- Jakich rzeczy? - spytałam. Byłam rozdrażniona i naprawdę nie chciałam stać w tej kolejce. A jeśli pan Smith zapyta mnie prosto z mostu, skąd wzięłam naszyjnik?

Jakie „jeśli”? Na pewno mnie zapyta.

- No, wiesz - mówiła Kayla. - Rzeczy. Ja lubię czekoladową kruszonkę. Alex lubi butterfingery z M&M'sami. A ty co najbardziej lubisz?

Ale zarządca cmentarza mógł mnie zapytać o coś jeszcze gorszego. I konieczność odpowiadania na to pytanie przerażała mnie jeszcze bardziej. Wspomnienie, w jaki sposób została zniszczona brama i dlaczego, nadal było zbyt świeże. Nie miałam pewności, czy zdołam skutecznie nakłamać, nie wydawało mi się.

„Powie ci, co możesz zrobić - oświadczył John, kiedy spytałam, co jeszcze mogę zrobić, żeby mu pomóc. - Możesz zostawić mnie w spokoju”.

A potem dodał: „Zapewniam cię, nie musisz się już martwić, że się zjawię i będę zachowywał się jak palant”, a w następnej chwili rozwalil kopniakiem bramę cmentarza Isla Huesos. Hałas był jak grom dźwiękowy.

- Laska. Laska. Pierce. Spojrzałam na Kaylę.

- Przepraszam - powiedziałam, mrugając nieprzytomnie. - Co?

Przewróciła oczami.

- Co jest z tą twoją kuzynką, Alex?

- Jest na lekach - mruknął Alex. - Ale uzupełnia je dużymi dawkami kofeiny, chociaż jej nie wolno. Spojrzałam na niego ze złością.

- Pięknie. Widzę, że ktoś tu słuchał babci. Nawet nie odpowiedział. Rozglądał się w kolejce przed i za nami, niemal jakby kogoś szukał albo, przeciwnie, bał się spotkać... Ale kogo?

Nie całkiem tego się spodziewałam, kiedy zgodziłam się pójść z nimi na lody po szkole. Chciałam tylko wyglądać, jakbym była normalna, jakbym miała znajomych, jakbym była taka sama jak wszyscy. To chyba jedyne, co mogłoby ucieszyć mamę w biurze Nowych Dróg po rozmowie z zarządcą cementarza na temat wujka Chrisa.

No i o co tam w ogóle chodziło? Nigdy nie wiedziałam dokładnie, za co wujek Chris poszedł siedzieć. Coś z narkotykami... posiadanie z zamiarem dystrybucji. W każdym razie nic związanego z przemocą. To wiedziałam. Byłam jedyną osobą w rodzinie, która miała coś takiego w kartotece. A raczej miałabym, gdyby prawnicy taty nie załatwili sprawy.

- Baw się dobrze - powtarzała mama, machając mi na pożegnanie w biurze Nowych Dróg.

Proszę cię, błagały jej oczy. Proszę, nie schrzań nam tego, jak to zrobiłaś w Westport.

Więc starałam się tego nie schrzań, jak to zrobiłam w Westport.

Ale jak na razie jedyną rozrywką na tej wycieczce do Island Queen było obserwowanie, jak mój kuzyn kłóci się z Kaylą.

- No co - mówiła właśnie Kayla do Alexa. - Przecież raczej nie jest Miss Niewiniątek.

- Kayla - rzucił Alex rozdrażnionym tonem.

- Co? - spytała zaczepnie. - Przecież to prawda, nie? Wszyscy o tym gadają. To jest nawet w Google, jeśli wpiszesz jej nazwisko.

- Kayla - powtórzył Alex. - Skończ już.

Posłała mu kolejne urażone spojrzenie.

- Nie wsadziliby jej do skrzydła D, gdyby była normalna. Wszystko i tak wyjdzie na grupie w tym tygodniu, więc równie dobrze może przyznać się od razu.

- Hm - rzuciłam. - O czym mowa?

- O tobie - wyjaśniła Kayla. - To zabiłaś tego nauczyciela w poprzedniej szkole czy nie? - Alex ukrył twarz w dłoniach.

- O rany - powiedziałam. - Naprawdę? Nie. Kayla zrobiła zawiedzioną minę.

- O. Wszyscy mówią, że go zabiłaś.

- Nie zabiłam.

- Ale nieźle go zmasakrowałaś - upierała się Kayla. - Co nie?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, jedna z dziewczyn, które posyłały mi złe spojrzenia w auli - rozpoznałam ją po nieprawdopodobnie prostych włosach - przeszła obok nas.

- O mój Boże - jęknęła, zatrzymując się i podchodząc do mnie. - Zaraz. Ty jesteś Pierce Oliviera, zgadza się?

Nie widziałam jej nigdy w życiu, nie licząc auli, gdzie najpierw patrzyła na mnie pogardliwie, a potem najwyraźniej jej się odmieniło.

Ale teraz podeszła do mnie z szerokim uśmiechem, jakbyśmy były przyjaciółkami, które nie widziały się od lat.

- Hm. Tak.

- O mój Boże! - wykrzyknęła znów. Wręcz podskoczyła z radości. - Nie mogłam się doczekać, żeby cię poznać! Jestem Farah. Farah Endicott. Dziewczyna

Setha Rectora. Seth powiedział, że poznał cię dzisiaj i że jesteś świetna.

W pierwszej chwili nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Potem przypomniałam sobie gościa, który pomógł mi złapać zwiewający plan zajęć i który później uspokoił wszystkich w auli. Seth Rector z Nieruchomości Rectora. I prawdopodobnie z mauzoleum Rectorów na cmentarzu.

W każdym razie kiedyś. Teraz oczywiście nie był z mauzoleum.

- A. - Nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. -Cześć.

- Czemu stoisz tu na końcu? - spytała Farah z przerażoną miną. Mówiła tak głośno, że wszyscy w kolejce przestali gapić się na mnie, dziewczynę, która, przynajmniej według Kayli, podobno zabiła nauczyciela, i teraz gapili się na nią. - Beznadziejnie.

- Hm. - Spojrzałam na Alexa i Kaylę, których, jak zauważyłam, Farah całkowicie zignorowała.

Ale chyba nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo i oni ignorowali ją. Alex wpatrywał się kamiennym wzrokiem w morze. Plaża była raptem sto metrów dalej, po drugiej stronie parkingu i za metrowym falochronem. A Kayla wyjęła komórkę i czytała SMS-y.

- Bo chyba przyszliśmy trochę za późno - wyjaśniłam. - Musieliśmy jeszcze gdzieś wpaść po szkole. Nie wspomniałam, że musieliśmy wpaść do biura Nowych Dróg po moją komórkę, której nie wolno mi było nosić w szkole między innymi z powodu moich neurobehawioralnych zaburzeń rozwojowych.

- No to usiądźcie z nami - zaproponowała Farah z szerokim uśmiechem, chwytając za łokieć nie mnie, a Kaylę... co zaskoczyło nie tylko mnie, ale przede wszystkim Kaylę. Zobaczyłam, że zeszywniała i wymieniła szybkie, osłupiałe spojrzenie z moim kuzynem. -Mamy stoliki na plaży, z parasolami, znaczy, w cieniu. A Seth jest już prawie na samym początku kolejki. Po prostu powiedzcie mi, co chcecie, i wam zamówimy. A potem posiedzimy sobie nad wodą. Tam jest o wiele przyjemniej, nie uwierzycie, o ile fajniej niż tu.

- Nie - rzuciła szybko Kayla. - Dzięki, Farah, ale nie.

- No - zawtórował jej Alex. - Dzięki, ale nie trzeba. Spojrzałam na Alexa, na Kaylę i znów na Alexa.

Tu

działo się coś dziwnego.

To prawda, że jedyne, na co miałam w tej chwili ochotę, to kupić tego głupiego mordercę żołądka, zjeść go, a potem wrócić do domu i czekać na telefon od pana Smitha, żeby wreszcie się dowiedzieć, czego chciał.

Jakoś nie zachwycała mnie możliwość, że zostanę oskarżona o kolejne przestępstwo, którego nawet nie popełniłam.

Ale skoro to i tak miało nastąpić, to wolałam poczekać w klimatyzowanym pomieszczeniu albo przynajmniej w cieniu.

Nawet jeśli Kayla i Alex nie mieli dokładnie takich samych problemów jak ja, było trochę dziwne, że woleli pocić się tu przez kolejną godzinę, niż przyjąć zaproszenie Farah.

- Mamy świetny stół - nalegała Farah, zasmucona. Odęła wargi pomalowane wiśniowym błyszczkiem.

Wskazała na jasnoniebieskie, metalowe stoliki piknikowe koło plaży, osłonięte wielkimi, żółtymi parasolami. Zostało przy nich ledwie kilka wolnych miejsc, które najwidoczniej były zarezerwowane dla nas. - Tutaj tego nie czuć, ale tam jest taki miły wietrzyk. I przysięgam, jak mi powiecie, co chcecie, to Seth wam zamówi. Już stoi przy kasie. Co macie do stracenia?

Spojrzałam na Kaylę i mojego kuzyna. No właśnie, co mieli do stracenia?

Strach. Dostrzegłam go w egzotycznie umalowanych oczach Kayli. Z jakiegoś powodu bała się Farah. A przynajmniej kogoś, kto mógł siedzieć przy jej stoliku.

A Alex? No cóż, z ciemnych oczu Alexa nie mogłam nic wyczytać.

Wiedziałam, że Alex ma jakiś problem z Sethem Rectorem. Wiedziałam, że mój diament zrobił się szary jak burzowa chmura, kiedy stałam przed mauzoleum Rectorów tamtego dnia z mamą. Tak jak wiedziałam, że stał się fioletowy, kiedy pierwszy raz spotkałam Kaylę w biurze Nowych Dróg.

Nie wiedziałam, dlaczego to wszystko się działo.

I prawda była taka, że sama miałam parę tajemnic. Więc kim ja byłam, żeby osądzać Alexa czy Kaylę? Ale wiedziałam też, stojąc tam, na parkingu Island Queen, że po takiej nocy - i po takim dniu - po prostu dłużej nie dam rady. Przecież chodziło o to, że mam zacząć wszystko od nowa, że mam nie być dziewczyną, która tylko się przygląda, kiedy ludziom wokół niej dzieje się krzywda. To nie miało się więcej wydarzyć.



Więc niezależnie od problemów, jakie Alex i Kayla mieli z Sethem i Farah, lub kimkolwiek, kto siedział przy ich stoliku na plaży, zamierzałam dotrzeć do sedna konfliktu. Tym razem ochronię przyjaciół przed złem.

A jedynym sposobem było dowiedzieć się, co to za zło.

- Ja poproszę cokie float - powiedziałam do Farah. - To duża cola z kulką lodów waniliowych. Weź to.

- Wcisnęłam dwudziestodolarowy banknot w dłoń z białymi paznokciami, po czym wskazałam ruchem głowy Alexa i Kaylę. - A dla nich jeden morderca żołądka z czekoladową kruszonką i jeden z kawałkami butterfingera i M&M'sami.

Błyszczące, odęte usta Farah rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, odsłaniając idealnie proste, białe zęby. Były niesamowite, jak u jej chłopaka.

- Super - powiedziała. - To spotkamy się przy stoliku. Zauważyłam, że większość chłopaków wokół nas

z przyjemnością patrzy, jak Farah buja się - nie idzie -w stronę kasy, powiewając za sobą plisami ciemnozielonej miniówki (z całą pewnością krótszej niż dziesięć centymetrów nad kolano).

Większość chłopaków, z wyjątkiem mojego kuzyna Alexa.

- Niepotrzebnie to zrobiłaś - powiedział, odwracając się do mnie gwałtownie.

- Spoko. - Założyłam pasek torby na ramię. Była ciężka, bo napełniłam ją wszystkimi książkami, których bym potrzebowała, gdybym chciała odrabiać pracę domową. Nie wiem, dlaczego nie zostawiłam jej

w samochodzie. Nigdy niczego nie przemyśle jak należy. Oczywiście. Niby jak miałam odrabiać lekcje. - Możecie mi oddać pó...

- Myślisz, że jak kupiłaś mi mordercę - powiedział Alex, ciskając we mnie swoim gniewem tak jak John ciskał grzmotami - to pójdę i usiądę tam z tymi koleśkami ze skrzydła A, i przekonamy się, że mimo oczywistych różnic zewnętrznych mamy ze sobą mnóstwo wspólnego? Że nikomu nie przeszkadza, że oni noszą markowe ciuchy i jeżdżą nowiutkimi furami od tatusia na urodziny, a ja noszę szmaty z Armii Zbawienia i jeżdżę zardzewiałą kupą złomu? A może sobie razem zaśpiewamy i zatańczymy, a potem dostaniemy role w wyspiarskiej wersji *High School Musical*, jakby to był jakiś cholerny filmik Disneya? No więc, mam dla ciebie nowinę, Pierce. Nigdzie nie idę. I chociaż babcia tak mówi, nie jesteś taka jak twój ojciec. Nie możesz po prostu zasypać problemu kasą, żeby zniknął. Szczerze mówiąc, wiesz, co możesz sobie zrobić ze swoją kasą, Pierce? Możesz ją sobie...

- Prrr - przerwała mu Kayla, usiłując utrzymać pokój. - Go to ma być? Myślałam, że przyszliśmy tu na lody.

- Dzięki - powiedziałam do niej z wdzięcznością. Nigdy nie widziałam Alexa tak wściekłego.

- Jeszcze mi nie dziękuj - odparła Kayla. - Kto zamawia coke float zamiast mordercy żołądka? To chore.

- Och. - Mama przestrzegła mnie, żebym niechcący nie uraziła miejscowych. Spróbowałam pomyśleć, co zrobiłaby w tej sytuacji Jade. - Przynajmniej nie poprosiłam o dietetyczną colę - przypomniałam jej.

Kayla popatrzyła na mnie i powoli pokręciła głową.

- Jesteś pewien, że ona nie zabiła tego nauczyciela? - To pytanie skierowała do Alexa.

- To nie żarty - odparł. Ale nie patrzył na Kaylę. Patrzył na mnie. I nie mówił o tym, co zamówiłam.

-Niektórzy naprawdę tu mieszkają.

Dokładnie to samo powiedział o turystach, których widzieliśmy rano w drodze do szkoły.

I to zabolalo - tak jak tego chciał - bo wiedziałam, że właśnie tak myślał o mnie... i pewnie też o mamie. Jakbyśmy były tu tylko przejazdem.

I może trochę na to zasłużywałyśmy. Bo gdzie byliśmy przez cały czas, kiedy on wychowywał się bez mamy i taty, tylko z szurniętą babcią?

To oczywiste, że byliśmy dla niego turystkami. Nawet Richard Smith, zarządca cementarza, nam to wytknął. Po moich narodzinach i po aresztowaniu wujka Chrisa mama nigdy nie zajrzała na Isla Huesos. Nigdy nie widziałam swojego dziadka. Dopiero na pogrzebie. Kiedy spotkałam Johna.

Który, tak jak Alex, chciał tylko, żebym zostawiła go w spokoju.

- Przepraszam - powiedziałam do Alexa, i to szczerze. - Wiem, że zaprosili nas tylko dlatego, że chcą się pobawić w obczajanie nowej laski. Ale kogo to obchodzi? Mają miejsca w cieniu i nie będziemy musieli dłużej stać w tej kolejce...

- Może ty chcesz sobie z nimi siedzieć w cieniu -przerwał mi Alex, dosłownie gotując się ze złości. - Ale cały świat nie obraca się wokół ciebie, wiesz, Pierce?

Może niektórzy mają z nimi problemy. Prawdziwe problemy. Pomyślałaś o tym w ogóle?

- Jakie problemy? - spytałam. Wreszcie robiliśmy jakieś postępy. Zastanawiałam się nad tym przez całe popołudnie. - Co ci zrobił Seth Rector?

- Po prostu się w to nie wtrącaj, Pierce - odparł Alex. - Nie wiesz, w co się pakujesz, uwierz mi.

- Hej! - Farah, z tacą wypełnioną wysokimi kubkami, kiwnęła na nas głową z początku kolejki. - Idziecie?

- Eee - zawahałam się, machając do niej ręką - Tak! Czekaaj.

Odwrociłam się z powrotem do Alexa.

- Ja nie wiem, w co się pakuję? - spytałam. - Jaja sobie robisz? Mam ci przypomnieć, że umarłam?

Więc cokolwiek jest grane między tobą a Sethem Rectorem, szczerze wątpię, żeby było gorsze.

Kayla wybałuszyła oczy.

- Ona umarła? Alex, tego mi nie mówileś.

Alex patrzył na mnie ze złością jeszcze przez sekundę czy dwie. Przez moment myślałam, że może nawet powie mi prawdę. Widziałam, jak jego jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół. Pot błyszczał mu na czole i skroniach. Miałam wrażenie, że chce mi powiedzieć... i byłoby fajnie, bo gdybym wiedziała, o co chodzi, mogłabym popracować nad rozwiązaniem problemu. Niekórzy może i nie chcieli mojej pomocy...

Ale, ku mojemu rozczarowaniu, powiedział tylko:

- Pieprzę to. Chcesz się bujać ze swoimi nowymi kumplami ze skrzydła A? To baw się dobrze. Miej ubaw po pachy. Ja spadam.

Po czym odwrócił się, nie mówiąc mi więcej, i ruszył przez parking do swojego auta.

- Kurczę. - Kayla patrzyła za nim. A potem spojrzała na mnie. - Moje graty są w jego samochodzie.

Książki i wszystko.

- W porządku. Idź za nim.

Kayla zawahała się, zerkając za moje plecy w stronę stolika pełnego uderzająco atrakcyjnych ludzi ze skrzydła A, którzy rozdzielali między sobą lody, przyniesione przez Farah i Setha.

- Nie rozumiem - powiedziała. Uniosłam brwi.

- Czego nie rozumiesz?

- Dlaczego olałaś własnego kuzyna, żeby siedzieć z nimi. Oni są naprawdę wredni dla ludzi, którzy nie są... tacy jak oni.

- Staram się zacząć wszystko od nowa - wyjaśniłam. - A ten nowy początek polega też na tym, żeby nic złego nie spotkało ludzi, których kocham.

- Ach tak. - Sądząc z jej miny, nie zrozumiała. Ale nie szkodzi. Tak naprawdę nikt nie rozumiał. - No to powodzenia.

Potem zawołała:

- Alex, czekaj ! - i pobiegła za nim. Westchnęłam.

Podniosłam swoją ciężką torbę i wyruszyłam w długą, gorącą drogę po plaży w stronę piknikowych stołów.

*Dłoń mi na dłoni położył i lice  
Ukazał jasne, duchem natchnął śmiałem,  
Po czym wprowadził w głębin tajemnice.*

**Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń III**

Dlaczego już mnie nie kochasz?

Właśnie to napisała Hannah w liściku, który zostawiła panu Muellerowi tego dnia, kiedy umarła - w liściku, który już nie istniał, bo został zniszczony przez pana Muellera.

„Dlaczego już mnie nie kochasz?”

Hanna może i z własnej woli połknęła pigułki, które ją zabiły.

A ja może i nawaliłam, nie byłam przy niej, wciąż zbyt skołowana i przerażona tym, co mnie spotkało, żeby pamiętać o swojej obietnicy, że będę ją chronić przed złem.

Ale pan Mueller?

To on tak naprawdę odpowiadał za śmierć Hannah. Czułam to w kościach, było to dla mnie równie pewne, jak to, że mama Hannah zostawiła jej pokój nienaruszony, jak coś w rodzaju kaplicy, dokładnie taki sam, jaki był w dniu jej śmierci. Nawet ciuchy w koszu na

pranie pozostały nietknięte, żeby jej rodzice mogli od czasu do czasu podnieść pokrywę kosza, poczuć zapach swojej córki i udawać, że ona wciąż żyje.

Przez całe tygodnie po śmierci Hannah nie myślałam o niczym innym.

Jak mogłam do tego dopuścić?

Przecież to ja powiedziałam Hannah, że zło nie mieszka tylko na cmentarzach.

Zło może być wszędzie. W naszych kościołach. W naszych domach.

W naszych szkołach.

I chociaż obiecałam, nie zrobiłam nic, żeby ją przed nim ochronić.

Któregoś dnia podsłuchałam, jak mój tata mówi, że Changowie nie mają szans na wygraną w sądzie i nie zmuszą szkoły do usunięcia pana Muellera ze stanowiska. Bo jest tylko ich słowo przeciw jego słowu, a na dowód mają jedynie kilka wpisów z pamiętnika Hannah. Wiedziałam już, co muszę zrobić.

I tym razem nie zamierzałam uciekać jak przestraszona dziewczynka, tak jak uciekłam od Johna, już dwa razy.

Ale oczywiście od samego początku wszystko poszło źle. Nie spodziewałam się, że pan Mueller zgasi górne światło podczas naszych prywatnych korepetycji, na które wreszcie się zgodziłam. Bo bolała go głowa, jak powiedział, od tego całego niepokoju.

Oczywiście nikt w Akademii dla Dziewcząt w Westport nie wierzył, że miał romans z uczennicą, która

się zabiła. Nikt oprócz mnie. Pozew sądowy państwa

Chang sprawił wręcz, że pan Mueller stał się jeszcze bardziej lubiany. W obawie o jego zdrowie - bo przez stres w sędzie zrobił się blady pod tą swoją bródką -wiele matek i córek zaczęło mu zostawiać jeszcze więcej wypieków. Niektóre dziewczyny wymyśliły nowy okrzyk dopingujący, żeby okazać mu swoje wsparcie. Nazywały to Zawołanie Muellera. Wykonywały je przy okazji każdego meczu i szkolnej imprezy.

Ale to nie było takie złe jak przezwiska pod adresem Hannah, które zaczęły pojawiać się w necie: Dziwka. Kłamczucha. Szmata.

Nie wystarczyło, że Hannah umarła. Musiały zabić też jej pamięć.

Szkoła nie wysłała pana Muellera nawet na urlop. Pewnie nie mogli, bo to by wyglądało tak, jakby zajęli stanowisko.

Przez te wydarzenia widziałam na czerwono. Dosłownie. Codziennie szłam korytarzami Akademii dla Dziewcząt w Westport i prawie cały czas, gdziekolwiek spojrzalam, widziałam czerwień. Czerwień, jak kolor tych kwiatów poincjany. Jak kolor chwostów na moim szaliku.

I może dlatego zorientowałam się, że przeceniłam swoje możliwości, jeszcze zanim zgasło światło w klasie pana Muellera. Moje serce tłukło się tak mocno, że ledwie mówiłam, a on nawet nie tknął mnie palcem. W plecaku ukryłam kamerę z obiektywem wystawionym przez otwór w przedniej kieszeni (znalazłam ten sposób w necie). Jak niby miała zadziałać w tym półmroku? Było ciemno, bo za oknem szalała wiosenna burza.



Nie przemyślałam nawet, co właściwie zrobię, kiedy już sfilmuję jakieś jego nieodpowiednie zachowanie wobec mnie. Zakładałam, że powiem po prostu: „Oj, sorry, właśnie sobie przypomniałam, że jestem umówiona, panie Mueller. Muszę już lecieć, na razie!”

Bo jak inaczej miałam się stąd wydostać, zanim naprawdę będę musiała to z nim zrobić? A jeśli on się wścieknie i spróbuje mnie zatrzymać? A jeśli ja się wścieknę i ściany zrobią się czerwone, a potem pojawi się John i spróbuje zabić pana Muellera, tak jak wtedy z jubilerem?

Nie mogłam do tego dopuścić. Musiałam nad sobą panować. Pan Mueller musiał żyć, żeby stanąć przed swoimi oskarżycielami. Mogłam poradzić sobie z tym sama, jeśli tylko będę nad sobą panować. Pan Mueller ciągle powtarzał, że powinniśmy zrobić sobie nawzajem masaż karku, że wie, jaka muszę być spięta przez te wszystkie problemy w domu, przez rozwód rodziców. Media trąbiły o tym w trzech stanach z powodu pieniędzy, jakie wchodziły w grę, i stanowiska mojego taty. Pan Mueller powiedział, że wyobraża sobie, jak ja muszę się czuć, skoro on był taki zestresowany. Ale to nic złego. Oboje jesteśmy dorośli. Możemy spokojnie przyznać, że się sobie podobamy.

Wtedy zrozumiałam, że nie dam rady. Nie chodziło tylko o to, że kamera pewnie i tak nic nie nagrywała w słabym świetle, więc wszystko na nic - bo oczywiście ja musiałam zdobyć to, czego nie mieli Changowie: dowód. Chodziło też o to, że teraz, kiedy byliśmy tylko we dwoje, na samą myśl o tym, że pan Mueller miałby

dotknąć jakiegokolwiek części mojego ciała, miałam ochotę wymiotować.

A najgorsze było to, że i tak nikt by nie uwierzył. Bo dlaczego miałby uwierzyć?

Pewnie to mnie tak rozgniewało. Tak bardzo, że brzegi mojego pola widzenia zaczęły czerwienieć.

O, nie.

Na nagraniu wydarzeń w klasie pana Muellera tamtego popołudnia z powodu braku oświetlenia widać niewiele. Tylko białą bluzkę mojego mundurka i czarną plamę ręki pana Muellera, zbliżającej się do mnie.

Słysząc też jego głos, zapewniający mnie, że wszystko będzie dobrze. Radzący, że muszę tylko się wyluzować.

Nie cierpię, kiedy ludzie mówią mi, że mam się wyluzować.

Czy Hannah też powiedział, żeby się wyluzowała? Założę się, że tak.

Wtedy wszystko przed moimi oczami zrobiło się amarantowe.

- Nie ma już odpowiedzialności, Pierce - lubił narzekać tato podczas naszych wytwornych lunchów.

- Nikt nie pociąga ludzi do odpowiedzialności za to, co robią. To zawsze wina kogoś innego. Zwykle ludzie po prostu obwiniają ofiarę.

„Dziwka. Kłamczucha. Szmata”.

Ja pociągałam pana Muellera do odpowiedzialności za to, co spotkało Hannah.

Dokładnie w chwili, kiedy pan Mueller mówi mi, żebym się wyluzowała i wyciąga rękę w moją stronę

-jak sądziłam, żeby wymasować mi kark, ale szybko się

przekonałam, że powód był całkiem inny - dzieje się to. Można to zobaczyć na nagraniu. Jestem ja, oparta o brzeg jego biurka, wmawiająca sobie, że dam radę, nawet jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli (kiedyś czekałam, aż tato wyjdzie z zebrania zarządu i jego kierowca, były gliniarz, nauczył mnie, jak uderzyć kogoś w samoobronie, gdyby zaszła taka konieczność). I jest pan Mueller, stojący przede mną, unoszący rękę. Jego dłoń zbliża się do mojej twarzy. W następnej sekundzie pana Muellera już nie ma. To znaczy, nie dosłownie. Po prostu na nagraniu pojawia się czarny cień, zasłaniając cały obiektyw na sekundę czy dwie. Jakby do sali wszedł ktoś trzeci. i chociaż nikt - nawet najlepsi eksperci od analizy nagrań cyfrowych ani rzekomi świadkowie, którym tato obiecywał złote góry za zeznanie - nie potrafił tego stwierdzić z całą pewnością, dla mnie ten cień wygląda jak postać mężczyzny... Bardzo wysokiego mężczyzny z dość długimi, ciemnymi włosami, może osiemnasto- czy dziewiętnastoletniego. Przez kilka sekund na nagraniu nie widać nic. Ekran jest czarny. Słychać tylko dźwięk. Krótką szamotaninę, potem prowokujące mdłości chrupnięcie, jakąś przytłumioną rozmowę. W kolejnej sekundzie cień znika. Widać mnie, dokładnie w tym samym miejscu co przedtem, opartą o biurko. Tylko że teraz, zamiast stać przede mną z wyciągniętą ręką, pan Mueller kuli się pod tablicą, przyciskając rękę do piersi. I wrzeszczy.

A to dlatego, że wszystkie kości w jego ręce właśnie zostały zmiżdżone.

A najbardziej kości palca, którym kiedyś przycisnął okruszek ciastka do mojego gołego kolana. Te w szczególności zostały zgniecione na miazgę.

Policja z Westport mówi: „To mało prawdopodobne... choć nie niemożliwe”, żeby dziewczyna tak drobna jak ja mogła zadać takie obrażenia dorosłemu mężczyźnie.

Niestety, pan Marzjak, dozorca, przysięga, że nie widział, by ktokolwiek inny wchodził albo wychodził z sali. Dopiero kilka minut później przyjechało pogotowie, wezwane przez niego, gdy wszedł i znalazł pana Muellera wijącego się z bólu. Pan Marzjak usłyszał wrzaski. Był w korytarzu i zmywał podłogę. I to właśnie dlatego pan Mueller, który o tym wiedział, próbował zakryć mi usta ręką, w obawie, że krzyknę i zaalarmuję dozorcę.

Policja nie uwierzyła w opowieść pana Muellera, że to ja go zaatakowałam - którą to historyjkę opowiedział im, jak to opisali w raporcie, „w stanie wielkiego wzburzenia”.

Nie uwierzyli mu do tego stopnia, że przeczesali całą szkołę i jej tereny w poszukiwaniu osoby trzeciej, jeszcze zanim znaleźli cyfrową kamerę, wciąż działającą w moim plecaku, i odtworzyli film. Ale nie znaleziono nikogo. Z powodu ulewy, która wtedy trwała, ktokolwiek, kto mógłby wyskoczyć z okna klasy pana Muellera na parterze, musiałby zostawić ślady. Ale ziemia pod oknami była nienaruszona.

Oczywiście nie znaleziono żadnego dowodu. Dlaczego John miałby zawracać sobie głowę wchodzeniem

przez drzwi czy okno jak normalny człowiek? Dlaczego miałby się witać? Tylko pstryk, chrup i pa. Tyle że nie powiedział nawet pa.

Zatrzymał się tylko, żeby posłać mi dzikie, pełne wyrzutu spojrzenie swoich srebrnych oczu, tuż zanim zniknął.

- Czekał - powiedziałam do niego, gdy pojawił się znikąd, zrobił jeden krok naprzód, chwycił rękę pana Muellera przed moją twarzą i wykręcił ją do tyłu z taką siłą, że trener koszykówki padł przede mną na kolana.

W sali nie było aż tak ciemno, żebym nie widziała, jak krew odpływa panu Muellerowi z twarzy. Pomyślałabym nawet, że na kilka sekund zemdłał, gdyby nie jęki. Tylko dlatego, że John trzymał go na wpół uwieszonego, nie osunął się na podłogę.

- Co? - John zdążył się już zamachnąć drugą pięścią, gotów stłuc pana Muellera do nieprzytomności. Nie był zachwycony moim widokiem.

I nie dziwiłam mu się, biorąc pod uwagę okoliczności. Wyglądało na to, że spotykamy się zawsze, kiedy mam jakieś kłopoty.

John stał, patrząc na mnie wściekłym wzrokiem; jego pierś wznosiła się i opadała dokładnie tak jak pierś tego gołębia, którego znalazłam w dniu, gdy się poznaliśmy; jego oczy szklily się od podobnego bólu i dezorientacji. Pewnie miotanie się między równoległymi wymiarami nie jest łatwe.

- Nie rób tego - powiedziałam, spoglądając na bladą twarz pana Muellera. - Proszę cię, John. Nie rób tego.

John wpatrywał się we mnie, jakby nie rozumiał ani słowa.

Ja sama nie wiedziałam, czy rozumiem. Wiedziałałam tylko, że nie mogę patrzeć, jak kolejny człowiek umiera. Nawet ktoś, kogo nienawidziłam tak jak pana Muellera.

Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na pięści Johna.

Tyle rzeczy mogłam wtedy powiedzieć. Tyle rzeczy powinnam była powiedzieć.

Ale z moich ust wyrwało się tylko jedno słowo... imię, którego od tygodni nie mogłam wyrzucić z głowy. Powód, dla którego tutaj byłam, dla którego wszyscy troje tu byliśmy.

- Hannah. - W tych dwóch sylabach mieścił się cały ocean bólu.

Nie mogłam znieść myśli, że ona może ciągle być na brzegu tego jeziora, że czeka zmarznięta na łódź - tę drugą łódź. Od kiedy usłyszałam o jej śmierci, mogłam myśleć tylko o tym. I o udowodnieniu, że pan Mueller miał z nią romans. Musiałam się dowiedzieć, że u niej wszystko dobrze.

A byłam pewna, że John powie mi prawdę.

Kiedy tylko go dotknęłam, zobaczyłam, że dzikość znika z jego twarzy. Jego spojrzenie złagodniało, zdawało mi się, że wstrzymał oddech. Nawet pokręcił głową, jakby w zdumieniu. Jakby pytał:

Naprawdę? To o to tu chodziło?

- Jest z ludźmi, którzy ją kochają - powiedział. Przygarbiłam się z ulgi. Tylko to chciałam usłyszeć.

John spojrział na pana Muellera, którego jęki przybrały na sile i którego powieki zaczęły trzepotać. Potem spojrział na mnie.

- Czy ty...

Urwał, bo drzwi do sali się otwierały. Do środka wchodził pan Marzjak, który usłyszał krzyki nauczyciela. Wtedy John zniknął.

I to wszystko wydarzyło się tak szybko, że równie dobrze mogło mi się tylko wydawać... gdyby nie nagranie na kamerze.

Pan Mueller oczywiście zaprzeczył, że w sali był ktokolwiek inny. Mówił, że wpadłam w szal, kiedy przeglądaliśmy pytania z fizyki, i zaatakowałam go niesprovokowana.

W tę wersję wydarzeń postanowili uwierzyć wszyscy w Akademii dla Dziewcząt w Westport. Więc teraz zamiast Hannah Chang to mnie zaczęli nazywać w necie dziwką, kłamczuchą i szmatą.

Mnie to nie przeszkadzało, ponieważ pan Mueller został trwale zawieszony w pełnieniu obowiązków. „Incydent”, jak to nazywają, wciąż jest przedmiotem śledztwa.

I przynajmniej nikt już nie wykonuje Zawołania Muellera.

Ale, jak stwierdzili prawnicy taty, pan Mueller ma sporo istotnych powodów, żeby trzymać się swojej historii. Nawet jeśli już nigdy nie będzie uczył - a to możliwe, chyba że da radę z jedną sprawną ręką - może wydebić przyzwoite odszkodowanie na podstawie

pozwu cywilnego. Przecież został zaatakowany przez nienormalną córkę Zacka Ołiviery (a przynajmniej tak twierdzi). Wszyscy wiedzą, że ludzie, którzy umarli i zmartwychwstali, wracają... cóż, trochę dziwni.

Nieważne. Bo choć nikt nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, co zaszło podczas „incydentu”, z powodu marnego oświetlenia i jęków pana Muellera, to nagranie wszystkiego, co pan Mueller mówił, zanim zaczął krzyczeć, bardzo zaintrygowało prokuratora, nie wspominając już o państwu Chang. I tu wchodzi moje zeznanie.

- Dlaczego pan Mueller próbował zakryć mi usta ręką? - spytałam policjantów jeszcze na miejscu zbrodni. Byłam roztrzęsiona. Każdy by był. Ale miałam na pociechę słowa Johna. Hannah jest z ludźmi, którzy ją kochają. Dostała się do właściwej kolejki, do właściwej łodzi. Nie musiałam się już o nią martwić. - Jeśli nie chciał zrobić nic złego, to dlaczego tak się bał, że zacznę krzyczeć?

- To jest bardzo dobre pytanie - przyznali.

Po tym, co się stało, pani Keeler delikatnie „zasugerowała” moim rodzicom, żeby znaleźli dla mnie „alternatywne rozwiązanie edukacyjne”, czyli szkołę, która lepiej sobie poradzi z moimi „trudnościami”.

Kiedy to powiedziała, wybuchnęłam śmiechem, tam, przy moich rodzicach.

Trudności. Jasne.

- Bronić się to jedno! - wrzeszczał na mnie tato podczas naszego następnego lunchu. - To rozumiem. Czy ja ci kiedyś mówiłem, że nie masz się bronić? Nie. Ale



czy musiałaś go trwale okaleczyć? Wydałem tyle forsy na tę wymyślną szkołę dla dziewcząt, nie wspominając już o pieniądzach na psychiatrów, i co z tego mam? ¶

Wzruszyłam ramionami.

- Pozew cywilny na sześć zer?

- Kupiłem ci nawet tego przeklętego konia od Changów - krzyczał dalej, ignorując mnie - bo mówiłaś, że tak strasznie chcesz go mieć. A ty co zrobiłaś? Z miejsca oddałaś go do jakiegoś wariatkova!

- To jest szkoła dla dzieci autystycznych, tato -odparłam spokojnie, bawiąc się słomką w napoju.

-Odważniak będzie brał udział w ich programie hipoterapii. Bardzo uszczęśliwi mnóstwo dzieciaków, będzie codziennie dosiadany, głaskany i przytulany. Ty masz dzięki temu odpis od podatku, a państwo Chang nie muszą już utrzymywać konia, na którym nikt nie jeździ.

- Już nawet nie wspomnę - ryknął tato tak głośno, że wszyscy inni biznesmeni w trzyczęściowych garniturach odwrócili się i zagapili na nas - co się stało z moimi butami! Zniknęły wszystkie z chwościkami! Co mam wziąć pod klucz następnym razem, kiedy się z tobą zobaczę? Jak nie japońskie gwiazdy, to buty. Proszę, powiedz mi. Czasami się o ciebie martwię, Pierce, naprawdę. Czy ty w ogóle w pełni rozumiesz konsekwencje swoich czynów?

- Nie wiem, tato - powiedziałam. Prawda była taka,

że po raz pierwszy od długiego czasu czułam się dobrze. Nawet kiedy tato krzyczał na mnie przy sałatce cobb i; w eleganckiej restauracji na środkowym Manhattanie.

Owszem, wyrzucili mnie ze szkoły. Nie mogłam wytrzymać godziny bez kofeinowego napoju. A facet, którego poznałam, kiedy byłam martwa, wyskakiwał jak diabeł z pudełka i narażał mnie na sześciocyfrowe pozwy cywilne.

Ale pozytywnie patrzyłam w przyszłość.

- Nie możesz powiedzieć, że nie wynikło z tego nic dobrego - powiedziałam do taty.

- Jedna rzecz. - Tato uniósł gruby palec wskazujący. - Wymień jedną dobrą rzecz, która z tego wynikła.

Wzruszyłam ramionami.

- Przynajmniej nareszcie znalazłam sobie zajęcie pozaszkolne, w które się zaangażowałam.

Tato nie uznał tego za zabawne. Chyba miał rację co do jednego: Czasami nie w pełni rozumiałam konsekwencje swojego zachowania.

*Czyniły wrzawę, na czarne powietrze  
Lecząc wiru wieczystymi skręty,  
Jak piasek, gdy się z huraganem zetrze.*

**Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III**

Nikt nawet nie próbował być subtelny.

- Słuchajcie, to jest Pierce OHviera - oznajmiła Farah, znacząco podkreślając moje nazwisko. Zaczęła rozdawać morderców żołądka. Dotarła do stolika z drugą partią zamówień w tej samej chwili co ja. Jakiś koleś z jasnymi włosami podgolonymi po wojskowemu, ze skórą o różowej barwie zachodów słońca na Isla Huesos i szyją grubą jak opona od traktora był pod wrażeniem.

- O, hej - powiedział. - Słyszałem o tobie. To nie twój ojciec ma firmę, która zaopatruje wojsko w broń, czy coś? To ten, co zawsze wrzeszczy w telewizji?

- Bryce. - Farah przewróciła oczami i uśmiechnęła się do mnie przepraszająco. - Nie przejmuj się nim. Rzadko opuszcza wyspę.

- Co znowu zrobiłem? - Bryce miał oburzoną minę. - Tylko zadałem pytanie. Nie mogę spytać, czy jej ojciec to ten gość z telewizji? Bo to ten, nie?

- Tak - odparłam, siadając obok niego. - Zack Oli-viera to mój tato.

I już. Byłam swoja.

Ale nie tylko dzięki temu, kim był mój ojciec. Jak się okazało, istniało całe mnóstwo innych powodów.

- Gdzie poszli twoi kumple? - spytała z ciekawością Farah, rozglądając się za Kaylą i Alexem.

- Oj, musieli już lecieć - rzuciłam lekkim tonem z nadzieją, że jeśli nie będę się rozwodzić, padnie mniej pytań.

Niepotrzebnie się martwiłam. Nikogo nie obchodziło to na tyle, żeby zadawać dalsze pytania na temat Kayli czy Alexa (choć Bryce zjadł ich lody, a potem wydał z siebie potężne beknięcie, na co wszystkie dziewczyny zaczęły piszczeć i rzucać w niego kulkami z papierków ze słomek).

Okazało się, że chcą rozmawiać o czymś zupełnie innym.

- No więc, mam te deski - powiedział Seth, wygładzając kartkę, którą wyciągnął z kieszeni spodni i którą szarpał wiatr. Zmrużyłam oczy, by przyjrzeć się rysunkowi, ale z miejsca, gdzie siedziałam, nie potrafiłam stwierdzić, co przedstawiał. No, może i potrafiłam.

Tylko nie mogłam w to uwierzyć.

- Skąd je masz? - spytał podekscytowany Bryce. - Myślałem, że Alvarez zakazał sprzedaży drewna...

Seth posłał mu pełne politowania spojrzenie.

- Stary. Proszę cię.

- Och. - Bryce jęknął i znów beknął. - No tak.

- Bryce, jak słowo daję - powiedziała z irytacją dziewczyna o imieniu Serena. - Musisz?
- Chyba mam zespół jelita drażliwego - poskarżył się Bryce.
- I wcale mnie to nie dziwi - odparła. - Wiesz, ile kalorii jest w tych lodach? A ty właśnie zjadłeś trzy porcje.

Serena. Zapamiętałam sobie to imię. Kiedy byłam w damskiej toalecie w szkole, zajrzałam na profil Kayli na Facebooku. Tak z ciekawości.

Osoba, która umieszczała tam najbardziej wredne komentarze, miała nick SłodkaSerena.

Czy to jej tak bardzo bała się Kayla i przez nią nie chciała przyjąć zaproszenia Farah?

- Mogę załatwić piłę tarczową - ciągnął Seth. - Najtrudniej będzie z montażem, malowaniem i przechowaniem. Jak pewnie pamiętacie z zeszłego roku...

- No, tak - przytaknęła Farah, prostując się na siedzeniu. - To tak ich przyłapaliśmy. Pamiętacie? To było takie oczywiste. Schodzili się w domu Caleba Tarantina.

- Nooo. - Dziewczyna o imieniu Nicole, siedząca naprzeciw mnie, poweselała. - Te wszystkie światła samochodów ciągle mnie budziły. Wtedy do ciebie zadzwoniłam, pamiętasz, Cody? Bo wjeżdżali i wyjeżdżali z podjazdu jego rodziców o najdziwniejszych godzinach, i nie mogłam spać, i zastanawiałam się: O co chodzi z tymi imprezami u Cala? I dlaczego nas nie zaprasza?

- To było piękne. - Cody, kolejny członek drużyny futbolowej, choć nie tak wielki jak Bryce i chyba trochę bardziej myślący, kiwnął głową z błogim uśmiechem. - Nawet nie wiedzieli, co ich trafiło.

- Byliśmy jak ninja - powiedział Bryce. - Nocni ninja. Przekonali się, że lepiej nie zadzierać z Wrakarzami Rectora.

Cody i Bryce wstali jednocześnie i mocno stuknęli się klatami nad stołem. Farah i Serena przewróciły oczami.

- No - potwierdziła Nicole. Jej słomka siorbnęła głośno, docierając do dna mordercy żołądka. - Chociaż ja bym wolała, żebyście byli trochę mniej nadgorliwi. Mój dom całe miesiące śmierdział dymem. A budowa nowego garażu Tarantino zaczyna się punkt ósma każdego ranka i jeszcze się ciągnie, a wiecie, jaka jestem, kiedy nie mam swoich pełnych dziesięciu godzin snu dla urody.

- A, więc to się stało z twoją twarzą - zakpił Cody. - Bo się zastanawiałem.

Wszyscy zachichotali, kiedy Nicole krzyknęła, udając oburzenie, i na niby plasnęła Cody'ego w twarz. Ja tylko popijałam swoją coke float. Wszyscy inni może wiedzieli, o co chodzi. Ale ja nie.

- Okej - powiedział Seth. - Więc ustaliliśmy już, z małymi wątpliwościami, że jesteśmy mądrzejsi niż zeszłoroczni seniorzy i że tegoroczni juniorzy to banda smętnych mięczaków, ale ciągle potrzebujemy znaleźć bezpieczny lokal.

- No, cmentarz chyba odpada. - Cody uśmiechnął się drwiąco.

Wszyscy się roześmiali. Wszyscy oprócz mnie.

- Najwyraźniej - przyznał Seth. - Chociaż nie mówię, że o tym nie myślałem przed tym śmiesznym ogłoszeniem Santosa. Kto rozwalił bramę? Wie ktoś?

Znieruchomiałam z resztką lodów na łyżeczce w połowie drogi do ust.

- Słyszałem, że to gangi z Miami - odparł Bryce. Wszyscy parsknęli kpiąco.

- Serio - upierał się Bryce. - Chłopak mojej siostry ma kuzyna w FBI i mówi, że właśnie przymknęli parę osób w Myrtle Grove. MGB... Murda Grove Boys? Może urządzają na cmentarzach swoje inicjacje. Widziałem tych gości w zeszłym tygodniu, jak jeździli w kółko koło Wendy's przy miasteczku handlowym Searsa. Mieli takie wypasione alufel...

- A wracając do rzeczywistości - wtrącił Seth, przewracając oczami - potrzebujemy miejsca, które nie jest zamknięte dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale też takiego, gdzie nie może sobie tak po prostu przyjechać ktoś ze szkoły.

- Czyli czegoś takiego, jak zamknięte osiedle. - Farah westchnęła tęsknie. - Gdybyśmy tylko znali kogoś w Dolphin Key...

O mało nie udławiłam się colą. Czy to się działo naprawdę? Czy oni naprawdę próbowali, i to niezbyt subtelnie, nakłonić mnie, żebym udostępniła im mój dom, żeby mogli w niej prowadzić jakąś mocno nielegalną i mocno niebezpieczną działalność?

Prawdopodobne. Najwidoczniej uznali, że nie jestem zbyt bystra. A to zapewne dlatego, że byłam ze skrzydła D. Ci ze skrzydła A nie mieli o nas zbyt wysokiego mniemania. Wywnioskowałam to już z wcześniejszych uwag, wtrącanych tu i ówdzie.

- A czego się spodziewaliście? Ona jest taka D -powiedziała Serena o jakiejś dziewczynie, która, jak się okazało, w wakacje urodziła dziecko.
- On od początku powinien był trafić do skrzydła D - podsumował Cody kolegę z drużyny, który został wysłany przez rodziców na „obóz w dziczy” z powodu niekontrolowanego zachowania. Zauważyłam ostrzegawcze spojrzenia, które Seth posyłał nad stołem i które szybko zamykały wszystkim usta, ale było już za późno. Zrozumiałam: Wszyscy zapisani do Nowych Dróg byli w skrzydle D, ale nie wszyscy ze skrzydła D byli zapisani do Nowych Dróg. W Nowych Drogach było tylko pięćdziesiąt osób. W skrzydle D w sumie było pięćset dzieciaków. Otóż, do skrzydła D administracja przenosiła wszystkich „kłopotliwych” uczniów, żeby ich niewłaściwa postawa nie zaraziła „normalnych” dzieci w drugiej części szkoły. -Wszystkich gangsterów i wagarowiczów, wszystkich, którzy mieli problemy z narkotykami czy dyscypliną. W każdym razie to było jedyne wyjaśnienie, jakie przyszło mi do głowy, dlaczego wszyscy byliśmy w oddzielnym skrzydle, z dala od reszty. Nawet jeśli wydawało się to zbyt dziwne, żeby było prawdą. Podobnie jak fakt, że te uśmiechnięte, wysportowane dzieciaki, które ledwo mnie znały, prosiły mnie najwyraźniej, żebym udostępniła im dom, by odprawiały tam jakiś dziwaczny rytuał.
- A o czym - spytałam, odstawiając kubek - dokładnie mówicie?



Farah roześmiała się, jakbym była najbardziej uroczym stworzeniem, jakie w życiu widziała.

- O Nocy Trumien, głuptasie!

- A komendant policji nie powiedział, że Nocy Trumien w tym roku nie będzie? - spytałam.

Teraz wszyscy przy stoliku zaczęli się śmiać z mojej naiwności.

- Administracja odwołuje ją co roku - wyjaśnił cierpliwie Seth, kiedy śmiech ucichł. - Ale co roku i tak jest zabawa. Musi. To Noc Trumien. Tradycja.

- Ach tak. - Przypomniałam sobie minę mamy, kiedy pytała o Noc Trumien. Najwyraźniej to było jakieś wielkie halo na Isla Huesos. - Ale o co dokładnie chodzi w tej tradycji?

Cody parsknął: „skrzydło D”, udając, że to tylko kaszel, ale Seth, spojrzawszy na niego z miną pod tytułem „hej, odpuść nowej”, wyjaśnił:

- Co roku najstarszy rocznik z Liceum Isla Huesos buduje swoją trumnę. Potem ukrywamy ją gdzieś na wyspie. A młodszy rocznik stara się ją znaleźć.

Czekałam na ciąg dalszy.

Ale nie było ciągu dalszego. Wszyscy tylko patrzyli na mnie wyczekująco, a w tle śmigały mewy, szukające rozsypanych frytek. Na plaży jakiś facet bez koszulki rzucił frisbee swojemu psu, który nie złapał, a potem radośnie wskoczył po nie do wody.

- Hm - mruknęłam w końcu. - Okej. Ale... po co? Seth rozejrzał się wokół, jakby szukał pomocy.

- Co, po co? - spytał wreszcie.

- Po co jej szukają? - Nie chciałam być upierdliwa. Naprawdę nie rozumiałam. - Co w niej jest? Seth uśmiechnął się, jakbym zadała naprawdę urocze pytanie.

- Jak to, co w niej jest? Nic w niej nie ma.

- W takim razie czemu to takie ważne? - spytałam, szczerze zdumiona. - Po co ktoś miałby szukać pustej, starej trumny?

Uśmiech Setha zniknął, a z drugiego końca stołu rozległo się mamrotanie. Wyraźnie usłyszałam słowa: „Serio?” i „Boże, ona naprawdę jest ze skrzydła D”.

- Hej - rzucił ostro Seth. Ale do wszystkich innych, nie do mnie. - Przymknijcie się. - Do mnie odezwał się łagodnym tonem, a jego idealny uśmiech wrócił na miejsce. - Przede wszystkim to nie jest stara trumna. To jest całkiem nowa trumna, którą będziemy ręcznie budować i malować, z wypisanym naszym rocznikiem i nazwiskami. Twoim też. A jak juniorzy ją znajdą, wyniosą ją na środek boiska podczas pierwszego meczu sezonu i podpalą na oczach wszystkich. Nagrają to i wrzucą do netu, gdzie się da. A my będziemy totalnie upokorzeni. Więc tego nie chcemy.

Z tym paleniem zdążyłam już sama się domyślić. Wywnioskowałam z tej nieprawdopodobnie nudnej przemowy dyrektora Alvareza i ze słów Nicole, że jej dom przez całe miesiące śmierdzał dymem, kiedy Wrakarze Rectora - czyli, jak zakładałam, Seth i jego koledzy - odkryli trumnę zeszłorocznych seniorów w garażu jej sąsiada i najwidoczniej postanowili podpalić ją bez przenoszenia.

Nie rozumiałam tylko, dlaczego tak im na tym zależy.

- Właśnie dlatego - powiedziała Farah, kładąc dłoń na moim ramieniu - pomyśleliśmy, że byłoby świetnie w tym roku schować trumnę u ciebie. Tylko na trochę. No bo mieszkasz w Dolphin Key. Żeby tam wjechać albo wyjechać, ludzie muszą mieć pozwolenie strażnika przy głównej bramie, co nie? A w tym roku jesteś jedyną uczennicą LIH, która tam mieszka. Wiem, bo moja mama jest w Komitecie Rodzicielskim i sprawdziłam bazę danych. W Dolphin Key mieszkają głównie emeryci z innych stanów. Jest bardzo ekskluzywne. Większości ludzi na Isla Huesos na to nie stać. A to znaczy, że nikt ze szkoły oprócz nas nie będzie mógł tam wejść, i to tylko wtedy, kiedy zapowiemy się przy bramie. Będziesz całkowicie bezpieczna, i ty, i trumna. To, co się wydarzyło w zeszłym roku u Cala, u ciebie się nie wydarzy.

Tylko się na nią gapiłam. To był jakiś żart. Ci ludzie nie mieli pojęcia, o czym mówią. Bezpieczna? Byłam najmniej bezpieczną osobą na świecie.

Szczególnie teraz, kiedy nie miałam naszyjnika.

No tak. I kiedy facet, który mi go dał i którego poznałam, gdy byłam martwa, już mnie nie lubił, bo się pokłóciliśmy. Czy coś. I bardzo dobrze, bo zaczynałam wszystko od początku. Byłam na Nowej Drodze. Potrzebowałam jeszcze jednej coli.

- To i tak tylko do czasu, aż ją pomalujemy - dodał pośpiesznie Seth.

- Potem przeniesiemy ją gdzie indziej. Nie możemy

jej trzymać za długo w jednym miejscu, bo ją wykryją. Potem pewnie umieścimy ją w hangarze na lotnisku Isla Huesos; mój tato ma samolot, a te złamasy w życiu

nie miną lotniskowej ochrony. A potem może w bazie marynarki...

- Mój tato jest pułkownikiem - wyjaśniła Nicole, trzepocząc do mnie rzęsami.

- A potem może na trochę gdzieś w drugiej części wyspy - dodał Seth.

Widziałam, że mogliby tak przez cały dzień.

- A co się dzieje, jak jej nie znajdą? - przerwałam im. - Znaczy, młodszy rocznik.

- Jak jej nie znajdą - powiedziała Serena, patrząc na mnie, jakbym zadała ekstremalnie głupie pytanie - wynosimy trumnę podczas pokazów w przerwie meczu i paradujemy z nią przed wszystkimi, a orkiestra i zespół taneczny, którego jestem kapitanem, wykonują sztandarowy przebój MC Hammera z dziewięćdziesiątego, *U Can't Touch This*.

- Nie tkną jej. Bo Wrakarze rządzą! - Bryce i Cody znów stuknęli się klatami.

Gapiałam się na nich i nie mogłam uwierzyć, że mama wspominała Noc Trumien z takim rozrzewnieniem.

Ale starałam się nie okazać, co naprawdę czuję. Musiałam się dowiedzieć, dlaczego Alex tak bardzo nienawidził Seta. Pomijając to, że cała ta paczka uważała ludzi ze skrzydła D za dziwadła.

Chociaż termin „dziwadło” jest subiektywny. Trochę jak „normalny” i „wariat”. Ja, na przykład, mogłam uważać za dziwadło kogoś, kto biega po wyspie i próbuje schować domowej roboty trumnę, a potem paraduje z nią przy wtórce dwudziestoletniego kawałka MC Hammera w przerwie imprezy sportowej.

Ale to tylko ja. A było powszechnie wiadome, że jestem wariatką.

I podejrzewałam, że kiedy Alex dowie się, że Seth Rector chce trzymać trumnę seniorów w moim domu -a na pewno się dowie, jak się zgodzę, i zauważy, że po moim garażu kręcą się dzieciaki ze skrzydła A - pewnie natychmiast mi powie, co o mnie myśli.

- No nie wiem - powiedziałam. - Muszę najpierw zapytać mamę. Wiecie, jak to jest...

- Jasne. - Seth patrzył na mnie spokojnie swoimi niebieskimi oczami. - Pewnie. Nie chcemy wkurzyć twojej mamy.

- Na pewno się zgodzi - dodała Farah. - Chyba też chodziła do LIH? Zdaje się, że widziałam jej nazwisko na trofeum...

- Jeszcze jedno pytanie - przerwałam jej. - Dlaczego trumna?

Teraz już wszyscy się na mnie gapili. Ale ja nie rozumiałam, co takiego dziwnego było w tym pytaniu.

- Czemu nie łódź? - ciągnęłam uparcie. - Nie jesteśmy Wrakarzami z Liceum Isla Huesos? Wrakarze to ludzie, którzy grabili statki zatopione przy brzegu, między plażą a rafą, tak? A potem sprzedawali wszystko, co im się udało wyszabrować, z powrotem właścicielom statku. Więc czy budowanie łodzi nie miałyby większego sensu? Skoro szkolną maskotką jest pirat, a nie kościotrup?

W ciszy, która zapadła, słyszałam fale obmywające brzeg za nami. Na Isla Huesos zwykle nie było potężnych, przetaczających się fal, jakich zwykle człowiek

spodziewa się na Florydzie, bo wyspa leży w obrębie rafy koralowej, trzeciej największej na świecie. Ale zauważyłam, że dzisiaj z jakiegoś powodu fale były większe niż zwykle. Może i one, tak jak my, wyczuwały niepokój w powietrzu.

- Hej. - Bryce uniósł brwi. - Ona ma rację. Na serio, łódź miałaby większy sens. Dlaczego to trumna?

- Wiesz co? - Seth podniósł plecak. - Nie wiem. I nie obchodzi mnie to. Wiem tylko tyle, że to zawsze była trumna.

- Może i dobrze - odparł zamyślony Bryce. - Bo Noc Łodzi nie brzmi tak dobrze, jak Noc Trumien, nie?

Wszyscy się roześmiali.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że niedługo się dowiem, dlaczego to jest trumna. I gdyby ktokolwiek z nich wiedział, o co tak naprawdę chodzi w Nocy Trumien, to z całą pewnością nie byłoby im do śmiechu.

*Piekielny orkan, puszczone ze smyczy,  
Dusze w gwałtownym ponosi upuście,  
Szarpie i kole, i ościeniem ćwicz.*

**Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń V**

Wysiadalam z czarnego forda F-150 Seta - urodzinowego prezentu od ojca, jak wyjasnil od niechcenia, podwozacy mnie do domu - gdy zauwazyłam na podjeździe wujka Chrisa trzymajacego w ramionach jeden z naszych drewnianych foteli ogrodowych.

- Kto to jest? - spytala zaciekawiona Farah, przełazacy na przednie siedzenie, ktore wlasnie zwolnilam.  
- Brat mojej mamy - odparlam.

Wujek Chris zastyl i stal tak, gapiac sie na nas, z uchylonymi ustami, z wielkim fotelem w rekach, razem z niebieskozielonymi pasiastymi poduchami.

To prawda, ze pick-up Seta robil wrazenie. Nikt z mojej dzielnicy w Connecticut nie jezdzil takim wozem, nie mowiac juz o ludziach z Akademii dla Dziewczat w Westport. Seth podniosl nadwozie tak, ze wisialo dobre trzydzieści centymetrów nad kołami, ktorych srebrzyste felgi blyszczaly oslepiajaco. Przyciemnione szyby byly rownie czarne jak lakier karoserii, wiec

wujek nie mógł widzieć, kto siedzi w środku. Seth nastawił muzykę - jakiś zespół, który jak dla mnie tylko wrzeszczał - a dźwięk podkreślił tak mocno, że cały samochód wibrował.

Ale jakoś nie wydawało mi się, że to dlatego wujek Chris się gapi.

- Tata Alexa? - wypytywała dalej Farah.

- Tak - potwierdziłam. To oczywiste, że była ciekawa. Kto by nie był ciekaw człowieka, który siedział w więzieniu niemal tyle lat, ile ona żyła? - Dzięki za podwózkę.

- No to masz mój numer - przypomniał Seth. -Zadzwoń, jak już się dowiesz, co powie twoja mama. - Chyba musiałam trochę tępo na niego spojrzeć, bo dodał: - No wiesz. O naszej sprawie. - I posłał mi znaczące spojrzenie.

- A, tak - potwierdziłam, przytomniejąc. - O sprawie. Jasne.

Zatrzasnęłam drzwiczki. Tak na logikę, wiedziałam, że oni ciągle mnie widzą przez te przyciemniane szyby.

Ale psychologicznie, skoro ja ich nie widziałam, czułam się tak, jakby i oni nie widzieli mnie.

I nie wiem czemu, ale było to przyjemne uczucie.

- Cześć, wujku - przywitałam się, idąc do niego z ciężką torbą pełną książek. Za plecami usłyszałam, jak wielkie koła pick-upa miały luźne okruchy żwiru na podjeździe. Rytm muzyki cichł coraz bardziej.

- Co robisz?

Tato Alexa się nie ruszył. Wciąż obserwował pick-upa.



- Kto to był? - spytał.
  - Ludzie ze szkoły - wyjaśniłam. - Podwieźli mnie do domu.
  - Myślałem, że Alex będzie cię woził do szkoły i z powrotem.
  - A, miał dzisiaj po lekcjach coś innego do roboty. - Nie do końca było to kłamstwo. - Więc zabrałam się z kimś innym. Co robisz z tym fotelem?
  - Przenoszę go do garażu. W Meteo ogłosili właśnie alert huraganowy. Jesteśmy w stożku.
  - W czym? - Ja nie słyszałam o żadnym huraganie. No, może i słyszałam, ale nie zwracałam uwagi, bo nie powiedzieli, że idzie w naszą stronę. Słońce zachodziło, ale na niebie nie było ani jednej chmurki.
  - Stożek to możliwy tor huraganu, bo te zjawiska potrafią być bardzo nieprzewidywalne - wyjaśnił wujek Chris, który po wyjściu z więzienia wybrał pogodę na swoje hobby. - Prawdopodobnie trafią w nas tylko pasma posiłkowe, czyli burze, które otaczają pierwszą strefę huraganu. Ale z tym tak naprawdę jeszcze nic nie wiadomo. Jesteśmy w trzydniowym stożku niepewności.
- Gapiałam się na niego, zdumiona, że byłam tak zajęta własnymi zmartwieniami, że sama na to nie wpadłam. Szczególnie biorąc pod uwagę fale, które dopiero widziałam na plaży, nie wspominając już o wczorajszej gwałtownej burzy. Sezon huraganów trwał od lipca do listopada, a mieliśmy dopiero wrzesień. Sam środek sezonu.
- Ale w moim przypadku sezon burzowy dotyczył nie tylko pogody, z czego zdałam sobie sprawę, kiedy

szłam za Farah i Sethem do jego pick-upa, gdy już skończyliśmy posiedzenie w Island Queen, i moja komórka zaczęła ćwierkać. Na wyświetlaczu pokazał się numer, który Richard Smith zapisał mi na ulotce.

- Halo? - odebrałam z łomoczącym sercem.

- Panna Oliviera? - szorstki głos brzmiał znajomo.

- A, pan Smith - powiedziałam. - Dziękuję, że pan oddzwonił.

Żadnej odpowiedzi.

- Hm... - Seth i Farah, zanim wsiedli do pick-upa, postanowili urządzić sobie małe sam na sam. Tyle że nie byli sam na sam, bo widzieli ich wszyscy w Island Queen. Obcałowywali się na całego, oparci o samochód. Jeśli miałam się spodziewać czegoś takiego, kiedy ci ludzie będą bez przerwy siedzieć u mnie w domu i budować trumnę w garażu, to nie byłam pewna, czy warto się tak poświęcać, nawet dla Alexa. Ja też, tak jak wujek Chris, powinnam zająć się meteorologią.

- No więc, czy teraz byłaby odpowiednia pora na spotkanie, o którym wspomniał pan w liście? - spytałam.

- Teraz byłaby doskonała pora - odparł zarządca cmentarza. - Kiedy znajdzie pani czas, panno Oliviera?

- Hm. - Spojrzałam na Seta i Farah. Ciągłe się całowali. Znów odwróciłam wzrok. - Teraz. Teraz znajdę czas. Czy panu to odpowiada?

- Teraz mi nie odpowiada - odparł swoim zrzędlwym głosem. - Ale o szóstej, kiedy zamykam biuro, powinienem być osiągalny. Pani, zdaje się, wie, gdzie jest moje biuro.

- Wiem - odparłam, ignorując ten jawny przytyk; dobrze wiedział, ile czasu spędzałam na cmentarzu.

-Będę o szóstej.

- Mam nadzieję, że nie jest pani spóźnialska. Wyjdę o szóstej, jeśli pani nie będzie.

I się rozłączyłam.

Wpatrywałam się w telefon ze zmrużonymi oczami. Może i wyglądam jak licealistka o słodkich oczach, w przepisowej spódnicy dziesięć centymetrów nad kolano, ale zedrę ci te chwościki z mokasynów, staruchu. Tylko spróbuj mnie sprawdzić w Google.

Okej, w moich fantazjach może i było to możliwe.

- Z tymi huraganami lepiej uważać - mówił wujek Chris na podjeździe. - Zależnie od tego, jaki obiorą tor, mogą nas zahaczyć bokiem albo trafić centralnie. Zwykle nie ma czym się przejmować, ale nie chcemy, żeby te ładne ogrodowe meble wylądowały w basenie. Mama wydała na nie mnóstwo pieniędzy. Seth Jeden.

- Słucham? - Musiałam się pospieszyć, jeśli miałam zdążyć na spotkanie z panem Smithem. Po Island Queen Seth i Farah zabrali mnie do Reef Key, żeby urządzić mi wycieczkę po nowym osiedlu ich ojców. Musiałam udawać, że jestem zachwycona, ściskając dłonie pana Rectora i pana Endicotta, i słuchać z zainteresowaniem potwornie nudnych gadek, które wygłaszali i które brzmiały mniej więcej tak: ple ple ple, atmosfera luksusowego kurortu! Ple ple ple. Wolność jak na prywatnej wyspie. Ple ple ple. Korty tenisowe! Ple ple ple. Prywatne baseny z morską wodą. A do tego sześć małych słów, do których już przywykłam,

bo słyshałam je wszędzie, gdzie się pojawiałam: Może pani ojciec byłby zainteresowany inwestycją. Na szczęście udało mi się wykręcić zwyczajowym: „Jasne, proszę do niego zadzwonić. To jego wizytówka”. Zawsze mam jedną pod ręką, na wszelki wypadek. Wydaje mi się, że tato lubi odbierać telefony od ludzi, którym rozdaję jego wizytówki. Uwielbia wrzeszczeć do telefonu, tak samo jak uwielbia wrzeszczeć w telewizji.

Wujek Chris ruszył w stronę otwartych drzwi garażu.

- Seth Jeden. Tak było napisane na rejestracji twojego kolegi.

- A, tak. Ma na imię Seth. Wujku, naprawdę nie musisz tego robić. Mama, zdaje się, płaci jakiejś firmie, która przychodzi i zabija okna deskami, jak ma być huragan...

- Jeszcze za wcześnie na zabezpieczenie domu. Ale jeśli nie używacie tych mebli, nie zaszkodzi przenieść je pod dach. Pewnie chciałabyś mieć takiego pick-upa -powiedział wujek Chris. Ustawił fotel na stercie kilku innych, które już przeniósł do garażu. Chyba mnie nie słuchał. - Jak Seth Jeden. Nie?

- Hm, nie, nie bardzo. Po pierwsze, nie umiem prowadzić. A po drugie, coś takiego raczej nie jest w moim stylu. - To było delikatnie powiedziane.

Wujek Chris wreszcie spojrział na mnie - tak naprawdę spojrział.

- Nie umiesz prowadzić? - Był szczerze zdumiony. - Dlaczego?

- No bo... - weszłam do garażu i odłożyłam torbę. Dlaczego tato Alexa postanowił akurat teraz stać się

rozmowny? - ...bo nie najlepiej wypadam w testach, pamiętasz?

Zobaczyłam, że na jego twarzy pojawia się coś, czego nie widziałam u niego wcześniej: wzruszenie.

- Pomogę ci zdać ten test, Piercey - zaproponował.

- Och. - Zaśmiałam się. - Spoko, wujku. - Poszedł za mną, kiedy przeszłam z powrotem do frontu domu, żeby odpiąć rower. - Nie trzeba. Widzisz? Mam czym jeździć.

- Będę cię przepytawał. Co ty na to? Będiesz przychodzić do babci albo, jak wolisz, ja będę przychodził tutaj i będę cię przepytawał. I zabiorę cię, żebyśmy pojeździli po parkingu pod miasteczkiem Searsa, koło Wendy's. Tam ja się uczyłem. Wtedy oczywiście nie mieliśmy jeszcze Searsa. Ale tak czy inaczej. Nie miałem okazji pouczyć Alexa, ale dopilnuję, żebyś ty zaliczyła ten egzamin, Piercey. Zdaj się na mnie.

- To strasznie miłe z twojej strony, wujku - powiedziałam, uśmiechając się do niego. Odsunęłam rower od barierki werandy. Nie miałam nawet czasu zamienić spódnicy na spodnie, więc w czasie jazdy będę ją musiała trzymać jedną ręką, żeby nie podfruwiała. Ale nie chciałam wyjść na spóźnialską. - Wiesz, inni już próbowali. Ale idzie mi dość fatalnie. - Nie chciałam wdawać się w szczegóły i opowiadać mu, jak to wjechałam w tył furgonetki UPS, żeby nie przejechać wiewiórki, i jak głośno wrzeszczał tato, że zniszczyłam bmw, które mi kupił. - W zasadzie to chyba lepiej, że nie kieruję żadnymi pojazdami silnikowymi.

- Nie rób tego - powiedział wujek Chris. - Nigdy tego nie rób.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami.

- Proszę?

- Nie degraduj sama siebie - odparł. - Wiem, co cię spotkało. Słyszałem o tym, chociaż mnie nie było. Mama była ze mną w kontakcie i przysyłała mi nawet twoje zdjęcia. Pewnie o tym nie wiedziałaś, co? Ale to prawda.

Zagapiłam się na niego. Miał rację. Nie słyszałam o tym.

- A jak się dowiedziałem, co ci się stało, i że nie radzisz sobie najlepiej, powiedziałem mamie, żeby się nie martwiła. - Uśmiechnął się do mnie, tak samo słodko jak zawsze. - Ta dziewczyna sobie poradzi, powiedziałem twojej mamie. To widać w jej oczach. Co do Alexa... już nie jestem taki pewien. To smutne mówić tak o własnym synu, ale... - Wzruszył ramionami. - Martwię się o niego.

Doskonale wiedziałam, co ma na myśli. Ja też martwiłam się o Alexa.

- I nie chodzi o to, że jesteś dziewczyną czy córką Deb. - Pokręcił głową. - Deb była zupełnie inna niż ty.

- Wiem - rzuciłam. Staralam się, żeby nie zabrzmiało to gorzko. „Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G”. - Ciągle mają wszystkie trofea, które zdobyła dla szkoły. Które oboje zdobyliście. Są w gablotce w skrzydle A.

Zrobił pytającą minę.

- Co to jest skrzydło A?

- To jest... nieważne. - Zdaje się, że Alex rzeczywiście niewiele rozmawiał z ojcem. - Przebudowali szkołę w czasie, kiedy... cię nie było.

- Przebudowali całe mnóstwo rzeczy w czasie, kiedy mnie nie było - powiedział. - Ale nie o to mi chodziło. Deb jest po prostu... Jej wszystko przychodzi łatwo. Jak zdobycie tych trofeów. Wszyscy wiedzieli, że Deb któregoś dnia ucieknie z tej wysepki. O mnie nikt tak nie myślał. No chyba że w takim sensie, jak mi to wyszło. - Zaśmiał się krótko. - To chyba tylko dowodzi, że trofea w liceum tak naprawdę niewiele znaczą. Więc... -Odwrócił wzrok, spojrzał na chmurki różowiejące od zachodzącego słońca. - Nigdy nie pozwól, żeby ci mówili, że jesteś na coś za głupia. Nie twierdzą, że będzie ci tak łatwo, jak było twojej mamie. Może będziesz musiała pracować na wszystko trochę ciężiej niż inni ludzie. Wiem, że to nie fair. Ale to nie znaczy, że powinnaś tak po prostu się poddać. Bo jak to zrobisz, to co ci zostanie? - Spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

- Hm. Rower?

- Tak. Rower.

Ale byłam pewna, że prawidłowa odpowiedź brzmiała „Mieszkanie z właścicielką Manji Dzierganja po odsiedzeniu szesnastu lat w więzieniu”.

Teraz zaczynałam rozumieć, co miał na myśli tato, kiedy mówił, że wujek Chris wejdzie na mroczną drogę terroru i zacznie się mścić. Pasowałoby tu powiedzonko „cicha woda brzegi rwie”. W głowie wujka Chrisa działo się o wiele więcej, niż sądziłam.

- No więc, mama kazała ci przekazać, że dzisiaj przyjdzie późno; musiała wrócić do pracy na jakieś spotkanie - powiedział.

- Aha. Szczerze mówiąc, ja też mam spotkanie...

- Okej. To ja powstawiam te meble na tyl garażu. Chyba że trzeba cię podwieźć na to spotkanie, czy coś...

- Oj, nie, poradzę sobie, dzięki. - Poprowadziłam rower w stronę bramy. Widząc jego zawiedzioną minę, dodałam: - Ale może jutro mógłbyś mnie zabrać na lekcję jazdy.

Widziałam, jak jego twarz się rozpromieniła; powiedziałam dokładnie to, co trzeba.

- Świetnie - rzucił. - Zawsze bardzo miło cię widzieć, Piercey.

Gdybym wiedziała, jak potoczy się ten wieczór, może nie tylko bym się uśmiechnęła i pomachała do niego, zanim otworzyłam bramę i odjechałam. Może odwołałabym spotkanie z zarządcą cmentarza i siedziała na tyłku z wujkiem Chrisem przez resztę wieczoru, żeby mieć pewność, że zło go nie dopadło. Przecież to miało być moje nowe hobby.

Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak bardzo zacieśnił się stożek niepewności i że celuje dokładnie w Isla Huesos.



*„Synu mój - tak Mistrz swoją rzecz prowadzi -  
Lud, co umiera w nieprzyjaźni bożej,  
Z ziemi wszech krańców tutaj się gromadzi”.*

### **Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń III**

Biuro zarządcy cementarza, jak sam mi przypominał, kończyło urzędowanie punktualnie o szóstej. Było sporo po szóstej, kiedy zapukałam do drzwi.

- Spóźniła się pani - burknął Richard Smith, otwierając. - Ale nie spodziewałem się niczego innego. Proszę.

Odsunął się na bok, wpuszczając mnie do swojego nieskazitelnie schludnego gabinetu. Ponieważ słońce zaczęło już tonać za wierzchołkami drzew, zapalił małą, mosiężną lampkę. Był to jedyny przedmiot, który jakoś współgrał z historycznym charakterem cementarza Isla Huesos, założonego, jak wyjaśniała tabliczka na drzwiach, ponad sto pięćdziesiąt lat temu, w 1847 roku.

Co pewnie zaskoczyłoby większość ludzi, biuro mieściło się w uroczym, wyblakłym od słońca domku z żelaznym płotkiem, blaszanym dachem, gankiem, turkusowymi okiennicami i prawdziwymi sosnowymi podłogami.

Ale w środku było dokładnie takie, jak je zapamiętałam sprzed dziesięciu lat, chociaż wtedy zarządcą nie był jeszcze Richard Smith. Stały tam tylko stalowe szafki na akta, a półki pełne były niechlujnych kserokopii podań o kwaterę i zezwoleń budowlanych na konstrukcję grobowców.

Ale przecież tym zajmują się zarządcy cmentarzy. Nadzorują pochówki zmarłych. Nikt nie oczekuje po nich, że będą też dekoratorami wnętrz.

- No, niech pani tak nie stoi - burknął Richard Smith, zamykając na klucz drzwi za moimi plecami.

- Proszę siadać.

Wskazał mi jeden z kilku obitych skajem foteli, stojących przed dużym, drewnianym biurkiem.

Trochę się różniły od tych, które pamiętałam z ostatniej wizyty, ale niewiele. Nie siedziałam wtedy w żadnym z nich. Babcia mnie odesłała, zanim zdążyłam usiąść. Były wygodne. Ale ja i tak miałam ochotę się wiercić.

John powiedział mi, żebym nie wracała na cmentarz. „Tu nie jesteś bezpieczna - brzmiały jego słowa.

- Chyba że naprawdę chcesz umrzeć. Tym razem na dobre”.

No więc, znów byłam na cmentarzu. A przynajmniej w biurze zarządcy. Czy przez tę wizytę stracę życie?

Moim zdaniem to by było bardzo nie fair.

Pan Smith chyba wyczuł mój niepokój, bo usiadł na skrzypiącym krześle za biurkiem i zaskakująco szybko przeszedł do rzeczy. Wyjąwszy mój naszyjnik z górnej szuflady, położył go przed sobą na ciemnozielonej biurowej podkładce.

- Poznaje to pani? - spytał, patrząc na mnie znad oprawek okularów.

Jadąc tutaj, zastanawiałam się, jak powinnam się zachować w tej sytuacji.

I uznałam, że zaprzeczanie będzie najbezpieczniejszą taktyką, tak jak podczas rozmów z policją w sprawie pana Muellera.

Ale nie miałam łatwego zadania. Zielona, skórzana podkładka tak pięknie podkreślała najładniejsze cechy naszyjnika: błyszczący złoty łańcuszek, kamień o barwie burzy. Czyżby w środku był bledszy niż zwykle, czy to tylko gra światła? Ledwie się powstrzymywałam, żeby po prostu nie chwycić go i nie uciec. Co mógł mi zrobić, gdybym uciekła? Nie dogoniłby mnie. Był stary. Nawet starszy niż tamten jubiler. Pewnie dostałby zawału sam z siebie, bez pomocy Johna.

Ale jakoś nie mogłam tego zrobić. Nie jemu. I sama nie wiedziałam właściwie dlaczego. Nie był zbyt miły ani dla mnie, ani dla mojej mamy.

Zaprzeczenie. Tego trzeba się trzymać.

- Nie - powiedziałam, z trudem odrywając spojrzenie od naszyjnika i spoglądając mu w oczy. To nie była gra światła. Kamień naprawdę był w środku biały. Tu działo się coś dziwnego. - Nigdy w życiu tego nie widziałam.

- Spodziewałem się, że pani tak powie - odparł z uśmiechem Richard Smith. - Co ciekawe, ja, i owszem, widziałem go już wcześniej.

Załamalam się. Cudownie. Następny. Dokładnie to samo powiedział jubiler. Jak ja się pakowałam w te

sytuacje? I to z własnej woli. Pchałam się w nie na własnych nogach, czy to pieszo, czy na rowerze.

- Nigdy na własne oczy, naturalnie - ciągnął. - Tylko artystyczne podobizny. Widzi pani, w wolnym czasie, kiedy nie siedzę tutaj i nie zajmuję się podaniami o kwatery, czy też, usiłując powstrzymać głupich nastolatków, jak pani, przed bezczeszczeniem stuletnich grobowców, czytam. Głównie o bóstwach śmierci... Czyli tych, które eskortują świeżo zmarłych do życia pozagrobowego - dodał, pewnie dlatego, że jego zdaniem jako „głupia nastolatka” nie rozumiałam tego terminu.

Oczywiście nie wiedział, że byłam DSK i jako taka zaznajomiłam się bardzo blisko z wszelkimi sprawami dotyczącymi śmierci.

- Mój partner też uważa, że jestem szurnięty - dodał, wzruszając ramionami. - I rzeczywiście, trochę za często zabieram pracę do domu. Ale moim zdaniem obecny w naszej kulturze strach przed śmiercią jest trochę śmieszny, skoro śmierć jest tylko naturalną częścią cyklu życiowego. Nie mówię, że nie należy cieszyć się w pełni życiem, bo ja z pewnością cieszę się moim. Ale szkoda, że nie widziała pani, jak reagują ludzie na przyjęciach, kiedy pytają: „Czym się pan zajmuje?”, a ja im odpowiadam. Uciekają, aż się kurzy.

- Tak? - spytałam z grzeczności. Domyślałam się, jak muszą czuć się ci ludzie na przyjęciach. I nie chcę być wredna, ale jego partner mógł mieć trochę racji z tym „szurnięciem”. Chociaż byłam ostatnią osobą, która mogłaby rzucić kamieniem.

- Więc widzi pani - kontynuował Richard Smith - że kiedy dzisiaj rano na moim cmentarzu natknąłem się na to - poklepał naszyjnik - nie tylko dokładnie wiedziałem, co to jest, ale też byłem pewien, że nie zgubiła go żadna turystka przechodząca przez cmentarz, by pstryknąć sobie parę zdjęć przed powrotem na swój wycieczkowiec. A kiedy zauważyłem to - wygładził na biurku kilka moich długich, ciemnych włosów, które najwyraźniej zostały delikatnie wyplątane z kołtuna uczonego łańcuszka - pomyślałem sobie: czy widziałem ostatnio na cmentarzu kogoś z takimi włosami, kto mógłby mieć tak niezwykły przedmiot? Przecież to chyba nie ta młoda dama, którą widuję tu prawie codziennie, która nie tylko nie słucha moich próśb, by nie używać ścieżki jako drogi publicznej, ale też zawsze ma na szyi złoty łańcuszek. A może jednak?

Zrozumiałam, że tam, w biurze Nowych Dróg, nie doceniłam go. Ta muszka i chwościki na butach to tylko maskarada.

Facet był niezły. Naprawdę niezły.

- Nigdy w życiu nie widziałam tego naszyjnika - powiedziałam. Tak brzmiała moja wersja, na razie, i zamierzałam się jej trzymać.

Pouśmiechał się do mnie jeszcze trochę i mówił dalej, jakbym się w ogóle nie odezwała.

- Tak też sądziłem, że młoda dama, która śmiga tędy, nie zważając na pieszych, niemal jakby trenowała do Tour de France, może tak powiedzieć po tym strasznym akcie wandalizmu, który tutaj popełniono. Więc oczywiście poszedłem tam, gdzie ów akt miał miejsce.

I proszę, co znalazłem przy bramie. - Uniósł kolejny długi, ciemny włos. Najpierw położył go obok tamtych, które wyplątał z łańcuszka. - Ten sam kolor. Ta sama długość. - Potem podniósł go w powietrze i przymknął jedno oko, jakby porównywał go z włosami spływającymi z mojej głowy aż za ramiona. - Powiedziałbym, że pasuje całkiem nieźle.

Oczywiście nie było sposobu się dowiedzieć, czy naprawdę znalazł go przy bramie. Nie było sposobu stwierdzić, czy cokolwiek z tego, co mówił, było prawdą, czy tylko urządzał przedstawienie, żebym pękła i przyznała się, że byłam wczoraj na cmentarzu.

Ale nagle zrobiło mi się słabo. Jakbym miała zemdleć.

„Proszę, nie schrzań nam tego”, błagała mnie mama. Nie słowami, ale spojrzeniem. Właśnie to chrzaniłam. Chrzaniłam na całego.

Dlaczego? - zadałam sobie pytanie. Dlaczego nie widziałam czerwieni, kiedy jej najbardziej potrzebowałam? Co się ze mną działo? Ten gość nie był aż tak dobry. Właśnie kogoś takiego mój tato nazwałby oszołomem.

Może właśnie dlatego. On był tylko oszołomem. Nie miałam wrażenia, że chce mnie skrzywdzić.

Więc czego chciał?

- To... to niczego nie dowodzi - wymamrotałam.

- Nie - przyznał, zgarniając włosy z powrotem do szuflady i zamykając ją na klucz. Dowody na później, pomyślałam ponuro. - Nie dowodzi. Wspomniałem o tym tylko dlatego, że tak bardzo zaskoczył mnie fakt, iż akurat pani, wnuczka Carlosa Cabrera, jest zamieszana w coś tak... paskudnego. Sądziłbym raczej, że

zechce pani trzymać się z dala od kłopotów, choćby tylko dla dobra wujka.

0 Boże. Nie wujek Chris. Facet jednak był niezły.

- Ale ja chcę - powiedziałam, czując łzy wzbierające w oczach. - Chcę się trzymać z dala od kłopotów.

-Właśnie po to John dał mi naszyjnik.

i proszę, co się stało. Dlaczego go wyrzucił? „Tu nie jesteś bezpieczna”.

- Hm - westchnął Richard Smith, trochę speszony, być może z powodu moich łez. - Z pewnością ma pani interesujący sposób okazywania tego. Więc proszę mi powiedzieć. Kto pani dał ten naszyjnik? Spojrzałam na kamień. Nie chodziło o oświetlenie. Ani o psikus mojej wyobraźni. Diament nie był już szary. Był biały. Biały.

Odwrotnie niż świat za oknami biura; na dworze było ciemno prawie jak w nocy. Zahuczał grzmot. Daleki, ale jednak. Może to te pasma posiłkowe, które według wujka Chrisa miały do nas dotrzeć. Ale nadeszły jakoś strasznie szybko, skoro podobno mieliśmy na razie tylko alert.

Pokręciłam głową.

- Nie mogę panu powiedzieć. - Trudno było mi mówić, kiedy w nosie kręciło mnie od łez. - Przykro mi. Chciałabym. A pan wydaje się miłym człowiekiem. A... -Nie mogłam nie myśleć o tym, co spotkało jubilera. Nie sądziłam, by John miał jeszcze kiedykolwiek wrócić. Ale nie wiedziałam tego na pewno. - Po prostu nie mogę.

Pan Smith zmarszczył czoło, zmartwiony moją odpowiedzią.

- Panno Oliviera. Czy pani sobie zdaje sprawę, że ten brylant jest kradziony? I nie tylko kradziony, ale i przeklęty?

Gwałtownie chwyciłam oddech, ale przecież nie powinno mnie to aż tak zaskoczyć. To było takie w stylu Johna: dać mi kradziony, przeklęty diament.

- Prawdę mówiąc, jest dość słynny w pewnych kręgach - ciągnął Smith. - W każdym razie w moim kręgu. Mówi się, że został wydobyty przez Hadesa, greckiego boga zmarłych, który dał go Persefonie, swojej małżonce, by chronił ją przed Furiami...

Poczułam gęsią skórę na całym ciele. Oczywiście zarządca Smith siedział za daleko, żeby to zauważyć. Furie. John też o nich wspominał.

- Jako bóg zmarłych, Hades oczywiście nie cieszył się sympatią duchów wielu ludzi, którzy nie byli zadowoleni z tego, gdzie się znaleźli po przejściu przez Świat Podziemi - ciągnął pan Smith, nieświadomy mojego zdenerwowania. - Te duchy, które tak go nienawidziły, nazywały się Furie. Oczywiście toczą się pewne akademickie dyskusje na ten temat, ale ja wierzę w tę wersję. Furie potrafiły być podstępne w swoim pragnieniu zemsty. Więc Hades musiał zadbać o to, żeby jego małżonka była chroniona, czy też... Dobrze się pani czuje, panno Oliviera?

Myślałam, że zwrócę swoją coker float. Nie mogłam przestać myśleć o tych wszystkich ludziach w kolejce do drugiej łodzi... tej, na której, jak mówił John, nie chciałabym się znaleźć. Czy oni wszyscy zmienili się w Furie?

Coś mi mówiło, że tak.



- Nie - odrzekłam. Na dworze błysnęło, tak niespodziewanie, że podskoczyłam. - Muszę już iść. Przyjechałam rowerem. Muszę jechać, zanim zaczną padać. Więc...

- Proszę się nie martwić. Odwiozę panią. - Pan Smith sięgnął po dużą książkę, która stała na półce za nim. - Ja osobiście nigdy nie byłem fanem mitu o Hadesie i Persefonie. To takie teatralne, że porwał tę biedaczkę w taki obrzydliwy sposób i zmusił ją, by żyła z nim w Świecie Podziemi wbrew swojej woli, aż musiała interweniować matka Persefony... Nie lubię historii, w których matki za bardzo się mieszają. Niech dzieciaki same się dogadają, mówię zawsze. Ale zbaczam z tematu. Właśnie tak nazywany jest ten diament, wie pani. Diament Persefony. A, tu jest.

Uniósł książkę, żeby pokazać mi ilustrację.

- Maria Antonina, w pełnej chwale, z pani diamentem na szyi. Dał go jej mąż, król Ludwik XVI. Nie mam pojęcia, jak wszedł w jego posiadanie. Podobno Furie mają moc opętania każdego człowieka, jakiego chcą. To znaczy każdego, kto ma tak słaby charakter, żeby Furie nagięły go do swojej woli. Więc może jakaś Furia opętała króla albo królową, czy tę osobę, która dała im naszyjnik, w nadziei że doprowadzi do nieszczęścia. W każdym razie oboje mieli pecha. Ten portret to była jedyna okazja, kiedy Maria Antonina włożyła diament. Potem poddani zbuntowali się przeciwko niej i jej mężowi i kazali ich ściąć za zdradę oraz zbrodnie przeciwko państwu. Mam nadzieję, że słyszała pani w szkole o rewolucji francuskiej?

Wpatrywałam się w obrazek - reprodukcję portretu Marii Antoniny, nieszczęsnej królowej Francji. Co dziwne, miała na sobie suknię podobną do togi, w jakiej przedstawiano zawsze Persefonę na starożytnych wazach. W ogromną, upudrowaną perukę królowej wpleciono nawet liście winogron. Owszem, liście winogron zrobione ze złota, ale jednak.

A na jej szyi - tej smukłej szyi, która wkrótce miała zostać przecięta na pół przez madame Guillotine - wisiał mój diament, ale na ciemnozielonej, szerokiej aksamitce zamiast złotego łańcuszka.

John powiedział mi, że ludzie umierali przez diament, który mi podarował. Jak się okazało, nie byle jacy ludzie.

Czy wiedział? Czy znał jego krwawe pochodzenie, jak to określił jubiler?

Oczywiście, że tak. Musiał wiedzieć.

I mimo wszystko mi go dał. Powiedział, że kamień mnie ochroni...

Na wiele się przydał Marii Antoninie.

Teraz już nie panowałam nad dreszczami. Zostawiłam sweter w domu. Żałowałam, że nie wrzuciłam go do koszyka przy rowerze.

Ale skąd miałam wiedzieć? Skąd miałam wiedzieć, że będę słuchać o... o tym?

Zarządca cmentarza wciąż nie zauważał mojego zmieszania. Był wręcz wesoły, opowiadając tę makabryczną historię.

- Diament zniknął - powiedział, zamykając książkę - tak jak większość biżuterii królowej po jej aresztowaniu. Aż przypadkiem znów się pojawił, trochę ponad

pięćdziesiąt lat później, na liście załadunkowej statku handlowego, który dokował właśnie tu, na Isla Huesos, jedenastego października 1846 roku. I to był ostatni raz, kiedy widziano kamień, a także załogę statku, który, jak wszystkie inne stojące w porcie tego dnia, został zatopiony przez huragan, najprawdopodobniej piątej kategorii. Pojawił się znikąd, utopił tysiąc osób, zniszczył wszystkie statki i domy na wyspie, również szpital, więc nie było gdzie leczyć rannych, i latarnię morską, więc nie było jak wezwać pomocy. Oprócz tego - dodał - wypłukał w morze wszystkie trumny pochowane tu, na tym cmentarzu. Więc nowych zmarłych też nie było gdzie chować. - Pokręcił głową. - To musiał być prawdziwy koszmar, a do tego jeszcze Moskity i cholera.

Zdaje się, że wydałam z siebie jakiś zdławiony odgłos, który Richard Smith wziął chyba za przejaw niedowierzania, bo zapewnił mnie pospiesznie:

- O, tak. Wie pani, to dlatego teraz trzymamy trumny w kryptach. Oczywiście ówcześni mieszkańcy powinni byli być mądrzejsi, biorąc pod uwagę, co zastali tu Hiszpanie trzysta lat wcześniej, kiedy tu przybyli, ale... - Wzruszył teatralnie ramionami. - Niektórzy wolą być ślepi na historię.

Już nie bałam się, że zemdleję. Nie było mi też zimno. Po prostu... nie czułam nic.

- Co interesujące - ciągnął zarządca cmentarza - ten huragan był najbardziej zabójczy w historii Isla Huesos. Człowiek bardziej przesądny ode mnie mógłby powiedzieć, że wyglądało to niemal tak, jakby ktoś nie chciał, żeby ten diament, złe *juju*, jak nazwałby go mój partner,

opuścił ten statek. Bo nie opuścił, widzi pani. Poszedł na dno razem z resztą ładunku i nigdy go więcej nie widziano. .. Chociaż armator wynajął wrakarzy, żeby go wyłowili, i szukali go miesiącami, a nawet latami, w wodzie głębokiej raptem na trzy metry. Nigdy nie znaleziono nawet śladu. To stąd go pani ma? - Jego spojrzenie nad oprawkami okularów stało się bystrzejsze. - Od wrakarza? Bo dzisiaj to się już nie nazywa wrakarstwem, panno Olivie-ra, ani poszukiwaniem skarbów, czy co tam powiedziała pani osoba, która to pani dała. To się nazywa naruszenie podwodnych stanowisk archeologicznych i niszczenie podmorskiego dziedzictwa kulturalnego, i podobnie jak profanowanie grobów jest nielegalne.

Zszokowana pokręciłam głową. O czym on w ogóle mówił?

- Nie - zaprzeczyłam. Moje serce uderzało głośniejsze niż grzmoty na dworze. - Nie, oczywiście że nie. To nie było nic w tym rodzaju...

„Pomyślałem o tym w tej samej chwili, kiedy cię zobaczyłem - powiedział John, kiedy dawał mi naszyjnik. - Ale nawet mi do głowy nie przyszło... no, że ty to ty i że zechcesz tu ze mną przyjść”.

Czy tak go zdobył? Wywołał ten straszny huragan, który zabił tylu ludzi i zatopił tyle statków, a potem zebrał łup z morskiego dna?

Ale to było niemożliwe.

Chociaż jak się zastanowić... żadna z tych rzeczy, które robił na moich oczach, nie była możliwa.

- Ktokolwiek to pani dał - burknął pan Smith, podnosząc naszyjnik i oglądając go uważnie przy świetle

kazał go oprawić na nowo. I to w sposób, który mogę nazwać tylko... kapryśnym.

- Powiedziała panu, że nie...

- Ach, tak. - Spojrzał w sufit. - Nic pani o nim nie wie. No więc, ta oprawa jest bardzo nietypowa.

Widzi pani, jak każda z tych odnóg tworzy mały, kolisty wzorek na szczycie diamentu? Naprawdę piękne. I niezwykle. Wie pani, co symbolizuje te pięć odnóg? - Nawet nie poczekał na moją odpowiedź. - Rzeki. W sumie pięć. Czy zna pani miejsce, które ma pięć rzek? Proszę zgadywać.

- Nie wiem. Jestem beznadziejna z geografii. - Jak z każdego innego przedmiotu, który nie wiązał się z zemstą za śmierć Hannah Chang. - Niech pan posłucha, ja naprawdę muszę...

- To całkiem proste. - Wziął ołówek i wskazał pierwszą odnóżkę. - Smutek. - Wskazał drugą. - Lament.

- Wskazał trzecią. - Ogień. - Czwartą. - Zapomnienie. - Piątą. - Nienawiść.

Huknął grzmot. Teraz burza była tak blisko, że wydawała się szaleć tuż nad naszymi głowami.

- Pięć rzek Świata Podziemi - powiedział Richard Smith, bardzo zadowolony z siebie. Wyliczył je na palcach. - Acheron, Cocytus, Phlegethon, Lethe i Styks. Dobry Boże, dziewczyno. - Odchylił się w krześle i zapatrzył na mnie. - Czy dzieci nie uczą już w szkołach niczego pożytecznego? Świat Podziemi.

Czułam się, jakby ktoś mnie przejechał.

Oczywiście nie powinnam była. Powinnam była wiedzieć. Przez cały czas miałam to przed oczami.

Dosłownie. Wisiało mi na szyi.

Nie wiem, dlaczego tego nie zauważyłam. Psychiatry próbowali mi powiedzieć. Mój rzekomy sen był pełen rzeczy, które widziałam w telewizji. Czy nie uczyłam się w szkole o greckich mitach? Oczywiście, że tak.

Ale nigdy nie zwracałam uwagi na sprawy, które mnie nie interesowały, nawet przed wypadkiem. To akurat odziedziczyłam po obojgu rodzicach, chociaż gdybym o tym wspomniała, pewnie obwinialiby się nawzajem. Warzęchy, twoja wina. Nie, gwiazdy do rzucania, twoja.

Ale kto tak naprawdę zwracał uwagę na mity? Wszystkie te dziwne imiona, mężczyźni trafiani strzałą w piętę i dziewczęta porywane do Świata Podziemi. To wszystko było skomplikowane i dziwaczne i nie miało nic wspólnego z rzeczywistością.

A przy tym wszystkim... coś tu się nie zgadzało.

- Ale. - Zamrugałam na niego. - Kiedy tam byłam, nie było żadnych rzek. Tylko jezioro.

Teraz to on gapił się na mnie. I nic dziwnego.

- Kiedy pani tam była? - Pan Smith zdjął okulary. - Co to ma znaczyć, kiedy pani tam była?

Czasami tak strasznie męczyło mnie to ciągle udawanie. To było naprawdę wyczerpujące, starać się dopasować, starać się być „normalną”. Nawet jeśli to słowo nie było terapeutycznie korzystne.

- Ten naszyjnik - powiedziałam, kładąc na nim rękę. Kamień pod moją dłonią był ciepły i dodawał otuchy, jak zawsze.

Ale teraz, kiedy wiedziałam, że zginęło przez niego tysiąc ludzi, że królowa straciła przez niego życie, nie miałam już dla niego tak przyjaznych uczuć jak kiedyś.

- Ma chronić właścicielkę przed złem - dokończyłam.

- No cóż. - Richard Smith zamrugnął gwałtownie. Po raz pierwszy nie wydawał się tak pewny siebie. - Tak. Tak mówi legenda. Rzekomo dlatego Hades kazał go oszlifować. A jeśli spróbuje posiąść go kobieta, która nie jest wybranką boga zmarłych... - Wzruszył ramionami, potarł oczy i włożył z powrotem okulary. - Najwyraźniej nie spotka jej nic dobrego. Ale to tylko opowieść. Co pani miała na myśli, mówiąc...

- Tego mi nie powiedział - mruknęłam, oglądając się przez ramię, na okno. - Nie powiedział mi, że będą mnie ścigać złe duchy. Nie powiedział mi, kim jest. A może i powiedział. Tak strasznie płakałam... Wstałam z fotela, oszołomiona, i podeszłam do okna. Z biura zarządcy było widać ulicę, ale też ten kątek cmentarza, gdzie stało drzewo poincjany, z czarnymi, pokręconymi gałęziami wyciągniętymi nad kryptą Haydenów.

Nie wiem, co miałam nadzieję tam zobaczyć. Jego? Jakby była szansa, że tam stoi, przy tej krypcie, przy której wyrzucił naszyjnik (bo mu go oddałam)? Albo przy bramie, którą rozbił kopniakiem i kazał mi iść precz (bo nazwałam go palantem)?

Sama nie wiedziałam, czy chcę go zobaczyć i czy się tego boję.

Niepotrzebnie się martwiłam. Cmentarz, tak jak ulica, był pusty. Wszyscy chcieli uniknąć nadchodzącej burzy.

Tak jak on unikał mnie. A może miał mnie gdzieś.

- Panno Oliviera - odezwał się zza moich pleców zarządca cmentarza. - Nic z tego nie rozumiem. Co to za on? I co miała pani na myśli, mówiąc, że pani tam była?

- To nie ma znaczenia. - Roześmiałam się. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. - Chlusnęłam mu herbatą w twarz.

Usłyszałam skrzypnięcie krzesła zarządcy, jakby wstał.

- Zaraz - powiedział. - Chce mi pani powiedzieć, że...

- Czego pan chce? - Gwałtownie odwróciłam się od okna. Nie wiem, dlaczego się na nim wyżywałam. To nie była wina tego biedaka. Chyba dlatego, że kiedy podeszłam do okna, wyjrzałam i zdałam sobie sprawę, że jego tam nie ma i już nigdy nie będzie, i że nawet po tym wszystkim, co przeszłam, co właśnie usłyszałam, chociaż powinnam poczuć ulgę, poczułam tylko rozczarowanie.

Moje miejsce nie było w programie Nowe Drogi. Powinnam wrócić do przedszkola.

- Czego pan ode mnie chce? Dlaczego daje mi pan tajemnicze liściki i próbuje mnie zastraszyć? - spytałam gniewnie. - Chodzi o pieniądze na naprawę tej głupiej bramy? Dobrze. Poproszę ojca, żeby za nią zapłacił. Tylko proszę nikomu o tym nie mówić. Moja mama próbuje zacząć wszystko od nowa. Podeszłam do biurka i porwałam naszyjnik. Kiedy tylko to zrobiłam, poczułam się lepiej. Pocieszona. I to być może było najbardziej niepokojące ze wszystkiego.



- I okłamałam pana. To jest moje. Zabieram to. I nie obchodzi mnie żadna głupia klątwa. No więc.

-Spojrzałam mu prosto w oczy. - Ile?

Zrobił zaskoczoną minę. Bardziej niż zaskoczoną. Wyglądał na przerażonego.

- Pieniądze? - powtórzył. - Nigdy nie chciałem od pani pieniędzy, panno OHviera. Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego.

Patrzyłam na niego zdezorientowana.

- Ale skoro nie chce pan pieniędzy, to czego pan ode mnie chce?

- No cóż, na początek prawdy. - Spojrzał za moje plecy, w okno, przez które dopiero co wyglądałam. - Od jak dawna zna pani Johna?

*Czyli cię łkanie jego nie przenika?  
Czyli nie widzisz, jak wśród fali wzdętej,  
Chętniejszej morza, z śmiercią się potyka?*

### **Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń II**

Ja? - Wybałuszyłam na niego oczy. - Chce pan powiedzieć, że zna pan Johna?

Nagle dotarło do mnie, co zrobiłam. Właśnie przyznałam się przed nim, że John istnieje.

Tylko że... czy on też nie przyznał się przede mną, że John istnieje?

- Oczywiście, że znam - potwierdził Richard Smith, patrząc na mnie, jakbym była trochę tupa. -

Najwyraźniej nie tak dobrze, jak pani. Ale kiedy ja umarłam, nie poszedłam do Świata Podziemi.

Nagle zmiękły mi kolana. Gorączkowo dopadłam fotela i klapnęłam, przyciskając naszyjnik do piersi.

- To znaczy, że pan...

- Tak, tak - odparł, klepiąc się niecierpliwie w mostek. - Zawał. Bajpasy. Ale ja widziałem tylko światło. - Usiadł na swoim krześle i popatrzył na mnie zupełnie innym wzrokiem niż przedtem. Teraz był... hm, chyba

pod wrażeniem. Jakbym nie była głupią nastolatką, za jaką początkowo mnie brał.

I muszę przyznać, że trochę tak się zachowywałam. Ale były okoliczności łagodzące.

- A pani, panno OHviera? Jak pani umarła? - Jego spojrzenie było łagodne.

- Potknęłam się i uderzyłam w głowę. I utopiłam się. Ale miałam hipotermię - dodałam, bo byłam wściekła na siebie za sposób, w jaki umarłam. To było takie głupie. Szczególnie gdy wziąć pod uwagę ptaka.

Pokiwał głową.

- Ach. Oczywiście. To dlatego zdołali panią ożywić. - Znów zaczął się bawić okularami; wypolerował szkła szmatką, która leżała na jego biurku, włożył je z powrotem i przyglądał mi się jeszcze trochę. - Wspomniała pani coś... o chluśnięciu mu w twarz herbatą?

Spojrzałam w podłogę.

- Tak. To dzięki temu... cóż, dzięki temu uciekłam.

- Rozumiem - powiedział tonem, w którym nie było śladu potępienia. - I to było jakieś... półtora roku temu?

Zaskoczona uniosłam wzrok.

- Skąd pan...?

- Och, tylko zgaduję. - Popatrzył mi w oczy. - No dobrze. - Krzesło skrzypnęło, kiedy pochylił się do przodu. - Proszę mi opowiedzieć, jak to było z naszymi. To znaczy, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Sam bym zapytał Johna, ale... no cóż, ostatnio nie jest zbyt komunikatywny. - Nagle wyszczerzył się w uśmiechu, jego oczy błysnęły wesoło zza szkieł okularów. - Teraz

oczywiście wiem dlaczego. Chociaż na pewno się pani zgodzi, że John miewa lepsze chwile. Pokręciłam głową, nie wierząc własnym uszom. Przez cały czas powtarzałam ludziom uparcie, że John jest rzeczywisty, i nikt mi nie uwierzył.

A teraz naprzeciw mnie siedział ktoś, kto nie tylko mi wierzył, ale sam go widział, rozmawiał z nim. I najwyraźniej nie uważał go za potwora. Nazywał go John. Tak po prostu. Zwyczajnie... John. „John miewa lepsze chwile”.

Nie byłam wariatką. Nigdy nie byłam wariatką.

- Nie rozumiem. Pan z nim rozmawia? Pan z nim rozmawia. Wy dwaj prowadzicie... rozmowy. - Potrzebowałam coli, espresso, swoich pigułek, bardzo, bardzo szybkiej jazdy na rowerze w dół wzgórza, czegokolwiek. Nie potrafiłam przyswoić tej informacji. Mój mózg nie potrafił przetworzyć wizji Johna siedzącego w tym biurze, w tym fotelu, rozmawiającego z tym człowiekiem.

- No cóż - powiedział Richard Smith, rozsiadając się wygodniej na krześle, z zamyśloną miną. - Nieczęsto, oczywiście. Ale od czasu do czasu, owszem. Wpadam na niego na cmentarzu i rozmawiamy. Nie zawsze było łatwo. John potrafi być trochę... Jak to mówi pani pokolenie? A, tak. Humorzasty.

Humorzasty? Kiedy wyskakuje znikąd i usiłuje zamordować każdego, kto mnie tknie? To delikatnie powiedziane.

- Ale ja mam tę przewagę, że już doświadczyłem śmierci, podczas gdy moi poprzednicy na tym stanowisku, którzy zostawili liczne ostrzeżenia dotyczące...

humorzastości Johna, nie mieli tego luksusu - wyjaśnił zarządca. - Więc ja nie boję się ani śmierci, ani zjawisk, które się z nią wiążą, takich jak John.

Szeroko otworzyłam oczy. Fakt, że Richard Smith nie bał się Johna ani miejsca, z którego przychodził, wydał mi się ekstremalną, lekkomyślną brawurą.

- I niektóre z tych ostrzeżeń, przyznaję, okazały się zgodne z prawdą - ciągnął. - Jako że John jest dość udręczonym młodym człowiekiem. Kto by nie był w jego sytuacji? Ale opowieści o nim, te wszystkie sprawy, o które tutejsi zwykle go oskarżają, urosły do absurdalnych rozmiarów. Ten wandalizm, na przykład...

- Pan żartuje? - Gapiłam się na niego, osłupiała. - Mówi pan o bramie? Bo to był on. Byłam przy tym. I to na pewno był on.

- Ale z pewnością nie jest odpowiedzialny za wszystkie te tajemnicze zgony, o które moi poprzednicy...

Pokręciłam głową.

- O coś pana zapytam. Czy ci ludzie, którzy zginęli, byli bydlakami, którzy i tak zasługiwali na śmierć? Bo jeśli tak, to on to zrobił.

Zarządca cmentarza wciąż kręcił głową.

- Ale...

- Co z panem jest nie tak? - wybuchnęłam. - Nie słyszy pan tych grzmotów na dworze? To absolutnie jego sprawa!

Pan Smith umilkł i zagapił się na mnie.

- Z całą pewnością nie potrafi kontrolować pogody.

- No dobrze. - Ten facet żył w świecie fantazji. - Okej. Nie może. Od jak dawna tu jest? Czy był tu

podczas tego wielkiego huraganu, o którym pan mówił? Podczas którego zaginał naszyjnik? Zarządca otworzył szeroko oczy.

- Jest bóstwem śmierci, panno Olhdera, nie mordercą ani pogodynką. Akurat pani powinna to wiedzieć.

Zrozumiałam, że ten człowiek niezbyt dobrze zna Johna, ale nie powiedziałam nic, żeby wyprowadzić go z błędu.

- Ale z tego, co wiem - ciągnął - to owszem, Wielki Huragan z 1846 roku to moment, kiedy John pojawił się na wyspie... a przynajmniej kiedy zaczęto dokumentować spotkania z nim. - Musiałam mieć zaskoczoną minę, bo dodał: - Och, tak. Inni ludzie też go widywali, nie tylko zarządcy cmentarza... chociaż większość spotkań wydarzyła się tutaj. Jak pani myśli, dlaczego nigdy nie zwracaliśmy sobie głowy monitoringiem? Bo wszyscy na Isla Huesos wiedzą, że po zmroku lepiej trzymać się z daleka od cmentarza. Nikt nie chce ryzykować, że go spotka. - Jego twarz spochmurniała. - Oczywiście z wyjątkiem nastolatków, którzy jeszcze nie dostali nauczki, szczególnie w ostatnich dniach przed Nocą Trumien...

Pokręciłam głową.

- Ale co to jest ta Noc Trumien? Też ma coś wspólnego z Johnem?

- Oczywiście, że ma. - W biurze było już tak ciemno, że ledwie widziałam jego twarz w cieniu. Na dworze wiatr się uspokoił. Panowała martwa cisza, jaka zdarza się tylko tuż przed ulewą. - Ale to wszystko wydarzyło się tak dawno temu, że nikt już nie pamięta tej historii,

a przynajmniej nie zna prawdziwej wersji. Pamiętają tylko, że trzeba zbudować trumnę, a potem ją ukryć... oczywiście to ukrywanie jest symboliczne. Ukrywanie trumny reprezentuje pochówek.

- Ale dlaczego? - spytałam. - To nie ma żadnego sensu.

- Otóż ma - odparł. - Bo żadne istnienie, jeśli było to istnienie przyzwoitego człowieka, nie powinno zostać zapomniane. Więc jeśli na przykład żołnierz został zdradzony przez ludzi, których uważał za przyjaciół, jego ciało zostało zrzucone ze statku, na pożarcie fal, a jego rodzina nigdy się nie dowiedziała, co się z nim stało, nie wiedziała, czy żyje, czy ma się dobrze... To poniekąd piekło samo w sobie.

Patrzyłam na niego, mrugając. Z jakiegoś powodu moje myśli wróciły do tej chwili, kiedy leżałam na dnie naszego basenu w Connecticut i patrzyłam na chwości-ki szalika. Opuszczona. Właśnie tak się czułam. Nawet jeśli nikt mnie nie zdradził ani nie zamordował. Moja śmierć nie była niczyją winą, tylko moją.

- To właśnie spotkało jego? - spytałam lekko ochrypłym głosem. Chociaż oczywiście nic nie czułam do Johna, myśl, że spotkało go coś takiego, wcale nie była przyjemna. To musiało być przerażające, kiedy rzucały nim straszne oceaniczne fale. W moim basenie było całkiem przyjemnie. I przynajmniej mama wiedziała, gdzie mnie szukać.

„Myślisz, że mnie się to podoba? - spytał mnie John tamtego dnia w swoim pokoju; w jego głosie był ból. -Myślisz, że ja bym nie chciał odwiedzić matki?"

Zdaje się, że moje serce pękło do reszty, tutaj, w biurze zarządcy cmentarza.  
Nie wiedziałam. Wtedy nie miałam najbłedszego pojęcia, o czym John mówił.  
Teraz już tak.

Zarządca nagle odchylił się na krześle, aż skrzypnęło hałaśliwie. Chwila minęła. Nie zamierzał mi powiedzieć nic więcej o śmierci Johna, jeśli w ogóle o niej mówił.

- Tak jak wszystkie opowieści - znów był rzeczowy do bólu - i ta została zniekształcona. I być może w tym przypadku to dobrze. Bo czasami, kiedy ludzie znają prawdę, nie potrafią jej znieść. Jest zbyt przerażająca. Więc zmienia się w coś takiego jak Noc Trumien i ma więcej wspólnego z futbolem i podpalaniem niż z uhonorowaniem zmarłych. Ale wciąż jestem ciekaw -ciągnął - co panią spotkało, panno Oliviera, kiedy pani umarła. Czy to wtedy John dał pani naszyjnik?

Poczułam, że się rumienię, chociaż nie bardzo wiedziałam dlaczego.

- Kiedy umarłam... to, co się stało... to było... - Pokręciłam głową. Zdumiewające. Teraz, kiedy wreszcie znalazłam kogoś, kto naprawdę mi wierzył, słowa nie chciały przyjść. Nie mogłam powiedzieć temu miłemu starszemu panu, jak naprawdę było w Świecie Podziemi i co tam przeszłam.

- Nie było tak jak w książkach - powiedziałam w końcu. - Musiałam uciekać. Musiałam.

Pan Smith uniósł brwi.

- Rozumiem. Ale wcześniej on dał pani to? - Wskazał naszyjnik w moich rękach. - I jakimś sposobem kamień wrócił z panią?



Wciąż za bardzo się wstydziłam tego, co wtedy zrobiłam, żeby spojrzeć mu w oczy. Zapatrzyłam się w kamień. Wydało mi się, że i on spogląda na mnie, że mrugnął, biały jak koszula pana Smitha.

- Tak. Spotkałam go już wcześniej, tutaj, w dniu pogrzebu mojego dziadka, kiedy miałam siedem lat. John był tego dnia... miły. Potem umarłam w wieku piętnastu lat i znów go zobaczyłam. Wtedy nie był już taki miły. Przynajmniej z początku. Od tamtej pory widziałam go tylko parę razy. Między innymi wczoraj wieczorem. -Nagle zauważyłam, że podczas rozmowy zrujnowałam swój inauguracyjny manikiur; zdarłam prawie cały lakier. Jego płatki zaścielały drewnianą podłogę pod krzesłem. Cudownie. - John... John mnie przeraża - przyznałam. -Potrafi być trochę... dziki. Przedtem nie wiedziałam dlaczego, ale teraz, dzięki panu, chyba mam lepsze pojęcie. Chcę mu pomóc, ale on mi nie pozwala...

Pan Smith roześmiał się cicho.

- O, nie. Wyobrażam sobie, że pomoc to ostatnia rzecz, jakiej od pani chce.

Uniosłam bezradnie ręce.

- W takim razie nie wiem, co robić. Pana on nie przeraża?

- Hm... może trochę, na początku. Ryzyko pracy na cmentarzu, jak sądzę. Człowiek bez przerwy widzi przerażające rzeczy. Ale... - Richard Smith wzruszył ramionami. - Pani wie, dlaczego nazywają tę wyspę Wyspą Kości, prawda? Miejsce, które regularnie jest zaśmiecanie zmarłymi nie może być niczym innym, jak wejściem do Świata Podziemi...

Spojrzałam na niego; czułam, że serce skurczyło mi się w piersi.

- Isla Huesos jest takim wejściem?

- Oczywiście, panno Ołiwiera - odparł, szczerząc się w uśmiechu. - A co pani myślała? I skoro tak jest, to naturalnie musi być i stróż zmarłych. A ktoś, kto wykonuje taką pracę, musi być trochę przerażający.

- I on jest kimś takim? - spytałam, myśląc o nazwisku wypisanym nad drzwiami krypty, przy której spotkałam Johna już dwa razy. Nie chciałam o to pytać. Ale teraz, kiedy wiedziałam już o naszyjniku, musiałam. - John to... Hades?

Na dworze zaczęły padać pierwsze krople deszczu, bębniąc w blaszany dach. Z początku powoli. Ale mocno. Brzmiały jak uderzenia kul.

- Oczywiście, że nie. - Starszy pan był zaskoczony. - Hades był bogiem, a John Hayden nim nie jest. Urodził się jako człowiek, żył jako człowiek i umarł jak człowiek. Dopiero wtedy stał się tym, czym jest dla mnie i dla pani... władcą Świata Podziemi.

- Więc zajął miejsce Hadesa, kiedy tamten się... usunął? - spytałam, wciąż nic nie rozumiejąc.

Pan Smith pokręcił głową.

- Nie, nie - odparł. - O ile zdołałem to wszystko pojąć, a proszę zrozumieć, że jest pani jedyną znaną mi osobą oprócz Johna, która tam była, John nie uosabia Świata Podziemi. Nie wierzę, by istniał tylko jeden taki świat. To by był prawdziwy honor dla naszej małej wysepki, ale od czasów Homera populacja ludzi dość gwałtownie wzrosła, nie sądzi pani?

Gapiałam się na niego.

- Nie rozumiałam ani słowa z tego, co pan właśnie powiedział. - Tylko tyle że John nie jest Hadesem. I całe szczęście, moim zdaniem. Ale ciągle nie rozumiałam, kim właściwie jest. - Kto to jest Homer? Pan Smith westchnął, jakby zastanawiał się, dlaczego los zesłał mu tak niepojętą uczennicę, po czym wrócił do swojej książki o bóstwach zmarłych i pokazał mi rozdział z jaskrawymi, kolorowymi ilustracjami, przedstawiającymi, moim zdaniem, różne wyobrażenia o piekle. Ale pewnie komuś takiemu jak on wydawały się superfajnymi placami zabaw.

- Proszę spojrzeć. - Richard Smith wskazał książkę, starając się nie tracić do mnie cierpliwości. - To całkiem proste. Każda kultura, każda religia na świecie ma własną mitologię dotyczącą podziemnego świata, przez który przechodzą dusze zmarłych w drodze do życia pozagrobowego. Od Azteków, przez Greków, po muzułmanów i chrześcijan. Mogą być dziesiątki, nawet setki takich Światów Podziemi. Działają jak swego rodzaju... przetwórcze dusz, które odeszły, segregują godnych i niegodnych, zanim odeślą ich do ostatecznego miejsca przeznaczenia. A ten mały cmentarz przypadkiem znajduje się dokładnie nad jednym z takich miejsc. Pani dziadek, który podzielał moje zainteresowanie tym tematem, i ja prowadziliśmy szerokie studia...

Przerwałam mu, zaskoczona.

- Mój dziadek znał Johna? Myślałam, że pan tylko grał z nim w *bocce*.  
Zrobił jakby trochę zawstydzoną minę.

- Chodzi pani o to, co powiedziałem dzisiaj w szkole? No tak, trochę zmyślałem. A pani dziadek nigdy nie spotkał Johna, chociaż oczywiście wiedział o nim. Człowiek, który piastował to stanowisko przede mną... - Odchrząknął. - Powiedzmy, że jego poglądy na temat życia pozagrobowego były dosyć ograniczone. Nie wyobraża pani sobie, jak zamknięci potrafią być niektórzy ludzie na ideę młodego człowieka, który potrafi poruszać się i w ziemskim, i w astralnym wymiarze, i czyni to całkiem swobodnie od półtora wieku...

Szczerze mówiąc, z łatwością wyobrażałam sobie, jak zamknięci potrafią być „niektórzy ludzie”. Na przykład mój tato. I dlatego nigdy mu o tym nie wspomniałam.

- No więc, dziadek - przypomniałam, żeby naprowadzić go z powrotem na temat.

- Ach. Tak jak już mówiłem, w tamtych latach nieczęsto widywaliśmy Johna. Dopiero kiedy sam objąłem posadę zarządcy, miałem okazję go poznać, a wtedy pani dziadek niestety już nie żył. Co do *bocce*, to pani dziadek nie chciał, by pani babcia dowiedziała się, że jest członkiem naszego małego, hm, towarzystwa. Jak wspominałem, niektórzy ludzie uważają studia nad bóstwami śmierci i Światami Podziemi za lekko... cóż, nazwijmy to, makabryczne. A pani babcia jest jedną z takich osób. Oczywiście nie mówię, że nie jest uroczą kobietą - dodał pospiesznie. - i skarbem dla naszej społeczności. Mój partner robi na drutach i kupuje włóczkę w jej sklepie. To po prostu bardzo konserwatywna dama i wydaje mi się, że fakt, iż pani dziadek

zajmował się czymś tak... ezoterycznym, był dla niej trochę trudniejszy do przełknięcia niż opowiadka, że był członkiem drużyny *bocce*. Pokręciłam głową.

- To dziwne.

Zarządca cmentarza spojrział na mnie znad oprawek okularów.

- Dlaczego to dziwne?

Już miałam powiedzieć: „Bo to ona przedstawiła mnie Johnowi”.

Ale przypomniałam sobie, że to nieprawda. Ostatnio w kuchni upierała się, że to wszystko wymyśliłam.

„Tu nie jesteś bezpieczna”.

Światy Podziemi? Bóstwa zmarłych? Furie? John nie żartował: na tym cmentarzu nikt nie był bezpieczny. Babcia w życiu nie wypuściłaby mnie z tego biura, gdyby miała o tym jakieś pojęcie.

- To dziwne - powiedziałam tylko - że babcia nie wiedziała. Bo mówił pan, że wszyscy wiedzą.

Wszyscy wiedzą o Johnie i o tym, że Isla Huesos znajduje się nad tutejszym Światem Podziemi.

- Co innego wiedzieć - wyjaśnił pan Smith - a co innego wierzyć. Pani babcia zna opowieści o Johnie.

Wszyscy miejscowi je znają. Ale czy w nie wierzy... to już zupełnie inna sprawa. Pani babcia jest znana z tego, że twardo stąpa po ziemi.

Miał rację. Babcia nie wierzyła w nic, czego nie mogła zobaczyć na własne oczy, z wyjątkiem tego, co napisano w Biblii. Oto, co powiedziała mamie o dyspergatorze użytym przez firmę taty:

- Nie widziałam tego ani śladu - stwierdziła. - Ani tej całej ropy, o którą ludzie robią tyle krzyku.
  - Właśnie w tym rzecz, mamu - odparła moja mama. - To, że czegoś nie widać, nie znaczy, że tego nie ma. Nikt nie wie, jakie szkody w ekosystemie wyrządzi skażenie za wiele lat.
  - Och, na litość boską, Deborah - zirytowała się babcia. - Złożyłam pozew o utracone zyski z turystów, i firma Zacka wypłaciła wszystko natychmiast, co do centa. Więc przykro mi, ale dlaczego mam się martwić o jakieś głupie ptaszyska?
  - Tak czy inaczej - mówił Richard Smith - pani dziadek i ja zawsze wyznawaliśmy teorię, że we wszechświecie musi być wielu takich Johnów Haydenów; dusz, które z jakichś powodów muszą przez wieczność porządkować dusze zmarłych i wysyłać je w drogę do miejsca przeznaczenia. I musi być wiele takich Światów Podziemi.
  - Ale w takim razie, czemu ja zostałam wysłana do tego Świata Podziemi, na Isla Huesos, skoro umarłam w Connecticut? - spytałam. - Nie byłoby bardziej logiczne, gdybym trafiła do, powiedzmy, Birdgeport? - Byłam kiedyś w Bridgeport. Jeśli na terenie naszych trzech stanów był gdzieś Świat Podziemi, to wydawało mi się, że musi się kryć pod Bridgeport.
- Zarządca się zamyślił.
- Powiedziała pani, że spotkała Johna już wcześniej, jako siedmiolatka. Może to jest powód. Pokręciłam głową. Nie chodziło o to, że to wszystko, co mówił pan Smith, nie miało sensu... Po prostu

nie mogłam uwierzyć, że tak długo byłam ślepa. I ciągle miałam tyle pytań.

- I nie da się nic zrobić? - spytałam. - Z tymi Furiami? Żeby pomóc Johnowi?

Uśmiechnął się do mnie trochę smutno.

- A co mamy z nimi zrobić, panno Oliviera? Mówi pani o miejscu, gdzie ludzkie dusze odchodzą po śmierci. Mamy tam wpaść z pochodniami i widłami? Jak w ogóle mamy się tam dostać, nie umierając najpierw?

Chciało mi się płakać. Furie wydawały się jeszcze większą katastrofą niż ta, do której przyczyniła się firma mojego ojca.

- A w ogóle jak John został wybrany do tak parszywej roboty? - spytałam. - To nie fair. Co zrobił, żeby na to zasłużyć?

- A o to - pan Smith stanowczym gestem zamknął książkę - powinna go pani zapytać sama.

Zaczerwieniłam się.

- Nie mogę z nim rozmawiać - rzuciłam głucho. - On mnie nienawidzi.

- Och. - Pan Smith wstał. Najwyraźniej szykował się do wyjścia. - Jestem pewien, że to nieprawda.

- Nie. Pan nie rozumie. Próbowałam z nim rozmawiać. Ledwie udało mi się go skłonić, żeby mnie wysłuchał. Chciałam go przeprosić za to, co się stało... jak się spotkaliśmy. Za tę herbatę. I wie pan, co on zrobił? Rzucił naszyjnikiem przez cały cmentarz.

- Nareszcie - powiedział pan Smith, jakby lekko rozbawiony - wyjaśnienie, dlaczego znalazłem go dziś rano w kwaterze rodziny Wolkowsky.

- On jest koszmarny. - Miło nareszcie mieć kogoś, komu mogłam się wygadać. Kogoś, kto naprawdę słuchał, kto wiedział, o czym mówię. Szkoda tylko, że był to stary człowiek, który ewidentnie nie miał pojęcia o niczym oprócz bóstw śmierci. - Nie wiem, co mam robić. Gdybym miała pojęcie, że Isla Huesos leży nad jakimś Światem Podziemi, myśli pan, że zgodziłabym się na przeprowadzkę? Przecież ja tylko umarłam. A potem, tylko dlatego, że rozpoznałam Johna dzięki naszemu spotkaniu, jak miałam siedem lat, pomyślałam, że może mi pomóc, i rzuciłam parę uwag o tym, że mogłby trochę lepiej zarządzać tamtym miejscem...

Zarządca cmentarza, który zaczął wkładać dokumenty do aktówki, się skrzywił.

- O rety. To mu się na pewno nie spodobało.

- Tak - przyznałam. - Wiem przecież. A potem, zanim się obejrzałam, przeniósł mnie do swojego pokoju z łóżkiem i powiedział, że spędzimy tam wieczność, czy jakoś tak, bo przegapiłam łódź, do czego, nawiasem mówiąc, specjalnie doprowadził. I co ja niby miałam zrobić? Zaczęłam świrować. Pan też by świrował.

- Hm - mruknął pan Smith. - Tak. Z pewnością bym, ee, świrował.

Zerwałam się i zaczęłam chodzić po biurze, ściskając naszyjnik. Na dworze deszcz lał strumieniami, jakby wszystkie anioły w niebie jednocześnie nade mną płakały. Tylko że oczywiście nie płakały, bo byłam pewna, że anioły w niebie odwróciły się do mnie plecami, bo inaczej ta historia by się nie wydarzyła.



- Wyobraża pan sobie, że od kiedy stamtąd wróciłam - poinformowałam go - to gdziekolwiek się obróć, on albo funduje komuś zawał, albo zgniata mu rękę na miazgę, albo rozwala bramy na moich oczach, a potem wszyscy myślą, że to ja? Za każdym razem!

Zrobił zakłopotaną minę.

- Chyba nie może pani obwiniać Johna o wszystkie te...

- Widziałam, jak to robił! - wykrzyknęłam. - Musiałam go powstrzymać, żeby nie zrobił czegoś gorszego! A pan mi mówi, że mam z nim porozmawiać? Jak mam z nim porozmawiać? Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiam, staje się coś strasznego. Przyjechałam tutaj z mamą, żeby zacząć wszystko od nowa, i chciałam być normalna. Chociaż słowo „normalna” nie jest korzystne terapeutycznie. Ale jak mam być normalna, kiedy pan mi mówi, że mam porozmawiać z kimś, kto rządzi jakimś podziemiem i kto dał mi naszyjnik, który Hades dał Persefonie i który zabił tysiąc ludzi?

- Potrząsnęłam diamentem w powietrzu. - To wszystko to jakiś obłąd.

- Nie - zaprzeczył pan Smith, zamykając aktówkę ze stanowczym trzaskiem i odwracając się do mnie. Jego twarz nagle stała się równie mroczna i szara, jak kamień, który trzymałam w ręce. - To nie jest obłąd. Teraz wszystko jest dla mnie zupełnie jasne. Kiedy zacząłem tu pracować, John był trudny, to prawda. Ale udawało mi się do niego dotrzeć, pewnie dlatego, że tak jak pani, widziałem śmierć... I bardzo niewiele spraw mnie przeraża. Ale dokładnie półtora roku temu stało się coś, co zmieniło Johna w, hm, koszmar, który pani

opisuje. Do dziś nie wiedziałem, co to było, bo nic o pani nie mówił. Ale teraz już wiem. To była pani. Zaskoczona opuściłam rękę. Deszcz zaczął słabnąć.

Ale napięcie w głosie zarządcy nie słabło.

- Panno Oliviera, ja tylko chowam zmarłych. John decyduje, dokąd ich dusze pójda dalej. Nie wiem, jaką rolę gra w tym wszystkim pani... ale wiem, że musi pani to odgadnąć, i to szybko. Bo kiedy się pani pojawiła po raz pierwszy, potrzebowałam całych miesięcy, żeby jakoś uspokoić Johna. I wszystko było dobrze do wczorajszego wieczoru, kiedy znów go pani rozgniewała. Nagle moja brama jest rozbita, na moim cmentarzu leży naszyjnik nieżyjącej królowej, a teraz nie wiadomo skąd wziął się huragan i wygląda na to, że idzie prosto na nas. Więc jeśli mogę coś zasugerować, dla dobra nas wszystkich, może jednak pani spróbuje - jego brązowe oczy patrzyły na mnie błagalnie - być trochę miłsza dla tego chłopca?

Otworzyłam usta. Chciałam powiedzieć Richardowi Smithowi wiele rzeczy. Po pierwsze to, że choćbym była nie wiadomo jak miła, to i tak niczego to nie zmieni. John był dziką istotą i jak każda dzika istota robił, co chciał, i nikt nie mógł go powstrzymać.

A po drugie, to nie miało znaczenia, jak bardzo będę miła dla Johna Haydena. Jemu wystarczało jedno mrugnięcie, żeby iść wszędzie, gdzie chce, i zrobić, co chce.

Ale zdałam sobie sprawę, że nie powinnam mu tego mówić. Rozbiłabym romantyczne wyobrażenia Richarda Smitha o Świecie Podziemia, z jego pięcioma rzekami smutku, lamentu i czego tam jeszcze. Powiedzenie temu

staremu człowiekowi całej obrzydliwej prawdy - o wytatuowanych strażnikach, łodziach, kolejkach i lodowatej plaży - niczego by nie naprawiło. Co dobrego by z tego przyszło? Wiadomość o tym, że te wszystkie rzeczy, które kochał, nie istnieją, zdruzgotałaby go.

Tak jak zdruzgotałaby go świadomość, że John wcale się we mnie nie zakochał - cokolwiek myślał sobie Smith. Nie zakochał się, choć mówił mi, że zna moją naturę, bo zobaczył ją w moich oczach, i choć tak mu się podobało, że troszcę się o innych bardziej niż o siebie.

Bo jeśli był we mnie taki zakochany, jak sugerował pan Smith, to dlaczego sam nie zachowywał się trochę milej? Jeśli to prawda, dlaczego przez wszystkie te miesiące, kiedy cierpiałam, leżąc we własnej trumnie, zamiast wyskakiwać z nienacka i napadać ludzi na moich oczach, po prostu nie powiedział mi, że mnie kocha?

Oczywiście zawsze istniała możliwość, że tak strasznie zdziczał - torturowany przez Furie za to, że pozwolił mi uciec - że zapomniał, jak ważne są dla ludzi słowa „kocham cię”. Może nie umiał ich wypowiedzieć. Bo z całą pewnością miał problem ze słowem „przepraszam”.

Boże, co ja robiłam? Nie mogłam uwierzyć, że w ogóle bawię się myślą, by potraktować sugestię pana Smitha poważnie. Był oszołomem z Isla Huesos, na swój sposób niczym się nie różnił od mojej babci. Bo kto prowadzi sklep z włóczkami w miejscu, gdzie średnia temperatura wynosi trzydzieści stopni? I nic dziwnego, że Richard Smith dostał posadę zarządcy cementarza: miał obsesję na punkcie bóstw śmierci!

Zdałam sobie sprawę, że wizyta w jego biurze była złym pomysłem. Co właściwie dzięki niej osiągnęłam? Nic dobrego. Tyle tylko że odzyskałam naszyjnik.

Naszyjnik, który, jak się dowiedziałam, zabijał każdego, kto go tknął. Super.

- Wie pan co - powiedziała do zarządcy, wkładając łańcuszek przez głowę. Kiedy poczułam ciężkie puknięcie wisiora przy sercu, poczułam się spokojniejsza. Co już samo w sobie było dołujące. -

Zresztą, nieważne. W porządku. Rozumiem.

Spojrzał na mnie w świetle lampki.

- Rozumie pani, panno Oliviera? Bo mam przecucie, że zupełnie do pani nie trafiłem, tak jak nie mogę trafić do Johna.

- No cóż, teraz już pan wie, dlaczego nie byłam zachwycona na myśl, że mam z nim spędzić całą wieczność. Bo jest niemożliwy.

Zarządca cementarza zrobił zamyśloną minę.

- Niemożliwy, tak - przyznał po kilku sekundach. - Ale interesujący. Tak jak pani. A wieczność to bardzo długo. Więc jeśli już trzeba ją z kimś spędzić, to ja chyba wolałbym z kimś niemożliwym... ale interesującym.

*Jako gołębie, miłością wabione,  
Na wyprężonym skrzydle, jedną parte  
Chęcią, w lubego gniazda lecą stronę.*  
**Dante Alighieri *Piekieł*, Pieśń V**

Kotku, przyszli tu do ciebie jacyś chłopcy. Mieli deski.

To było pierwsze, co powiedziała do mnie mama, kiedy wróciłam do domu. Potrzebowałam chwili, żeby załapać, o czym mówi. W końcu zrozumiałam, co musiało się stać.

- Przepraszam, mamó - odparłam, kiedy mój gniew na Setha Rectora zelżał na tyle, że mogłam mówić.  
- Nie powiedziałam im, że mogą. Powiedziałam, że najpierw cię zapytam, czy się zgadzasz.  
- Też tak twierdzili. - Mama stała w naszej nowej kuchni, która chyba nie była już taka nowa, i gotowała spaghetti. - Ale mówili, że nie mogą się do ciebie dodzwonić. Pewnie dlatego, że twój telefon był w torbie z książkami w garażu, jak się przekonałam, kiedy sama spróbowałam cię złapać, i wreszcie usłyszałam, gdzie dzwoni.

Skrzywiłam się. Nie mogłam uwierzyć, że to zawałam. Chociaż, właściwie mogłam. Nic dziwnego, że babcia myślała o mnie to, co myślała.

- Mamo, strasznie przepraszam. Ale oni nie powinni byli tak...

- Kotku, nic nie szkodzi - odparła, podsuwając mi miskę, kiedy siadłam przy blacie. - Wyjaśnili, że chodzi o Noc Trumien, więc powiedziałam im, że nie ma sprawy i ich wpuściłam. Wydawali się bardzo mili. Nawet jeśli mówili do mnie „szanowna pani”.

Mama skrzywiła się na niby, siadając obok mnie, przed własną miską spaghetti. Nie cierpiała, kiedy nazywano ją szanowną panią. Mówiła, że czuje się przez to stara, i zastanawiała się, kiedy zmieniła się z panny w szanowną panią.

Ale nie wyglądało na to, żeby miała to za złe Sethowi i jego kolegom, i nie palnęła mi zwyczajowego wykładu, że znów zapomniałam telefonu.

Dowiedziałam się dlaczego, kiedy jej spojrzenie padło na łańcuszek na mojej szyi.

- O! Masz go na sobie. Dziwne. Dzisiaj w biurze Nowych Dróg przysięgłabym, że widziałam, jak ten okropny staruch z cmentarza... - Skrzywiła się i wypila łyczek wina, którego sobie naląła. - Wiesz co? Nieważne. Może potrzebuję okularów dwuogniskowych. W każdym razie uznałam, że nie stanie się nic złego, jak ich wpuszczę. Bo się nie stało, prawda?

Co miałam powiedzieć? Zamierzałam poinformować Seta i jego koleśki, że mama się nie zgodziła. Niestety.

Ale skąd wiedzieli, że właśnie to chciałam zrobić? Nic dziwnego, że Alex tak ich nienawidził.

Podstępne gnojki.

Przylepiłam na twarz udawany uśmiech i powiedziałam:

- Nie, mamó. To świetnie. Super. Właśnie tak chciałam.

No trudno. W ten sposób przynajmniej mogłam wcielić w życie fazę pierwszą mojego planu: ukraść komórkę Sereny, znaleźć w niej kompromitujące zdjęcia (wyglądała na osobę, która takie ma), a potem szantażem zmusić ją, żeby dała spokój Kayli.

- No i nigdy nie zgadniesz, co się stało - powiedziała mama. - Kojarzysz Tima z waszego programu Nowe Drogi? No więc, zaprosił mnie na randkę. - Puściła do mnie oko. - To dlatego aż tak mi nie przeszkadzało, że twoi koledzy nazywali mnie szanowną panią. Zdaje się, że twoja stara mamusia ciągle ma to coś.

- Mamó. - Westchnęłam, opuszczając łyżkę. - Ja jem.

- Nie martw się - odparła, uśmiechając się promiennie. - Wiedziałam, że tak zareagujesz. Dlatego powiedziałam mu, że teraz jestem zbyt zajęta na randki. Ale i tak było mi bardzo miło. Zaprosił mnie na pokazy żeglarskie w przyszły weekend. Musisz przyznać, że Tim jest całkiem przystojny.

- Ciągle jem. I nie muszę niczego przyznawać, oprócz tego, że nie wiem, które z was wykończy mnie pierwsze, ty czy tato. Ostatecznie tym razem.

Miałam ochotę ją poinformować, że właśnie się dowiedziałam, że jej rodzinna wyspa jest zaparkowana nad Światem Podziemi - co właściwie nie powinno jej specjalnie zaskoczyć.

Ale nie chciałam psuć jej dobrego nastroju, tym bardziej że zrobiła kolację i była taka miła w sprawie tych desek, nawet jeśli nie całkiem tego chciałam.

Mama roześmiała się i napiła wina.

- Więc rozumiem, że nasz dom miał to szczęście, że został wybrany na miejsce budowy trumny ostatniego rocznika - taktownie zmieniła temat. - Jak ci się to udało już pierwszego dnia? Nie jesteś nawet w żadnej drużynie sportowej.

- Mieszkamy na strzeżonym osiedlu - wyjaśniłam, ponuro dziobiąc widelcem kawałek brokuła, który ukryła w makaronie, żebym zjadła trochę warzyw. - Nikt, kto tu nie mieszka, nie może tędy przejechać i zobaczyć, co robimy.

- O! - powiedziała mama ze znajomością rzeczy. - Zmądrzeli. Kiedyś budowali je po prostu w czyimś mauzoleum na cmentarzu.

- Tak - odparłam z lekkim dreszczem. - Ale nie mogą już budować na cmentarzu, bo policja tego pilnuje.

Co wyjaśniało dlaczego spotkaliśmy Jade, moją terapeutkę z Nowych Dróg, krążącą wokół cmentarza na rowerze, w kolarskich szortach i w plastikowym ponczo z napisem „Policja Isla Huesos”, kiedy przyjąłem propozycję pana Smitha, że odwiezie mnie do domu. Deszcz już wtedy zelżał, ale nie na tyle, żeby jazda na rowerze była bardziej kusząca niż siedzenie w jego ciepłym, suchym minivanie.

- Na litość boską, co pani tu robi? - zapytał pan Smith, opuściwszy szybę, kiedy podjechała. - Proszę



nie mówić, że nie odwołali patrolu w taką noc. Nie słyszeli, że zbliża się huragan?

Jade zdjęła kaptur i wyszczerzyła zęby.

- To tylko alert, nie ostrzeżenie - Skierowała swoją rowerową lampę do wnętrza samochodu. - To ty, Pierce? Co robisz w aucie pana Smitha?

- Hm - bąknęłam, trochę zawstydzona, że wolałam minivana od roweru, kiedy Jade najwyraźniej zupełnie nie przeszkadzał deszcz. Miałam naszyjnik, który podobno odstraszał demony, a bałam się mżawki. A poza tym nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na pytanie, dlaczego siedzę w samochodzie Richarda Smitha.

Odpowiedział za mnie.

- Zobaczyłem ją przed chwilą, jak jedzie w tej ulewie - wyjaśnił. - I zlitowałem się nad nią. Wiozę ją do domu. Jest pani pewna, że nie chce pani również skorzystać? Jej rower stoi przypięty koło bramy, więc z tyłu jest mnóstwo miejsca, żeby zabrać pani pojazd, jeśli pani chce. Co szczerze doradzam.

- Nie-e - odmówiła Jade, zakładając z powrotem kaptur, kiedy mijał nas jakiś samochód, rozchlapując wodę; jego długie światła przesunęły się po ścianach najbliższych krypt, sterczących złowrogo za wysokim, żelaznym ogrodzeniem ze szpikulcami. - Żartuje pan? Jestem na policyjnym patrolu i bawię się jak nigdy w życiu. Dali mi walkie-talkie i całą resztę. - Podciągnęła pelerynę, odsłaniając krótkofalówkę na biodrze. - Dopilnujemy, żeby żadne ciemne typki nie tknęły pańskiej bramy, panie S. A jak tkną, dostaną ode mnie gazem pieprzowym, niech się pan nie martwi.

Przechyliłam się do przodu na siedzeniu. To było idiotyczne. Jade jeździła na rowerze wokół cmentarza, po nocy, w ulewie, z powodu czegoś, co zrobił John? Przemoknie do nitki, zupełnie niepotrzebnie.

Nie wspominając już, że wczorajsze słowa Johna wciąż brzmiały mi w uszach:

„Tu nie jesteś bezpieczna”.

- Naprawdę nie wydaje mi się... - zaczęłam, ale pan Smith mi przerwał.

- No dobrze, Jade. Dzisiaj patroluje pani i funkcjonariusze Rodriguez i Poling?

- Do pierwszej w nocy - odparła wesoło. - Jeżdżą radiowozem. - Zrobiła do mnie minę. - W ciepełku i wygodnie, jak niemowlaki w wózku.

Nie roześmiałam się.

- Naprawdę - powtórzyłam. - Myślę, że...

- Nie wydaje mi się, żeby dzisiaj coś się miało stać, za bardzo pada - przerwał mi znów zarządca. - Ale policjanci mają klucze do mojego biura, gdyby pani potrzebowała tam wejść, i oczywiście jest tam mój numer, gdybyście chcieli dzwonić. Miłej zabawy. I proszę na siebie uważać.

Uśmiechnęła się, zasalutowała i odjechała. Obejrzałam się za nią, kiedy pan Smith wcisnął guzik i zamknął okno.

- Dlaczego pan jej nie zmusił, żeby wsiadła do samochodu? - spytałam ze złością. - To jest chore, jeździć na rowerze w taką pogodę...

- To zapewne najbezpieczniejsza noc, jaka mogła jej się trafić - odrzekł. - Ten pomysł waszej szkoły jest

idiotyczny. Nauczyciele w zespołach z policją. Dla mnie to nie ma sensu. Nic, czego uczą was dzisiaj w szkołach, nie ma dla mnie sensu.

- Ona nie jest nauczycielką - zauważyłam, ciągle oglądając się na światła jej odjeżdżającego roweru.

-Jest terapeutką. I jest naprawdę miła. To głupie.

- Nieważne. W taką noc i tak nikt się tu dzisiaj nie zjawi. I niby jak miałem ją zmusić, żeby wsiadła do samochodu? Dziwna z pani dziewczyna. Jak można do czegoś zmusić kobietę taką jak ona? Widziała ją pani: świetnie się bawi. Będzie całkowicie bezpieczna, tak jak pani była, bo przecież nieraz jeździła pani rowerem po moim cmentarzu. Nie spotka jej nic złego. John tego dopilnuje.

- John powiedział mi, że cmentarz nie jest bezpieczny - wyjaśniłam mu. - Powiedział mi to wczoraj. Powiedział mi, żebym tu nie wracała. Bo jak wrócę, to zginę, tym razem na dobre. Właśnie wtedy kopnął w bramę.

Pan Smith się roześmiał.

- Cały John. To było, zanim wyrzucił naszyjnik, czy już po tym?

- To nie jest zabawne - odparłam, marszcząc czoło. - Dlaczego miałby mówić, że nie jest bezpiecznie, gdyby tak nie było?

- Miał na myśli, że nie jest bezpieczne dla pani -sprostował zarządca. - Ponieważ tak go pani rozdrażniła, że miał ochotę panią zabić. Ale przecież nie dosłownie. Przesadzał, żeby do pani dotarło. John jeszcze nigdy nie zabił kobiety, o ile wiem, i gdyby miał zaczynać teraz, zakładam, że zabiłby raczej panią, a nie

pani terapeutkę. Boże święty, czy oni niczego was nie uczą w tych szkołach? Nie słyszała pani o hiperboli? Sugeruję, żeby sprawdziła pani to słowo, panno Oli-viera, jeśli chce pani kontynuować związek z bóstwem śmierci.

Poddałam się po tej jego przemowie. Później w domu, kiedy posprzątałam naczynia i na pół gwizdka zabrałam się do pracy domowej - musiałam przynajmniej udawać, że się staram. O jedenastej włączyłam prognozę i zobaczyłam, że Isla Huesos jest w samym środku trzydniowego stożka niepewności. Synoptycy wciąż nazywali to alertem, więc nie ogłaszano ewakuacji. Ale urzędnicy zachęcali mieszkańców „niżej położonych, podatnych na zalania” terenów, żeby podjęli środki zaradcze, i to jak najszybciej. A że mosty łączące Isla Huesos z lądem były zamykane, kiedy wiatr przekraczał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, ci, którzy chcieli się przenieść, musieli to zrobić jak najszybciej, tym bardziej że otwierano tylko jedno tymczasowe schronisko, aż w Key Largo.

- Mamo - powiedziałam nerwowo. - Widzisz to? Nie powinniśmy się ewakuować, czy coś?

Mama siedziała przy laptopie.

- Oj, kotku - rzuciła nieobecny tonem - to tylko alert. Najpierw i tak uderzy w Kubę. Te sztormy zawsze tracą siłę nad Kubą. I nawet nie odwołano jutrzejszych zajęć. Jeśli nie odwołali szkoły, to nic poważnego. Zaufaj mi. Więc mam nadzieję, że naprawdę odrobiłaś lekcje - wyszczerzyła się do mnie w uśmiechu - bo nie ma szans, żeby ci się upiekło.

Zniechęcona wyłączyłam telewizor. Nie żebym miała nadzieję, że huragan naprawdę przyjdzie i zmiecie moją szkołę. Tylko dziecko mogłoby chcieć czegoś takiego.

Ale kiedy wcześniej poszłam do garażu po torbę i zobaczyłam deski zostawione przez Seta, oparte o ogrodowe meble, które wujek Chris tak starannie poukładał, zastanawiałam się, jak powiem Alexowi, że jestem w Komitecie Nocy Trumien. Z tymi ludźmi, których tak nienawidził.

I wtedy nagle mnie trafiło. Tego było za dużo. Cała ta akcja. Ci ludzie będą w moim domu i będą budować trumnę, która ma związek z facetem rządzącym tutejszym Światem Podziemi, o którego istnieniu nikt z nich nie miał pojęcia, chociaż był tutaj, pod wyspą, gdzie spędzili całe życie...

Jeśli naprawdę przyjdzie huragan i zmiecie nas wszystkich, przynajmniej nie będę musiała się z tym borykać.

Ale wiedziałam, że to nie jest sposób na radzenie sobie z problemami. Podobnie jak telefon do taty i mówienie mu, że jednak skorzystam z oferty tej jego szkoły za granicą.

Bo nic nie mogłam poradzić na to, że nagle Szwajcaria wydała mi się bardzo kusząca. To by złamało mamie serce, ale jakoś by przeboleła, gdybym ją przekonała, że dzięki temu będę miała większe szanse dostać się na przyzwoite studia.

Bo taki powód z pewnością byłby lepszy niż prawda. .. że muszę uciec z tego obłąkanej wyspy, na którą

mnie przywiozła. Bo wyspa ta przypadkiem leży dokładnie nad miejscem, o którym staram się zapomnieć każdego dnia od czasu swojej śmierci.

Posunęłam się nawet tak daleko, że ostrożnie zamknęłam drzwi, żeby mama nie słyszała, i tam, w garażu, wybrałam numer taty.

- Co? - wrzasnął tato, odbierając po pierwszym sygnale, jak zawsze kiedy dzwoniłam.

Domyśliłam się, że jest na biznesowej kolacji. W tle było słychać gwar rozmów i brzęczenie sztućców. Tato nigdy nie jadał w domu. Dlaczego miałyby jadać, skoro zawsze trafiali się jacyś klienci, którzy zapraszali go do najlepszych restauracji na Manhattanie?

- Tato - powiedziałam. - Dzwonię nie w porę?

- Nigdy - odparł. - Jestem w tym lokalu, gdzie byliśmy, tym ze szklaną ścianą z butelkami wina.

Pamiętasz, mówiłaś, że powinna się obracać, żeby można było po prostu wskazać palcem, co się chce.

- W następnej chwili tato był już wściekły. - Ale nie wzięli pod uwagę twojej sugestii! Stojaki ciągle się nie obracają!

- Są głupi. Tato, potrzebuję twojej pomocy. Muszę się stąd wydostać.

Był zachwycony. Wiedziałałam, że będzie. Usłyszałam pstryknięcie palcami.

- Samolot - powiedział do kogoś. - Isla Huesos. Jutro.

- Chodzi o to - ciągnęłam - że tu dzieją się różne rzeczy. Mama jest świetna, wiesz...

- Spotyka się z kimś? - spytał tato zbyt obojętnie.

- Uch, co? Nie. Oczywiście, że nie. Ale...

- Co? - Tato nagle zaczął krzyczeć. - Nie. - Powiedziałem Chateau La Mission Haut Brion rocznik 2005. Nie 2008. Gdybym chciał 2008, poprosiłbym o 2008. Czy wy, ludzie, próbujecie mnie zabić? Spojrzałam na brylant na końcu mojego złotego łańcuszka. Znow miał swoją zwykłą barwę, jasnoszarą na brzegach i granatową w środku.

Co ja wyprawiam?

Nie mogłam wyjechać. Nie teraz. Wyjazd teraz byłby jak wczłganie się z powrotem do mojej szklanej trumny.

- Tato. - Potarłam czoło. - Nieważne. Już... Tato wrócił do naszej rozmowy.

- Teraz mi mówią, że jakiś huragan idzie w waszą stronę. Wiedziałaś o tym? Mówiłem twojej matce, żeby nie wracała do tej piekielnej dziury.

Piekielna dziura. Tato, żebyś ty wiedział.

- Już dobrze, tato. Zmieniłam zdanie. Chcę tu zostać.

- Pierce. Nie ma sprawy. Mogę tam posłać samolot. Tylko rejsowe lotnisko jest zamknięte. Pilot może wylądować w tej bazie wojskowej, a potem poproszę znajomego, żeby pojechał po ciebie i mamę.

- Posłuchaj, tato. Nie trzeba. Po prostu miałam chwilę słabości. Muszę lecieć. Mama mnie woła. Zapomnij o tej rozmowie. Pogadamy o zwykłej porze w niedzielę. - Rozłączyłam się.

Mama poszła do łóżka zaraz po wiadomościach, jak zawsze. Ja wzięłam prysznic i umyłam włosy, potem założyłam prastarą koszulkę i szorty do spania.

Tymczasem pasmo posiłkowe, czy co to było, już się wyszumiało. Deszcz przestał padać. Kiedy przez szparę w zasłonach wyjrzałam z okna sypialni, zobaczyłam, że niebo jest całkowicie czyste i widać gwiazdy. Światła, które dbający o środowisko projektant ogrodów strategicznie porozmieszczał u stóp kilku palm królewskich, włączyły się i oświetlały pnie. Mama jednak marudziła coś o „zanieczyszczeniu świetlnym” i martwiła się, że światła zdezorientują migrujące ptaki. Projektant spojrzał na nią i powiedział:

- Szanowna pani. Myślę, że ptakom nic nie będzie. A dzięki tym energooszczędnym żarówkom będzie pani widziała, czy po ogrodzie nie kręcą się podejrzani osobnicy, bez konieczności używania lamp bezpieczeństwa o dużej mocy.

Ja usłyszałam tylko słowa „podejrzani osobnicy”.

- Bierzemy je - oznajmiłam stanowczo.

Kiedy wyjrzałam do ogrodu, zobaczyłam, że mama nie wyłączyła lamp w basenie. Teraz, w wilgoci pozostałej po burzy, z turkusowej powierzchni wody wzbijała się para.

Na środku basenu unosiło się coś małego i czarnego. Ciało. I nie tylko się unosiło. Walczyło.

Cokolwiek to było - a było maleńkie - miało nogi.

I machało nimi, gorączkowo usiłując dotrzeć do schodków i uratować się przed utonięciem.

Ale nie mogło się uratować. Bo nawet gdyby dopłynęło do schodków, nie wdrapałoby się na pierwszy z nich. Było za małe. Każdy to widział.

Opuściłam zasłonę.



Dlaczego ja? Tylko tyle miałam do powiedzenia. Po prostu... Dlaczego. Ja.

Westchnęłam, wyszłam z pokoju i ruszyłam ciemnym korytarzem na piętrze. Słyszałam łagodny oddech mamy przez otwarte drzwi jej pokoju. Potrafiła zasnąć szybciej i spać mocniej niż jakikolwiek znany mi człowiek.

Kiedy dotarłam do tarasowych drzwi, wychodzących na tył ogrodu, wstukałam kod alarmu i otworzyłam je.

Wyjście na dwór było jak zanurzenie w zupie. Tak było wilgotno.

Wszędzie rechotały żaby. Wrzasnęła cykada. Gdzieś za czterometrowym hiszpańskim murem, porośniętym bugenwillą, szeleścił kot albo jakiś nadrzewny gryzoń. Ignorując te wszystkie stworzenia, przeszłam bosą kamienną ścieżką do basenu, przejęta swoją misją. Ścieżka wciąż jeszcze była mokra po burzy i pełna ślimaków. Lampy u stóp królewskich palm dawały mi dość światła, bym widziała ślimaki i mogła je omijać.

Mama zostawiła włączone nie tylko lampy w basenie, ale i kaskadę. Woda spływała z niebieskozielonej, pokrytej kafelkami ściany w dalszym końcu basenu. Podeszłam do małego domku ogrodowego, gdzie trzymałyśmy wszystkie materace oraz sprzęt do czyszczenia, i otworzyłam drzwi. Zdażyłam już zobaczyć, że stworzenie szamoczące się w wodzie to jasnozielony gekon. Teraz groziło mu wessanie do filtra.

- Trzymaj się - powiedziałam do niego, wyciągając jeden z długich kijów z siatką na końcu, których konserwator basenu używał do wyławiania śmieci. - Mam cię.

W kilka sekund wyłowiłam gekona i wypuściłam go z siatki na liść hibiskusa. Z początku siedział tylko, oszołomiony. Potem, jakby dopiero zrozumiał, że nie umrze, zeskoczył i uciekł.

Oklaski rozległy się jakby znikąd. Tak się przestraszyłam, że upuściłam tyczkę. Plusnęła głośno i poszła na dno.

- Tym razem - pochwalił John, wychodząc z cienia i bijąc mi brawo - nawet nie uderzyłaś się w głowę.

*Co rychlej wszyscy rzekę przebyć skorzy,  
Bo tak ich boska sprawiedliwość bodzie,  
Ze zmniejsza lęku, a pragnienie mnoży.*

**Dante Alighieri Piekło, Pieśń III**

Jak słowo daję. - Przycisnęłam dłoń do serca. Biło tak mocno, że myślałam, że dostanę zawału. -  
Musisz przestać tak robić.

- Przepraszam. - Opuścił ręce.

Stał po drugiej stronie błękitnej wody, wysoki i groźny jak zawsze, i jak zwykle ubrany w czerń;  
pewnie dlatego nie zauważyłam go w ciemności.

Ale było w nim coś innego. W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi o oczy. Może odbijały błękitne  
światło z basenu, bo zdawały się lśnić równie jasno jak woda.

Ale potem zrozumiałam, że to coś innego. A kiedy zrozumiałam, zatkało mnie.

- Zaraz - powiedziałam, robiąc kilka niepewnych kroków wokół basenu, żeby lepiej widzieć wyraz  
jego twarzy. - Czy mi się wydawało, czy powiedziałeś to, co powiedziałeś?

Został na miejscu. Był nieufny jak gekon, kiedy spadł na liść hibiskusa... jakby zadawał sobie pytanie: Co się stało? To jakaś pułapka?

- Co? - spytał zaczepnie.

- Powiedziałeś - odparłam osłupiała. Kiedy do niego podeszłam (nie poruszył nawet jednym mięśniem, kiedy szłam do niego bosą wokół basenu, aż dzieliło nas już tylko pół metra), zobaczyłam to w jego twarzy, oświetlonej blaskiem lamp ogrodowych i falującymi liniami światła z basenu. -

Powiedziałeś przepraszam.

Przestąpił z nogi na nogę, zażenowany. Odwrócił wzrok. Zamiast na mnie spojrzął na basen.

- Przeprasiłem tylko za to - odparł sztywno - że cię przestraszyłem. Te oklaski były za udoskonalenie twoich technik ratunkowych, bo ostatnim razem...

- Nie. - Uniosłam rękę. - Przestań. Pó prostu przestań. Musimy porozmawiać. Tak naprawdę porozmawiać. Obiecuję, że nie będę cię wyzywać, jeśli ty obiecasz, że nie będziesz więcej próbował nikogo zabić.

Znów na mnie spojrzął. Z jego oczu wyczytałam całe mnóstwo emocji: gniew, wstyd, zmieszanie, ból -aż spojrzął na naszyjnik.

- Znowu go nosisz - powiedział głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałam.

- Tak - odparłam. Moje serce wciąż się nie uspokoiło. To, jak na mnie patrzył, nie poprawiało sytuacji.

- Widziałem, jak Richard znalazł go dziś rano. A wieczorem widziałem, jak wchodziłaś do jego biura. Więc jednak tam był. Powinnam była wiedzieć. Nic dziwnego, że pogoda zrobiła się taka okropna.

Wtedy zrozumiałam, co słyszę w jego głosie... coś, czego nie słyszałam nigdy wcześniej.

Strach. On się bał. Bał się tego, co mógł mi powiedzieć Richard Smith.

- Tak - powtórzyłam. - Posłuchaj... - Rozejrzałam się. Wujek Chris schował wszystkie ogrodowe meble do garażu, ale było jedno miejsce, gdzie nieubłagany upał zdążył już wysuszyć kamienie przy brzegu basenu. - Chodź tutaj - zachęciłam, sięgając po jego dłoń.

Cofnął się o krok - nie szarpnął się, nie zabrał ręki, ale nie chciał, żebym go dotykała. Jeszcze.

- Spokojnie - powiedziałam głosem, który, miałam nadzieję, brzmiał kojąco. On naprawdę był jak ten gekon: niepewny, co mogą zrobić mu ludzie. - Chcę tylko usiąść w jakimś suchym miejscu. Bo to lubię, pamiętasz? Być sucha.

Chyba nie załapał żartu. Wciąż przyglądał mi się podejrzliwie, kiedy chwyciłam jego dłoń i pociągnęłam go w dół... i nawet kiedy już go puściłam i usiadłam, zanurzając stopy w chłodnej wodzie, stał tak przez chwilę, patrząc na mnie, jakby nie bardzo wiedział, co jest grane.

Postanowiłam go ignorować. Tak się robi z dzikimi stworzeniami; nauczyłam się tego podczas wolontariatu w patrolach ratujących zwierzęta. To działało. Trzeba im pozwolić, by same uznały, że nie jesteś zagrożeniem, że tak naprawdę w ogóle się nimi nie interesujesz.

Potem, w końcu, przy odrobinie szczęścia, same do ciebie przychodzą.

Co po chwili zrobił i John. Usiadł po turecku obok mnie... ale wyglądał, jakby był gotów zerwać się na najmniejszy sygnał niebezpieczeństwa. Zabawne, biorąc pod uwagę, że to on był bóstwem śmierci. Nawet nie przyszło mi do głowy zasugerować, żeby zdjął buty. To by pewnie była apokalipsa. Gdzieś w ogrodzie cykada, która przed chwilą zrobiła sobie przerwę, znów zadzwoniła. Na szczęście plusk wody z kaskady był na tyle głośny, by zagłuszyć i ją, i żaby.

- Co powiedział Richard? - spytał w końcu John, po minucie spędzonej w milczeniu. Wydawał się osłupiały, co chyba zrozumiałe. Przecież ani nie wrzeszczałam, ani nie wyzywałam go od palantów, ani niczym go nie oblewałam, co było nowością w historii naszej znajomości. Musiał się zastanawiać, co takiego powiedział mi zarządca cmentarza, że zmieniłam swój stosunek do niego.

- No więc - zaczęłam powoli. Trudno mi było uwierzyć, że to się w ogóle dzieje. I nie bardzo wiedziałam, jakim cudem to się dzieje. Gdyby ktoś mi powiedział jeszcze godzinę temu, że tak to będzie wyglądało, nigdy bym nie uwierzyła.

Ale teraz jakoś wydawało się naturalne. Bądź miła. Ot co powiedział Richard. No cóż, zawsze warto spróbować.

- Powiedział, że ten naszyjnik zabił tysiąc osób -odparłam.

John natychmiast zeszywniał, jakby chciał wstać i odejść, a może wrzucić mnie do basenu.

- Hej - rzuciłam tym samym kojącym tonem, kładąc dłoń na jego kolanie. - Pytałeś, co powiedział. Więc ci mówię.

Ta dłoń chyba zadziałała. John został, napięcie opuściło jego ciało.

- To nie był naszyjnik - powiedział z ponurą miną. - Myślisz, że podarowałbym ci coś, co zabija ludzi? Dlaczego miałbym to zrobić? Zabiły ich Furie, bo były wściekłe, że kamień nie jest używany przez osobę, dla której był przeznaczony.

- Czyli przez kogo? - spytałam. John nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Doskonale wiesz, przez kogo. Richard mówił, że ci powiedział. Czy ty ze mną flirtujesz?

- Jasne, że nie - odparłam, mając nadzieję, że w świetle z basenu nie zauważy mojego rumieńca.

-Próbuję tylko ustalić fakty. Pan Smith bardzo dużo mówił o Furiach.

John zmarszczył brwi.

- Richard ma obsesję na punkcie Furii.

- No wiesz, naprawdę są dość przerażające. Powiedział, że to duchy zmarłych, niezadowolone z miejsca, w którym się znalazły.

Wbił ponury wzrok w basen, nie we mnie.

- To się mniej więcej zgadza.

- A ty mi powiedziałaś - ciągnęłam - że to one karzą ludzi za łamanie zasad twojego świata. To stąd to masz? - Przesunęłam palcem po jednej z blizn na jego dłoni, opartej blisko mojej.

Po raz pierwszy nie zabrał ręki. Tylko jego spojrzenie oderwało się od wody i skupiło na moich palcach.

- Tak - przyznał cicho.

- A teraz Furie ścigają mnie.

Wtedy to jego srebrne spojrzenie wreszcie zatrzymało się na mojej twarzy.

- Nie ścigają cię żadne Furie. - Wyglądał na szczerze zdziwionego. - Dlaczego miałyby cię ścigać?

- No bo - zaczęłam. Bo mnie wybrałeś, chciałam powiedzieć. Tak jak Hades wybrał Persefonę. Ale zdecydowałam się na bezpieczniejszą wersję, na wypadek gdyby znów oskarżył mnie o flirtowanie, i powiedziałam: - Bo dałeś mi naszyjnik.

- A ty chlusnęłaś mi herbatą w twarz - przypomniał mi szorstko. - A potem uciekłaś. Jestem pewien, że nawet Furie jasno i wyraźnie odczytały ten przekaz. Raczej nie będą ścigać kogoś, kto nienawidzi mnie tak samo jak one. Szczerze mówiąc, Furie pewnie zaliczają cię do swoich największych sprzymierzeńców.

Zabrałam dłoń z jego dłoni, urażona... chociaż prawie wszystko, co powiedział, była prawdą.

Przynajmniej to o herbacie.

- Mówiłam ci, że zrobiłam to tylko dlatego, że byłam przerażona - wyjaśniłam. - Nie nienawidzę cię. I nie jestem Furią. Chociaż nie zaszkodziłoby, żebyś czasem rozejrzał się uważniej dookoła, zanim w coś wdepniesz. - Kiedy tylko na mnie popatrzył, nie rozumiejąc, wyjaśniłam: - Mógłbyś być trochę bardziej gościnnie dla osób, które przychodzą do twojego świa-



ta, i mógłbyś nie napadać bez przerwy na niewinnych ludzi, jak na tego jubilera, którego o mało nie zabiłeś.

Zrobił oburzoną minę.

- On nie był niewinny. Był dupkiem. Nie powinien był cię tknąć. Zasłużył na wszystko, co go spotkało.

Uniosłam spojrzenie do gwiazd, które płonęły nad nami, zimne i czyste, teraz, kiedy rozstały się chmury. Ponieważ Isla Huesos była tak mała i tak bardzo oddalona od lądu i wszelkich dużych miast, widziałam z tego ogrodu o wiele więcej gwiazd niż kiedykolwiek z ogrodu w Westport. Czasami nawet dało się dostrzec Mleczną Drogę.

- John - powiedziałam, z trudem zachowując cierpliwość. - Pan Smith powiedział mi, że Furie mogą opętać każdego człowieka, jakiego zechcą, jeśli ma dość słaby charakter.

- Mogą - odparł John sceptycznym tonem - ale rzadko to robią, chyba że chcą ukarać mnie. Więc ciągle nie rozumiem, czemu miałyby polować na ciebie, skoro tak jasno dałaś do zrozumienia, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego.

Opuściłam wzrok, żeby na niego spojrzeć. Był taki irytujący.

- A niby dlaczego ten staruch był taki zainteresowany naszyjnikami? - spytałam gniewnie. - Jeśli nie był Furią?

- Może dlatego, że był jubilerem - przypomniał mi. Ukryłam twarz w dłoniach. Jak ja miałam przemówić mu do rozumu?

- A mój nauczyciel, pan Mueller? - spytałam spomiędzy palców. - Chcesz mi powiedzieć, że on też nie jest Furia?

- Przyznałaś zaledwie wczoraj wieczorem, że sama wpakowałaś się w tę kabałę. - Kiedy opuściłam ręce, zobaczyłam, że znów spochmurniał. - Wszłaś w tę sytuację z własnej woli, żeby urządzić na niego zasadzkę. On na ciebie nie polował.

Chciałam go wyprowadzić z błędu. Pan Mueller jak najbardziej polował na mnie, polując na moją przyjaciółkę.

Ale nie zabił Hannah. Zabiła się sama. Mimo to...

- To, co zrobił Hannah, było złe - odparłam. - Ktoś musiał go powstrzymać.

- Ale tak naprawdę nie chciałaś, żeby zginął - przypomniał John. W tańczącym błękitnym świetle basenu jego twarz była na wpół poważna, na wpół rozbawiona. - Przecież wiesz, jaka jesteś, Pierce. Wyszłaś o północy z domu, żeby uratować jaszczurkę topiącą się w basenie.

- Skąd wiesz? - spytałam zdziwiona. - Chyba że... - Urwałam i zagapiłam się na niego, bo wreszcie mi zaświtało. - Zaraz. To ty wrzuciłaś jaszczurkę do basenu. Wiedziałeś, że ją zobaczę i przyjdę ją uratować, i wtedy będziesz mógł ze mną pogadać. Zgadza się?

Nawet nie zaprzeczył. Zamiast tego pochylił się tak, że jego twarz znalazła się ledwie centymetry od mojej, i odparował:

- Skoro Richard Smith powiedział ci tyle strasznych rzeczy o naszyjniku, że zabił tysiąc osób i że Furie bę-

dą polować na każdą dziewczynę, której go dam, żeby zranić mnie za jej pośrednictwem, w co najwyraźniej wierzysz, bo nie zadawałaś tych wszystkich pytań, to dlaczego ciągle go nosisz? Myślałem, że mnie nie cierpisz.

Puls przyspieszył mi gwałtownie. Czy to przez to pytanie, które dowodziło, że mnie przejrzał, czy przez jego nagłą bliskość?

- Bo nie cierpię. - Wstałam z nadzieją, że wyglądam na oburzoną, choć w środku cała się trzęsłam. - I właśnie wracam do domu. A na przyszłość, John, byłabym wdzięczna, gdybyś trzymał się swojej strony wyspy, a ja będę się trzymać swojej. I gdybyś nie próbował mordować ludzi i jaszczurek, żeby zwrócić moją uwagę. Dobranoc.

Ale zdążyłam zrobić ledwie krok, kiedy chwycił mnie za rękę. Zanim się obejrzałam, ciągnął mnie z powrotem - tak jak ja chwyciłam go i pociągnęłam wcześniej.

Tyle że on nawet nie wstał. Po prostu posadził mnie sobie na kolanach.

Byłam tak zaskoczona, że się tam znalazłam, że w pierwszej chwili patrzyłam tylko zdumiona na jego twarz i próbowałam zrozumieć, co się właściwie stało.

- John - zaczęłam. - Nie możesz tak po prostu... Wtedy jego usta dotknęły moich. Wszystko dookoła zniknęło: plusk kaskady, rechotanie żab, zawodzenie cykady, światła u stóp palm i migotliwe refleksy basenu. Był już tylko John i twardość jego ramion, które zaciskały się wokół mnie, i ten jego dymny zapach. Miękkość jego włosów pod moimi palcami i jego serce tętniące tuż przy moim. Nie mogłam uwierzyć, że

to się nie stało nigdy wcześniej, nie mogłam uwierzyć, że nigdy wcześniej na to nie pozwoliłam, a teraz nie chciałam, żeby się skończyło...

- Czekaj - rzuciłam bez tchu, odsuwając usta od jego ust. - John. Czekaj. - Musiałam położyć dłoń na jego piersi i odepchnąć go siłą. - Poczekaj chwilę.

- Co? - Uścisk jego ramion nie zelżał ani odrobinę. - Co się stało?

Co się stało? Wszystko. Nic. Nie wiedziałam. Nie mogłam myśleć. Czulałam się tak, jakby Mleczna Droga, wisząca nad naszymi głowami jak niebiański dzbanek, wywróciła się i wlała mi słońce i planety do gardła. Gwiazdy strzelały z palców moich rąk i nóg, z końców włosów.

- Nie możemy - powiedziałam, choć właśnie całował moją szyję.

- Owszem - odrzekł z blaskiem w srebrnych oczach, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. - Możemy.

- Nie. Znaczy, ja nie mogę. - Serce biło mi tak szybko, że myślałam, że wybuchnie mi w piersi, tak samo jak wtedy, kiedy uciekałam od niego po schodach. Tyle że tym razem z pewnością nie była to zasługa epinefry-ny. - Muszę się nad tym zastanowić.

Uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Dałem ci już dość czasu na zastanowienie. Prawie dwa lata. Przez cały czas nosiłaś naszyjnik. Nawet odebrałaś go z powrotem, kiedy go wyrzuciłem i dałem ci szansę na wolność. Teraz już wiesz, czym on jest, i ciągle go nosisz. Wiesz, co to znaczy, Pierce.

Zrozumiałam, co to był za blask w jego oczach. To był triumf.

Nic dziwnego, że serce biło mi tak szybko. On był ogniem, a ja podpałką.

Mój los został przypieczętowany.

- To znaczy tylko tyle - skwitowałam, szamocząc się, żeby wydostać się z jego objęć - że być może nie jesteś aż takim palantem, za jakiego cię kiedyś brałam.

Ku mojej uldze puścił mnie. Nie wyglądał na zachwyconego, tak jak wtedy, kiedy zmusiłam go, żeby puścił pana Muellera. Ale puścił.

- To znaczy, że coś do mnie czujesz - stwierdził.

- Do każdego coś czuję - odgryzłam się. - Sam powiedziałaś, że troszczę się o wszystkich. Mam bardzo miękkie serce.

- Kiedy mogę cię znów zobaczyć? - spytał. Oczywiście, że mnie przejrzał. Mój sarkazm był tylko mechanizmem obronnym, mającym ukryć, jak bardzo wytrąciła mnie z równowagi reakcja własnego ciała.

Wiedziałam już wcześniej, że mnie do niego ciągnie; przecież nie potrafiłam trzymać się z daleka od cmentarza.

Ale wmawiałam sobie, że to tylko przez niedokończone sprawy między nami. I przez to, że on ciągle próbował mordować ludzi w mojej obronie. Jak mogłam przewidzieć, co usłyszę w biurze Richarda Smitha? Albo to... tę natychmiastową reakcję chemiczną, która nastąpiła, kiedy nasze usta się spotkały? Wciąż jeszcze czułam mrowienie warg.

Co to wszystko mogło znaczyć? Dokąd mogło nas zaprowadzić? On był bóstwem śmierci. Ja byłam licealistką z ostatniej klasy.

To się nie mogło udać.

John nie podzielał mojego pesymizmu.

- Jutro - zdecydował, wstając. Pożerał mnie srebrnym spojrzeniem. - Zobaczymy się tutaj jutro. O świcie.

- John - rzuciłam, kręcąc głową. To się działo o wiele za szybko. - Nie. Nie o świcie. Normalni ludzie wtedy śpią. A poza tym mam szkołę.

- Więc o zmierzchu. - Srebrne oczy płonęły. - Spotkaj się ze mną tutaj o zmierzchu.

- John. Musimy o tym porozmawiać racjonalnie. Ostrzegłeś mnie wczoraj wieczorem, żebym nie wracała na cmentarz, że nie jest tam bezpiecznie. To była tylko hiperbola? - Sprawdziłam to słowo.

Oznaczało przesadne stwierdzenie, którego nie należało brać dosłownie. - Czy naprawdę tak uważasz? Podszedł, objął mnie w talii, przyciągnął mnie do siebie i znów pocałował.

Nie byłam w stanie myśleć o cmentarzu, o Furiach czy Nocy Trumien, gdy mnie całował. Nie mogłam wierzyć, że może stać się coś złego, kiedykolwiek, kiedy mnie całował. Mogłam myśleć tylko o nim. Jego usta chwilę pozostały na moich, ani władcze, ani słodkie... jakby po prostu tam było ich miejsce. I miał rację. Było. Zawsze było.

W głowie mi się nie mieściło, że nie wiedziałam tego wcześniej. A może wiedziałam.

Może właśnie w tym tkwił problem przez cały czas.

Kiedy mnie wreszcie puścił, czułam się tak, jakby moja skóra rozsiewała takie same migotliwe błyski jak woda basenu.

- Absolutnie, z całą pewnością powinnaś się trzymać z daleka od cmentarza - powiedział lekko ochrypłym głosem. - To nie jest hiperbola. Spotkamy się tutaj jutro wieczorem, o siódmej. Nie będę czekał ani minuty dłużej. Gdziekolwiek wtedy będziesz, odzuję cię. -Spojrzał na moją piżamę i lekko zmarszczył brwi. -Włóż tę sukienkę, którą miałaś wczoraj, tę z guzikami.  
I zniknął.

*Jak szpaki, gdy je wiatr jesienią łowi,  
Snują w powietrzu długie, zbite chmary,  
Tak się miotają poddane wichrowi  
W górę, w dół, tam i sam nieszczęsne mary.*

**Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń V**

Następnego ranka nie tyle wstałam, co wyfrunęłam z łóżka.

- Jesteś w dobrym humorze - stwierdziła mama, nalewając mi mleka do płatków.
- Co? - spytałam nieuważnie.
- Podśpiewujesz - zauważyła z uśmiechem. - Wygląda na to, że jesteś w dobrym humorze.
- Mamo - rzuciłam. - Co do tego Tima... Uniosła brwi.
- Tak?
- Absolutnie powinnaś z nim iść na te pokazy żeglarskie. Myślę, że to ci dobrze zrobi.
- Naprawdę? - spytała z ubawioną miną. - Co spowodowało taką odmianę?
- Och - mruknęłam. - Nie wiem. Powinnaś być szczęśliwa. Wiesz?



- No cóż. Dziękuję, Pierce. To bardzo wielkodusznie z twojej strony, że dajesz mi pozwolenie na szczęście. -Zrobiła zamyśloną minę. - Może faktycznie później do niego zadzwonię. Pomyślałam, że dzieciakom z Nowych Dróg mogłaby się spodobać wycieczka po laboratorium morskim. Wiesz, że zrobiliśmy wielkie postępy w...

- Koniecznie, mamó - przerwałam i poklepałam ją po ramieniu. Nie byłam w aż tak cudownym nastroju, żeby słuchać o postępach, jakie czyniło laboratorium morskie.

W drodze do szkoły, w samochodzie, Alex nie był ubawiony moim dobrym nastrojem.

- Ciagle jestem na ciebie wkurzony za wczoraj -oświadczył, trąbiąc na kure, która nie chciała zejść ze środka jezdni. Na Isla Huesos było pełno dzikich kur. Biegały po całej wyspie. - To po prostu nie w porządku. Seth i ci goście... to niedobrzy ludzie. Nawet nie masz pojęcia.

- Mam pojęcie. - To Alex nie miał pojęcia, co wiem. Ale o czymś mi przypomniał. Jak miałam się spotkać z Johnem, jeśli te palanty ze skrzydła A będą w moim domu budować tę swoją trumnę? I co z wujkiem Chrisem? Miał mnie uczyć jeździć po lekcjach.

Oj, no trudno. Miałam to gdzieś. Wszystko się jakoś rozwiąże. Zawsze się rozwiązywało. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, już nie pamiętałam od kiedy, byłam szczęśliwa. Czy nie zasługiwałam na szczęście? No chyba.

- Ty mnie w ogóle słuchasz? - spytał gniewnie Alex. Podjeżdżaliśmy właśnie na szkolny parking.

- Przepraszam, co? - spytałam.

- Jezu. Co się z tobą dzisiaj dzieje? Nie wzięłaś swoich pigułek?

- Przepraszam, Alex. Słucham cię. Tylko że... jest coś, o czym chyba muszę ci powiedzieć. Ale to ci się nie spodoba.

Wjechał na miejsce parkingowe i zaciągnął hamulec.

- Przysięgam na Boga, Pierce. Jak mi powiesz, że chodzisz z Sethem Rectorem, to wywalę cię z samochodu.

- Nie - odparłam. - Co? Nie wygłupiaj się. Ale ci goście wprosilili się do mojego domu, żeby budować tegoroczną trumnę.

Gapił się na mnie chyba przez pełną minutę. Przez kilka sekund wręcz się bałam; myślałam, że ma jakiś wylew, czy co. Zdawało mi się, że oczy zaczynają mu zezować.

- Słuchaj, Alex - dodałam pospiesznie. - Nie wściekaj się. Powiedziałam im, że mogą, tylko jak mama się zgodzi, bo widziałeś, jaka była szczęśliwa wczoraj w biurze Nowych Dróg, jak wszyscy gadali o Nocy Trumien. A potem oni po prostu przyszli z deskami, zanim w ogóle miałam okazję z nią pogadać. Wpuściła ich. Wiesz, jak bardzo chce, żebym się tu wpasowała. Mogę im w każdej chwili kazać zabierać te deski, jeśli to ci naprawdę przeszkadza...

Ale on już kręcił głową.

- Pierce - powiedział. - Pierce, Pierce, Pierce.

- Co? - spytałam niespokojnie. - I proszę, nie mów mi, że spalili garaż tego kolesia, w którym budowali

trumnę w zeszłym roku, bo już to wiem, Alex. Wiem, w co się pakuję. - Odruchowo dotknęłam naszyjnika. - Wszystko będzie dobrze.

Miało być lepiej niż dobrze. A przynajmniej taką miałam nadzieję. Ale tego oczywiście nie mogłam mu powiedzieć.

On ciągle kręcił głową. Ale też szczerzył się w uśmiechu.

- Wiesz co? - powiedział w końcu. - Masz rację. Wybałuszyłam oczy, bo nie byłam pewna, czy dobrze go usłyszałam.

- Co ty powiedziałaś?

- Masz rację. - Wzruszył ramionami. - Będzie dobrze. Prawdę mówiąc, będzie super. Wręcz idealnie. - Wyciągnął prawą rękę. - Przybij, kuzynko. Jesteś debeściara.

Spojrzałam nieufnie na jego dłoń. Ale położyłam na niej swoją i pozwoliłam mu zrobić jakieś skomplikowane czary-mary z moimi bezwładnymi palcami.

- O czym ty gadasz? - spytałam, kiedy już szliśmy do szkoły razem z dzikim tłumem. - Jak to idealnie? Myślałam, że będziesz na mnie zły.

- Po prostu - stwierdził Alex. Wręcz podskakiwał. - Nie przejmuj się tym, okej? Zapomnij, że w ogóle mi powiedziałaś. Wszystko gra. Hej - przywitał się z kolesiem, który zakrzyknął „Jo, Cabrero”.

- Ale... - Moja bańka radości nie całkiem pękła. Choć kiepsko się trzymała. - Nie rozumiem. Myślałam, że ich nienawidzisz.

- No bo nienawidzę - odparł. - Ale sprawa wygląda tak. - Przewiesił mi rękę przez ramię. - Jak są u ciebie

w domu, to zawsze będę wiedział, gdzie są. Bo mi dasz znać. Nie?

- Jasne - przytaknęłam. - Jak chcesz. Ale po co chcesz wiedzieć, gdzie są?

- Tym się nie przejmuj. Jak powiedziałem. - Wyszczrzył się do mnie. Naprawdę wyglądał na szczęśliwego. - Wszystko gra.

- Ale nie wygadasz się, co? - Ciągle miałam trochę złych przeczuć. - Znaczy, gdzie jest wiesz co. Bo to by chyba zepsuło opinię nam obojgu.

- Och, o to się nie musisz martwić, kuzynko - powiedział i puścił do mnie oko. - Widzimy się na lunchu? Tym razem nie nawal. Przy maszcie flagowym na środku Kwadratu. To naprawdę nie może być prostsze, Pierce. Nie wiem, jak mogłaś nie trafić wczoraj.

Tak. Ja też nie wiedziałam. Tyle tylko, że bałam się stołówki.

Czułam, że dzisiaj nie będę miała tego problemu. Dzisiaj nie bałam się niczego.

Odzyskawszy swoje szczęście, przepląnęłam przez pierwszą, drugą i trzecią lekcję. Tak się składało, że trzecią była ekonomia, którą miałam z Kaylą, która przywitała mnie uśmiechem i radosnym „Hej! Jak leci? Więc pogodziliście się z Alexem, hm? Właśnie widziałam go na angielskim. Czemu jest w takim świetnym humorze?” Wtedy rozległo się pukanie do drzwi klasy.

To oderwało mnie od obrazka, który gryzmoliłam: dziewczyny w rakiecie w kształcie trumny, strzelającej w ludzi kwiatami. To i fakt, że nauczycielka wypowiedziała moje nazwisko.

- Przepustka dla ciebie. - Wręczyła mi różową karteczkę z moim nazwiskiem. - Proszą cię do biura. Do biura Nowych Dróg. Wszyscy w klasie zaczęli pohukiwać, sądząc, że pewnie jakimś cudem zarobiłam ZOS albo Z Z W. Chociaż za skarby świata nie potrafiłam wymyślić, co takiego przeskrobałam. Chyba że...

- Cisza - zbesztala uczniów nauczycielka (nie zdążyłam jeszcze zapamiętać jej nazwiska). - Weź swoje rzeczy, Pierce. Już prawie koniec lekcji. Pewnie nie zdążysz po nie wrócić przed lunchem. Zebrałam książki i torbę. Kayla spojrzała na mnie z pytającą miną. Wzruszyłam ramionami. Nie miałam pojęcia, o co chodzi.

Tyle że oczywiście wiedziałam. Miałam tylko nadzieję, że na mojej twarzy nie widać strachu. Co John zrobił tym razem? Myślałam, że sprawy między nami mają się lepiej. Lepiej? Myślałam, że mają się doskonale.

Okej, może tylko się oszukiwałam. Może dziewczyna, nawet DSK, nie może mieć normalnego związku z bóstwem śmierci.

Ale dlaczego musi być karana za to, że próbuje?

Bo kiedy podeszłam do biura, zobaczyłam przez okna, że sprawy mają się gorzej, niż przypuszczałam. Gorzej niż wskazywały te pohukiwania w klasie.

W biurze był komendant Santos i kilku innych policjantów.

O Boże.

Ruszyłam biegiem.

- Co - wysapataam ciężko, wpadając do biura. - Co się stało?  
- Uuu, pomau - powiedział komendant. Odstawił kawę, którą popijał. - Kto to jest?  
- Pierce Oliviera, komendancie. - Tim był znacznie bledszy niż zwykle. Jego koszula była pomięta i z tyłu wylazła mu ze spodni. - Ta dziewczyna z cmentarza...  
- A, tak. - Komendant wskazał mi jeden z gabinetów. - Proszę za mną, młoda damo.  
Co tu się działo? Komendant chciał ze mną rozmawiać? Czyżby jednak chcieli mnie oskarżyć o zniszczenie tej bramy?  
- Powinnam zadzwonić po matkę? - spytałam stanowczo, nie ruszając się z miejsca.  
- Nie wiem - odparł komendant Santos, unosząc pytająco szare, krzaczaste brwi. - A powinna pani?  
- Nie, Pierce - powiedział Tim. Wyglądał na wykończonego. - Nie musisz. Nie trzeba. Państwo chcą ci tylko zadać kilka pytań.  
Gdyby to był ktokolwiek inny, nie człowiek, któremu powierzyłam wczoraj swój telefon - dzisiaj o tym zapomniałam, ale też, jak odkryłam chwilę wcześniej, w ogóle zapomniałam wziąć telefon, odurzona moją małą miłosną chmurką - pewnie bym się upierała, w stylu Zacka Olhdery, że potrzebuję prawnika.  
Ale że to był Tim, przyszły być-może-chłopak mojej mamy, wzruszyłam ramionami i poszłam za komendantem Santosem do gabinetu, w którym pełno było pudeł z ulotkami Nowe Drogi: Nowa Droga dla Nowego Ciebie!

Przy stole konferencyjnym w gabinecie siedziała policjantka i pisała coś w notesie. Uniosła wzrok, kiedy weszliśmy. Nie uśmiechnęła się.

- To jak pani się nazywa? - spytał komendant Santos, kiedy za nim weszłam. - Pierce jak?

- Oliviera - odpowiedział za mnie Tim. Wszedł za nami. Zobaczyłam, że trzyma moją teczkę. Przez ostatnie półtora roku stałam się ekspertką w odczytywaniu mojego nazwiska do góry nogami.

- Ach. - Komendant wyciągnął krzesło spod stołu. - Proszę siadać, panno Oliviera. - Miał dziwny ton. - To nie potrwa długo.

Zdumiona - ale wiedząc z doświadczenia, że nie wydarzy się nic dobrego - usiadłam na krześle, które mi podsunął.

- Jeśli chodzi o cmentarną bramę, to nie miałam z tym nic wspólnego.

Komendant przyjrzał mi się, trochę zaskoczony, znad brzegu swojego kubka z kawą.

- Cmentarna brama - powtórzył, kiedy znów odstawił kubek. - A co pani wie o cmentarnej bramie?

- Nic - odparłam. - Właśnie to panu mówię. Nic o niej nie wiem. Nie wiem, kto to zrobił.

- Kto co zrobił? - Zobaczyłam, że komendant wymienił spojrzenie z policjantką, która przestała pisać w notesie i patrzyła na mnie, jakbym była przestępcą, którego chce potraktować paralizatorem.

- Kto w nią tak kopnął - wyjaśniłam. - i rozbił zamek. Komendant Santos westchnął tak siarczyście, że kropelki kawy pozostałe na jego wąsach pofrunęły

w powietrze. Policjantka też westchnęła i wróciła do swoich notatek. Tim, który zajął miejsce na końcu stołu, otworzył moją teczkę i udał, że jest zajęty czytaniem. Nie byłam pewna, ale wydało mi się, że słyszę, jak policjantka mamrocze pod nosem: „Skrzydło D”. Pokręciła zniesmaczona głową.

- Panno... jakkolwiek się pani nazywa - przemówił komendant Santos. - Siła, którą posłużono się przedwczoraj w nocy, by zniszczyć bramę, była równa wybuchowi małego granatu. Ustaliliśmy już więc, że tej szkody nie wyrządził zwykły kopniak.

Siedziałam i gapiłam się na własne paznokcie, do reszty oskubane z lakieru.

- Ach tak.

Kim ja byłam, by mówić policjantom, że się mylą? Znowu.

- Zresztą nie przyszłiśmy tu rozmawiać o bramie -burknął komendant. - Funkcjonariuszko Curry?

Policjantka przełożyła kartkę w notesie i spytała monotonnym głosem:

- Czy jest pani właścicielką niebieskiego roweru Sun Cruiser z białym koszykiem w kwiaty, dużym fioletowym siodełkiem, czerwoną kłódką szyfrową i numerem seryjnym R łamane na sto łamane na siedem pięćdziesiąt jeden jedenaście siedemdziesiąt?

Spojrzałam na nich w panice. W głowie miałam czarną dziurę.

- Nie wiem.

- Pierce - powiedział łagodnie Tim. - Przecież wiesz. Ty i twoja mama zarejestrowałyście rower na



twoje nazwisko na posterunku policji na wypadek kradzieży.

Zamrugałam; moje serce tłukło się głośniejsze niż zwykle.

- Ach. No tak, mam niebieski rower z fioletowym siodełkiem i koszem w kwiaty, i z czerwoną kłódką. Zarejestrowałam go na posterunku policji na wypadek kradzieży. Ale nie znam na pamięć numeru seryjnego. Kto zapamiętuje numer seryjny roweru? To jest... znaczy, wymagacie o wiele więcej, niż powinno się wiedzieć...

- Kiedy ostatni raz widziała pani ten rower? - przerwał mi komendant i wypił łyk kawy.

- Wczoraj wieczorem - odparłam. - Kiedy pojechałam spotkać się z...

Umilkłam. Krew zastygła mi w żyłach.

Mój rower. Został przypięty do ogrodzenia cmentarza.

Kiedy pojechałam spotkać się z Richardem Smithem.

- O Boże. - Wstałam, o mało nie przewracając krzesła. - Co mu się stało?

Nie żył. Wiedziałam. Był ostatnią osobą, która dotykała mojego naszyjnika. A teraz nie żył.

Powinłam była wiedzieć. Powinłam była wiedzieć, że nigdy nie będę szczęśliwa. Powinłam była wiedzieć, że nie zdołam go opanować. Dlaczego niby ja miałabym opanować bóstwo śmierci?

Cholernego władcę Świata Podziemi? Kogo ja chciałam oszukać? Nie byłam w stanie utrzymać przy życiu nawet najlepszej przyjaciółki. Nie potrafiłam dzielić pisemnie. Nie potrafiłam nawet prowadzić samochodu.

- Uspokój się, Pierce. - Tim wstał i podszedł do mnie. Zaczęłam się hiperwentylować. - Wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze. Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć.
- Ale co się stało? - krzyknęłam. Czułam, że zaczyna mnie ogarniać histeria. - Czuł się dobrze, kiedy go widziałam. Czuł się dobrze, kiedy podwiózł mnie do domu.
- Kto się czuł dobrze? - Tim spojrzał na komendanta, który miał równie skołowaną minę jak on. - O kim ty mówisz, Pierce?
- O panu Smisie - odparłam. Panika zaczęła słabnąć, bo widziałam po ich minach, że nie wiedzą, o czym mówię. - O zarządcy cmentarza. A co? Zaraz. A o kim wy mówicie?
- O Jade - powiedział łagodnie Tim. - Szukamy świadków, którzy mogli być wczoraj na cmentarzu albo w okolicy. Nie wróciła do domu z patrolu. Dzisiaj rano została znaleziona na cmentarzu. Nie żyje.

*Przeze mnie droga w miasto utrapienia,  
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,  
Przeze mnie droga w naród zatracenia.*

### **Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III**

Ogłosili to w czasie lunchu.

Nie to, że Jade nie żyje. Niby dlaczego mieliby ogłaszać coś takiego? Liceum Isla Huesos nie chciało „gloryfikować” niczyjej śmierci tak samo jak Akademia dla Dziewcząt w Westport.

Nie, ogłoszono, że Państwowe Centrum Huraganowe podniosło alert huraganowy do rangi ostrzeżenia. Odwołano wszystkie zajęcia po szkole i lekcje następnego dnia. Puszczali nas do domów o drugiej, zamiast o trzeciej piętnaście.

- Dlaczego nie puszczą nas od razu? - narzekała Kayla przy sałatce szefa. - Co nam przyjdzie z jeszcze jednej lekcji, skoro i tak wszyscy świrują, że idzie na nas gigantyczny huragan? Przecież po takim ogłoszeniu

i tak się niczego nie nauczymy.

- Fakt - przyznałam. - I mielibyśmy mniej czasu na wspomnianie jej śmierci. Po prostu odwołać szkołę od razu, żebyśmy nie mogli o niej rozmawiać.

- Co? - spytała Kayla.

- Nic - odparłam, odkładając burrito. Kto w ogóle mógłby jeść w takiej chwili?

- Pamiętasz, jak Pierce o mało nie zabiła nauczyciela? - wyjaśnił Alex Kayli. - To było coś podobnego jak sprawa z Jade.

- Nie, to nie było nic takiego - powiedziałam. - Jade nie walnęła się sama w głowę tępym narzędziem. Tim powiedział mi, że Jade (ponieważ znaleziono ją niedawno i nie zgłosił się jeszcze żaden świadek) najprawdopodobniej padła ofiarą przypadkowego rabunku. Za kryptą znalazł ją Richard Smith, kiedy rano przyszedł do pracy. Kiedy tylko dotarli do niej ratownicy medyczni, została przewieziona śmigłowcem do Centrum Urazowego Rydera w Miami.

Ale nawet tam nie zdołali jej uratować. Uraz czaszki - chociaż miała na głowie kask rowerowy - był zbyt rozległy.

- Przykro mi, Pierce - powiedział do mnie Tim, głaszcząc mnie po plecach, kiedy załamalam się w gabinecie i rozplakałam. - Strasznie mi przykro.

Mnie bardziej.

„Nic złego jej się nie stanie. John tego dopilnuje”.

Tak powiedział Richard Smith w samochodzie, kiedy Jade odjechała w deszcz.

Ale jednak stało się jej coś złego. Najgorszego, co może się stać.

Bo Johna nie było na cmentarzu, żeby się nią zaopiekować.

Był ze mną.

To mu powiedziałam - Richardowi Smithowi - kiedy już mnie wypuścili i wypadłam z biura Nowych Dróg. Zadzwoiłam do niego natychmiast z automatu.

- To wszystko moja wina - wyszłochałam.

- Nie bardzo rozumiem, jakim sposobem - odparł. - Chyba że to pani uderzyła ją od tyłu rurką, łopata czy co to tam było, a potem zabrała pani jej portfel i rower. I policyjne radio. To też zginęło, co wydaje mi się dziwne. Raczej trudno sprzedać policyjne radio...

- Wie pan, co mam na myśli. John był ze mną, kiedy umarła - wysyczałam do słuchawki. Było już po dzwonku i ludzie mijali mnie, rzucając mi dziwne spojrzenia, bo nie tylko używałam bodaj ostatniego automatu na Isla Huesos, ale na dodatek płakałam.

- To nie była też wina Johna, panno OHviera - tłumaczył ze spokojem, który doprowadzał mnie do szału. - Choć on czuje się z tym równie fatalnie, jak pani. A niby kto mnie obudził i zaprowadził do niej?

- Tam nie było bezpiecznie - zawodziłam. - John powiedział, że cmentarz jest niebezpieczny!

Dlaczego nie powiedziałam mu wczoraj, że ona tam jest? Byłam zbyt rozkojarzona jego pocałunkami...

- Dla pani - przypomniał mi Richard Smith. - Powiedział, że jest niebezpieczny dla pani. Nikt nie mógł tego przewidzieć, panno OHviera, nawet bóstwo śmierci. Po prostu przyszedł jej czas. Oczywiście to wielkie nieszczęście. Kiedy znajdą winowajcę, mam nadzieję, że zostanie ukarany z całą surowością. Ale nie może pani obwiniać o to Johna, a tym bardziej siebie. Jade sama chciała tam być. Znała ryzyko. I widziała pani,

jak świetnie się bawiła. John powiedział, że przeniosła się do lepszego miejsca...

Byłam tak wściekła, że się rozłączyłam. Oto co wynikło z sugestii Richarda Smitha, żebym „była miłsza”. Ktoś, kogo lubiłam - naprawdę lubiłam - stracił życie.

„Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G”.

Tak, chyba, racjonalnie rzecz biorąc, wiedziałam, że ani ja, ani John nie jesteśmy winni śmierci Jade...

Ale kiedy dzieje się coś strasznego, w ludzkiej naturze leży szukanie winnego. Chcemy, żeby ktoś poniósł odpowiedzialność, chociaż czasami różne rzeczy po prostu się dzieją.

Problem w tym, że, jak powiedział mój tato, obarczamy odpowiedzialnością niewłaściwą osobę.

Czasami nawet samą ofiarę. Robimy to, by upewnić samych siebie, że nam się nigdy nie przydarzy nic złego. „Och, ta straszna rzecz spotkała tę osobę, bo zrobiła to i to. Wystarczy, że ja nie będę robił tego i tego, i wtedy ta straszna rzecz nie przydarzy się mnie”.

Umarłam, próbując ratować ptaka. Moja mama obwinia o to mojego ojca, bo nie kazał naprawić plan-deki na basenie i nie zauważył, że się topię. Kiedy tak naprawdę to była moja wina, że byłam taką niezdara.

W przypadku Jade, kiedy tylko szczegóły jej śmierci dotarły do stołówki - a dotarły chyba dokładnie w tej samej chwili, kiedy weszłam na Kwadrat - wszyscy mówili: „A po co jeździła na rowerze tak późno w nocy, i to po cmentarzu, jakby już nie miała gdzie? Nie powinna była tego robić. Nic dziwnego, że zginęła”.

Jakby to była wina Jade.

Tylko że z tą teorią był jeden mały problem:

Jade ktoś zabił. Policja chciała znaleźć tę osobę, a przynajmniej świadka, który mógłby powiedzieć, że widział zabójcę.

Kiedy pierwsze tego dnia potężne, szare chmury burzowe zaczęły wtaczać się na niebo, wszystko ułożyło mi się w głowie. Później nie mogłam uwierzyć, że tak długo mi zeszło, nim się zorientowałam.

Ale to wszystko było takie straszne. Kto w ogóle mógł sobie wyobrazić coś tak straszego?

A poza tym tak już jest, że ludzie umierają. Czasami potykają się i upadają, uderzają się w głowę, wpadają do basenu i toną.

Czasami zostają uwiedzeni przez trenera koszykówki, a potem rzucają i po powrocie do domu połykają pełną buteleczkę leków na receptę.

A czasami zostają napadnięci, kiedy jeżdżą na rowerze i umierają, bo nikt nie znalazł ich w porę.

Po prostu tak już jest. To niekoniecznie musi mieć coś wspólnego z tobą.

- Ciocia Deb? - powiedział Alex, odebrawszy telefon, który zadzwonił, kiedy odnosiliśmy puste tace po lunchu. - Wiem. Pierce znowu zapomniała telefonu, tak?

Ale czasami to jednak ma coś wspólnego z tobą.

Z twarzy Alexa odpłynęła cała krew, kiedy słuchał mojej matki. Najwidoczniej nie chciała jednak rozmawiać ze mną.

Za to inni chcieli.

- Hej, Pierce! - zawołała Farah. Uśmiechała się i machała, mijając nas z Sethem i obejmując się z nim

w pasie. Jakoś nie mogłam zdobyć się na uśmiech. Ale pomachałam. - Hej!  
Burzowe niebo zagrzmiało. To było strasznie dziwne, że w tej szkole zmuszali wszystkich do jedzenia lunchu na dworze. Co mieliśmy zrobić, zastanawiałam się, kiedy padało? Jak teraz, na przykład? Bo widziałam, że zaraz lunie.

- Pierce! - krzyknął do mnie Bryce, idąc do koszy na śmieci z bodajże tuzinem opakowań po burrito. Był z nim Cody. - Pierce, Pierce, Pierce, Pierce! - wrzeszczeli, jakby to było jakieś zawołanie. Jakby to było Zawołanie Muellera.

- Boże. - Kayla do mnie westchnęła. - Co ty z nimi wczoraj wyprawiałaś? Jadłaś lody czy robiłaś lody? Skrzywiłam się.

- Fuj. No przestań. Alex wyłączył telefon.

- Hej - powiedziałam do niego. - Czego chciała moja mama?

- Dzwoniła z komisariatu. Właśnie zabrali mojego tatę na przesłuchanie - odparł. Wyglądał, jakby miał mdłości; jakby ktoś walnął go pięścią w żołądek. -W sprawie morderstwa Jade.

Poczułam, że ziemia zafalowała mi pod stopami. Z początku myślałam, że to grzmot.

Ale nie było żadnego grzmotu. Akurat nie w tej chwili.

- Co? - spytałam, oszołomiona. - Ale jak to w ogóle...

- Zadzwoił świadek z anonimowym donosem -wyjaśnił Alex. - Powiedział, że widział tatę jeżdżące-



go w nocy w okolicy cmentarza, w samochodzie babci. Właśnie przyszli i go zarekwirowali. Szukają w nim dowodów. - Z jego gardła wyrwał się śmiech, który nie brzmiał jak jego zwykły śmiech. - Samochód babci. Właśnie zabrali samochód babci. Ciekawe, co w nim znajdą. Na pewno dużo włóczki.

- Alex - rzuciłam niespokojnie.

To nie mogło się dziać naprawdę. Nie tyle strasznych rzeczy naraz. Jak to możliwe?

Coś tu było nie tak. Nie zwyczajnie nie tak, ale na skalę planet, które wypadły z orbit.

„Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G”.

Kiedy tylko to pomyślałam, podmuch wiatru przeleciał przez dziedziniec, tak silny, że wszyscy siedzący jeszcze przy stolikach musieli złapać opakowania swoich dań, żeby ich nie zdmuchnęło.

Farah i Nicole wydały z siebie kokietyjne piski i złapały spódniczki. Zauważyli to wszyscy faceci na dziedzińcu z wyjątkiem Alexa.

- On w ogóle wczoraj nie wychodził - mówił gniewnie o wujku Chrisie. - Przecież go znasz. Nigdy nie wychodzi, chyba że na spotkania z kuratorem sądowym. Siedzi tylko przed telewizorem, ogląda Meteo i pije...

- Mountain dew - dokończyłam za niego. - Wiem. Rozejrzałam się. Nad morzem zaczynało się błyskać. Nie. To nie mogło się dziać naprawdę.

Ale jednocześnie mdlące uczucie, które dręczyło mnie, od kiedy zobaczyłam policję w biurze Nowych Dróg, mówiło mi, że to z całą pewnością dzieje się naprawdę.

Nie. Nie od chwili, kiedy zobaczyłam polic ; w biurze Nowych Dróg. Od chwili, kiedy powróciłam do świata żywych.

Ale gdybym miała być ze sobą całkiem szczerą, musiałbym przyznać, że to wszystko zaczęło się o wiele wcześniej:

- Polubiłaś go? - spytała babcia.

- Nie wiem - odpowiedziałam. Babcia się uśmiechnęła.

- Polubisz - powiedziała wtedy.

I owinęła mi szyję szalikiem. Szalikiem, który sama wydziergała specjalnie dla mnie.

Czerwonym. Z chwostami.

Zaraz. To nie tak było. O czym ja myślę? Babcia miała rację. Naprawdę miałam zbyt bujną wyobraźnię.

- To nie jest tylko zwykłe sprawdzanie podejrzanych? - spytała Kayla. - Widziałam to kiedyś na filmie.

Może po prostu przesłuchują wszystkich, którzy siedzieli w więzieniu...

- Nie - odparł gorzko Alex z taką miną, jakby chciał w coś przywalić. Ale w pobliżu nie było nic dość miękkiego, w co można by uderzyć, nie robiąc sobie krzywdy. Może z wyjątkiem uczniów ze skrzydła A, którzy właśnie zwiewali, bo zaraz miało lunąć i rozległ się ostrzegawczy dzwonek przed lekcją. - Mówiłem wam. Ktoś twierdzi, że go widział. Świadek. Fajny mi świadek, skoro zobaczył mojego ojca gdzieś, gdzie go nie było, jeżdżącego samochodem, do którego nigdy nie wsiadał.

- Och, Alex - jęknęła Kayla i położyła mu dłoń na ramieniu. Nigdy nie widziałam u niej tak łagodnej miny. - Strasznie mi przykro.

Moje myśli wróciły do rozmowy z wujkiem Chrisem poprzedniego dnia, kiedy przykazywał mi, żebym nigdy nie pozwoliła sobie wmówić, że nie dam rady zrobić czegoś, co sobie postanowiłam. Nie sądziłam, żebym jeszcze kiedyś miała z tym problem.

- Daj mi twój telefon, Alex - powiedziałam, wyciągając rękę.

- Po co? - spytał, natychmiast podejrzliwy mimo swojej rozpaczki.

- Po to - odparłam - żebym mogła zadzwonić do ojca.

Alex pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Pierce, twój ojciec nienawidzi mojego. Pamiętasz?

- Nieprawda - skłamałam. - Po prostu mi daj.

- Pierce - upierał się Alex. - Miło, że to proponujesz. Naprawdę. Ale raczej nie chcesz się w to mieszać. Z tym sobie nie poradzisz.

Zdaje się, że słyszał o moim wyniku w teście We-chslera. I w teście TOVA. Mimo to musiałam się roześmiać. Choć prawda była taka, że nie było mi do śmiechu.

- Och, Alex. Uwierz mi. Przy tym, z czym radzę sobie na co dzień, to jest bułka z masłem.

Po tym moim oświadczeniu huknął grzmot tak głośny, że reszta uczniów, stojących z nami jeszcze w zadaszonym łączniku, związała do bezpiecznych wnętrz różnych skrzydeł, w których mieli lekcje.

- Posłuchaj. - Alex podniósł głos, żeby przekrzyczeć wiatr. - Bardzo to doceniam, Pierce. Ale myślę, że twój tato wyrządził już tutaj dość szkód. Nie uważasz?

Kayla gwałtownie chwyciła oddech. Ja poczułam, że oczy mnie pieką, i zrozumiałam, że to od łez... chociaż przecież słyszałam już wcześniej takie rzeczy, i to od własnej matki.

- Jesteśmy spóźnieni na lekcje - powiedział Alex i przepchnął się między nami dwiema. - Jak chcesz, żebym cię podwiózł do domu, spotkamy się o drugiej przy samochodzie.

Pospiesznie ruszył łącznikiem w stronę skrzydła D, z pochyloną głową, przygarbionymi ramionami. Wydawał się mniejszy niż wcześniej. A przecież urósł przez lato całe pięć centymetrów. Wujek Chris z dumą pokazywał mi znaczki na kuchennej futrynie.

- On tak nie myśli - zapewniła Kayla, odwracając się do mnie.

- Owszem - odparłam, kręcąc głową. - Myśli.

- No dobra - przyznała. - Może i myśli. Ale wiesz. Jest wkurzony. Hej. - Patrzyła na coś za moim ramieniem. - Twoja babcia to ta pani z Manji Dzierganja?

- Tak. A co?

- Bo właśnie tu jest.

Obróciłam się. Kayla miała rację. Moja babcia szła do nas łącznikiem, ubrana w swoją typową artystyczną kreację składającą się z beżowych, meksykańskich spodni, białej ludowej bluzki i białych tenisówek bez sznurówek.

Na szyi miała zamotany jeden z kolorowych szali; nosiła je zawsze i wszystkie wydzierała własnoręcznie. Na każdym końcu szala dyndał zestaw chwościków.

Babcia poniekąd słynęła na wyspie ze swoich szali. Niektórzy używali ich jako uchwytów do włączania wiatraków na suficie.

- Pierce! - Babcia uniosła rękę, żeby do mnie pomachać. Choć była daleko, całe dwa rzędy szafek dalej, słyszałam jej głośny oddech. Babcia nie była zbyt wysportowana. Nie lubiła chodzić nigdzie pieszo, wolała jeździć samochodem. - Dzięki Bogu, że cię znalazłam, Słyszałaś o Christopherze? To po prostu straszne.

- Pewnie przyszła zwolnić was ze szkoły - szepnęła do mnie Kayla. - Nie wypuszczają nas, chyba że jest jakaś pilna sytuacja rodzinna i ktoś pełnoletni podpisze, że cię zabrał.

- Jasne. - Zmrużyłam oczy. - Tylko że Alex powiedział przed chwilą, że zarekwirowali jej samochód. Kayla wzruszyła ramionami.

- Widocznie przyjechała autem twojej mamy.

- W takim razie dlaczego mama nie powiedziała Alexowi, że babcia po nas jedzie?

Kayla spojrzała na mnie.

- Laska - powiedziała. - Co ty gadasz? Myślisz, że babcia przyszła cię porwać, czy jak? Popatrz na nią. To mała staruszka. Zaraz się przewróci do góry kołami po tym marszu ze skrzydła A.

„Polubiłaś go? Nie wiem. Polubisz”.

Położyłam torbę na ziemi, wciąż przyglądając się babci, która dotarła już prawie do końca pierwszego rzędu szafek. Chwościki na jej szalu jak szalone bujały się na boki.

Tak jak te na końcu szalika, który miałam na sobie w dniu, kiedy umarłam, bujały się w wodzie nad moją głową.

To było jasne cały czas, miałam prawdę tuż przed swoim nosem, a potrzebowałam aż tyle czasu, żeby skojarzyć fakty.

Ależ byłam głupia.

- Jak bardzo dysfunkcyjna jest twoja rodzina? -gadała dalej Kayla.

- Kayla - przerwałam jej, podwijając rękawy. - Nawet nie masz pojęcia. Zrób coś dla mnie, okej? Idź na lekcję.

Kayla roześmiała się cicho.

- Okej. Więc pewnie nie widzimy się o drugiej przy samochodzie Alexa?

- Jak mnie tam nie będzie, zawiadom gliny. Kayla znów parsknęła śmiechem. Najwyraźniej myślała, że ta sytuacja to jakiś kapitalny żart.

- Nie martw się, laska - powiedziała i ruszyła do skrzydła D. - Zawiadomię. Gliny i ja znamy się jak łyse konie.

Kayla nie wiedziała czegoś, co wiedziałam ja: że pod moją koszulką brylant, który jeszcze przed chwilą miał wesołą, liliową barwę, jak zawsze, kiedy Kayla była w pobliżu, zrobił się onyksowy w tej samej minucie, kiedy pojawiła się babcia.

Zawsze przybierał ten kolor, kiedy babcia była w pobliżu. I zawsze myślałam, że to dlatego, że jej dezaprobata mnie irytuje.

Teraz znałam prawdziwy powód.

- Dlaczego - wysapała babcia, kiedy wreszcie do mnie dotarła - nie podeszłaś, jak mnie zobaczyłaś? Ja tu umieram.

- Może byłoby lepiej - mruknęłam - gdybyś pozbyła się szalika.

- Że co proszę? - Babcia miała niebieskie oczy. Była jedyną osobą w rodzinie z niebieskimi oczami.

Bo nie była OHviera. Ani Cabrero. Kim była tak naprawdę, dopiero zaczynałam się domyślać.

- Co ty tu robisz, babciu? - spytałam.

- Ach. - Westchnęła, wachlując się chwostami szala. - Przyjechałam po ciebie. Mama chce, żebyś była w domu. Stało się coś strasznego. Twój wujek Chris...

- Już to wiem - odparłam głucho. - Zabrali go na przesłuchanie.

- Ach - powtórzyła, zaskoczona. - No więc, skoro już wiesz, to dlaczego tak stoisz? Chodźmy. -

Chwyła mnie za łokieć, a kiedy się nie ruszyłam, pociągnęła. -Pierce - powiedziała zirytowana. - Co się z tobą dzieje? Nie mamy czasu na zabawy. Zaraz lunie, nie widzisz? Idzie burza. A nie chcę zmoknąć. Chodźmy.

- A co z Alexem? - spytałam.

- On już wyszedł - odparła babcia bez najmniejszego zająknienia.

- Naprawdę? - spytałam. - Wyszedł? Dzwoniłaś do niego?

- Tak. Dzwoniłam. Powiedział, że nie może cię znaleźć. No chodźże już, nie mam całego dnia.
- Nie - zaprotestowałam, kręcąc głową. - Nie z tobą.
- O czym ty mówisz? - Babcia była trochę niższa ode mnie, ale szersza, więc środek ciężkości miała niżej. Kiedy już ciągnęła, ciągnęła mocno.
- Ale ja też potrafiłam być uparta.
- Pierce! Co się z tobą dzieje? - spytała rozgniewana. Jej uścisk był tak silny, że miałam wrażenie, że odcięła mi krążenie. - Powtarzałam twojej matce sto razy, żeby nie dawała ci pić tej całej kofeiny...
- O, to by ci się podobało, co? - Dziedzinec. Łącznik. Jej chwościki. Wszystko zaczynało się czerwienić. Ale miałam to gdzieś. - Zrobiłabyś wszystko, żebym nie pamiętała. Ale wiesz co? Ja pamiętam o wiele więcej, niż myślisz. W dniu pogrzebu dziadka posłałaś mnie na cmentarz celowo. Zrobiłaś to, żebym poznała Johna.
- Babcia zamrugła, nic nie rozumiejąc.
- Co? - rzuciła. - Nie wiem, o czym...
- Dziadek nic nie wiedział o twoim małym planie, co? - ciągnęłam, ignorując ją. - Richard Smith opowiadał mi, że powiedziałaś dziadkowi, że nie wierzysz w bóstwa śmierci. Ale ty w nie wierzysz, prawda? Nie tylko w nie wierzysz, ale jeszcze lubisz je torturować, co? Bo to właśnie robią Furie. Teraz twarz babci miała kolor jej tenisówek. Poza łącznikiem wiatr przybrał na sile. Burzył jej krótkie, siwe loki. Ale ona nie puszczała mojego łokcia.
- Nie wiem, skąd bierzesz te bzdury - oświadczyła. - Ale jeśli rozmawiałaś z Richardem Smithem, to



mogę się domyślić, co ci naopowiadał. Ten człowiek to wariat opętany myślą, że śmierć jest naturalnym elementem życia, czy inną podobną bzdurą. Ale ty powinnaś wiedzieć lepiej niż wszyscy inni, co się naprawdę dzieje, kiedy umieramy. Więc wszystko, co on mówi, dziel na pół. A ja przyszedłam cię tylko odebrać i zawieźć do matki...

- Czyim samochodem? - spytałam. - Nie mamy, bo ona właśnie dzwoniła do Alexa z komisariatu.

Więc popełniłaś błąd, babciu. A wiesz, jaki jeszcze popełniłaś błąd? Zabiłaś mnie.

Wtedy zobaczyłam dziwny błysk w jej niebieskich oczach. Nie strachu. To było zbyt gadzie na strach. To przypominało raczej... Nienawiść.

- O, myślałaś, że nigdy na to nie wpadnę. - Wciąż próbowałam wyrwać rękę z jej uścisku. Ale ona trzymała, a wyraz jej twarzy się zmieniał. Teraz to ona wyglądała jak dzika istota, za jaką brałam kiedyś Johna.

Tylko że jego oczy, nawet w najgorszych chwilach, nigdy nie patrzyły na mnie z taką nienawiścią. Ani razu. Jego oczy nigdy nie wyłaziły z orbit, tak jak teraz jej oczy. Wręcz zaciskała zęby z wysiłku, żeby mnie utrzymać. Oczy Johna może wyglądały czasem na martwe, ale nigdy nie wątpiłam, że gdzieś tam w głębi jest życie. W przypadku babci nie byłam już taka pewna.

- Posłałaś mnie na ten cmentarz, kiedy miałam siedem lat, żeby spotkała Johna, zgadza się? Żeby potem, kiedy umrę, na pewno trafiła do Świata Podziemi : tutaj, na Isla Huesos, i żeby się go nie bała. Miałaś

nadzieję, że może mnie zauważy i uczyni mnie swoją wybranką, tak jak Hades Persefonę. Zgadza się? Zaczęło padać; grube, twarde krople grzechotały o blaszany dach łącznika.

Zignorowałam je. Cała moja uwaga była skupiona na kobiecie przede mną. Jeśli w ogóle była kobietą. Miałam wrażenie, że już od długiego czasu to nie była moja prawdziwa babcia.

- To dlatego tamtego dnia zapytałaś, czy go polubiłam, a kiedy ci powiedziałam, że nie wiem, odparłaś, że polubię. Przyznaj się. - Pokręciłam głową. Wreszcie wszystko poskładało mi się w całość. Ale ciągle nie bardzo mogłam w to uwierzyć. Bo było takie straszne. - To ty wydziergałaś dla mnie ten szalik, ten z czerwonymi chwostami. Przysłałaś mi go na Boże Narodzenie. Teraz wszystko pamiętam. Co zrobiłaś, żeby mieć pewność, że zapłacze mi się wokół nóg i się o niego potknę? Skąd wiedziałaś, że będę go miała na sobie przy basenie, że wpadnę i utonę? To ty krzywdziłaś te ptaki? Tego na plandece basenu w Westport i tego na ścieżce cementarza, tu, na Isla Huesos? Kim ty w ogóle jesteś? Kto chciałby zamordować własną wnuczkę?

Wtedy wreszcie mnie puściła. I stała przede mną, dysząc.

Ale nie dlatego, że była stara i słaba. O, daleko jej było do słabości.

Bo była Furią. I wreszcie pokazywała prawdziwą twarz.

I ta twarz była ohydniej sza i bardziej przerażająca niż cokolwiek, co potrafiłam sobie wyobrazić.

- To ty - powiedziała z płonącymi oczami. - To ty wszystko zepsułaś. Miałaś być martwa. Ale jesteś tak głupia, że nawet umrzeć nie potrafiłaś jak należy, co?

Zamrugałam, przerażona. Zajęło mi całą wieczność połączenie faktów. Teraz nie mogłam uwierzyć, że się nie myliłam.

- Próbowałam im powiedzieć - ciągnęła babcia, dysząc głośno. Jej język wystrzelił jak język jaszczurki i oblizwał jej suche, różowe wargi. - Próbowałam je przed tobą ostrzec. Kiedy urodziła się Deborah, taka piękna i bystra, i doskonała, wydawało się, że to przeznaczenie. Byłam pewna, że nasza rodzina wreszcie zdoła go zniszczyć. Byłam pewna, że zakocha się w niej, gdy tylko ją zobaczy. Ale się nie zakochał. Próbowałam wszystkiego. Spędziłam z nią na cmentarzu Bóg wie ile godzin, krążąc między kryptami i próbując zwrócić jego uwagę. Ale czy chociaż na nią spojrział? - Babcia parsknęła, jej spojrzenie wróciło do mnie. - Ale ty? - wysyczała. - Zostawiam cię samą na cmentarzu na pięć minut, i co się dzieje? Ledwie mogłam w to uwierzyć. - Jej twarz się wykrzywiła. Gdyby została w niej choć odrobina człowieczeństwa, może byłby to uśmiech. - Gdybym tylko wiedziała, że lubi brzydkie i głupie, nie zmarnowałabym tyle czasu, namawiając Deborę na te wszystkie zabiegi kosmetyczne i goniąc ją do nauki.

- Wiesz co, babciu - wtrąciłam twardym głosem - zaczynam się zastanawiać, czy nie powinniśmy przypadkiem kazać wykopać ciała dziadka i przeprowadzić autopsji. Bo zaczynam myśleć, że przyczyna jego śmierci nie była naturalna. Ty.

- Zabicie ciebie było proste - ciągnęła, jakbym się nie odezwała. - Problem w tym, że masz w sobie o wiele więcej z ojca, niż ktokolwiek z nas przewidywał. Powiedziałam im, że to się nigdy nie uda, a nawet jeśli, to będzie katastrofa. I miałam rację. Ty po prostu nie umiesz być martwa. A jeśli nie jesteś martwa i nie jesteś u boku Johna Haydena, on nigdy nie będzie szczęśliwy. A jeśli John Hayden nie jest szczęśliwy, nie możemy mu odebrać tego szczęścia. Więc zdaje się, że będę musiała sama się tym zająć, co?

Wtedy skoczyła przed siebie... prosto na pięść, którą nadstawiłam, dokładnie tak, jak nauczył mnie kierowca taty, na wypadek gdybym była w sytuacji wymagającej samoobrony.

Zatoczyła się i upadła do tyłu, wydając z siebie wrzask niepodobny do niczego, co słyszałam w życiu. Był tak piskliwy, że roztrzaskał czerwoną mgłę, która zasłaniała mi oczy.

Wtedy zjawił się John.

Po prostu pojawił się znikąd, w swoich czarnych dżinsach i koszulce, jakby materializowanie się na dziedzińcu Liceum Isla Huesos podczas ulewy i walki na pięści między jego dziewczyną a jej babcią Furią było jego rutynowym zajęciem.

- Chodźmy - powiedział do mnie spokojnym głosem, obejmując mnie w talii i unosząc z ziemi, żeby ponieść mnie ze sobą.

Żadnego „Dzień dobry”.

Żadnego „Cześć, Pierce. Niezły prawy sierpowy”.

Żadnego „Świetnie cię widzieć. Przykro mi, że twoja terapeutka zginęła wczoraj w nocy. Tak, widzę, że twoja babcia jest Furia, chociaż ci mówiłem, że nikt na ciebie nie poluje. Wygląda na to, że się myliłem”.

Po prostu „Chodźmy”.

- Jeszcze po ciebie wrócę - rzuciłam przez ramię do istoty, która była kiedyś moją babcią. Wydaje mi się, że wpadłam w histerię. John na wpół niósł mnie, na wpół włókł za narożnik budynku, w stronę wejścia do skrzydła B.

- Nie - oświadczył tym samym tonem, którego użył tamtego dnia w sklepie jubilerskim. Jakby dziękował stewardesie za napój. - Nie wrócisz po nią.

- Co ty mówisz? - Odgarnęłam włosy, które opadły mi na twarz, żeby widzieć, dokąd idziemy. - John, ty wiesz, czym ona jest? To Furia. Powiedziałaś, że nie ścigają mnie żadne Furie, ale wyobraź sobie, że jednak tak! I moja babcia jest jedną z nich. I mnie zabiła! Wydziergała szalik, o który się potknęłam i umarłam. John, ona próbuje cię skrzywdzić, od kiedy się urodziłam...

Ale on nie chciał postawić mnie na ziemi, chociaż się wiałam, aż dotarliśmy do części łącznika, którą uznał chyba za wystarczająco oddaloną od mojej wrzeszczącej babci. Chciał chronić mnie przed nią - albo ją przede mną. Ale nawet wtedy, kiedy zatrzymał się i postawił mnie z powrotem na ziemi, przycisnął moje ramiona do szafki, żebym nie mogła się wyrwać.

- Wiem - stwierdził tylko z ponurą miną. Spojrzałam na niego, zaszokowana.

- Wiesz? O mojej babci? Skąd?

- Nie o twojej babci. - Pokręcił głową. - Chociaż to wszystko się zgadza. Powinienem był się domyślić. Miałaś rację.

- Wiedziałam! - wypaliłam. - Mój naszyjnik robi się czarny, kiedy one są w pobliżu. - Uniosłam wisior, żeby mu pokazać. Diament wciąż był czarny jak smoła. - Robił się taki sam przy jubilerze i panu Muel-lerze. Nie obchodzi mnie, co mówisz, John. Myślę, że oni obaj też byli Furiami. Ten kamień ani razu się nie pomylił. Tylko nie wiedziałam, jak odczytywać jego sygnały. Szkoda, że nie było do niego instrukcji obsługi. Bo wiedza o znaczeniu jego kolorów byłaby naprawdę...

- Pierce - przerwał mi. Jego twarzy była mroczniej-sza niż kiedykolwiek. - Furie zabiły Jade. Moje oczy natychmiast napęłniły się łzami. Puściłam naszyjnik. Ciężki diament stuknął w mój mostek.

- Och, John, nie. Moja babcia... - Byłam zbyt przerażona, żeby dokończyć zdanie.

- Nie, nie ona. Ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to pewnie byli jej przyjaciele. Jade zabili trzech mężczyzn. Powiedziała, że ich nie rozpoznała. Mieli maski.

- Dlaczego Jade? - spytałam. - Jade nic nikomu nie zrobiła.

Dawała tylko dobre rady i częstowała lukrecją.

- Nie rozumiesz? - Jego szare oczy były udreżone. - Jade zginęła, bo wzięli ją za ciebie, Pierce. To ty zawsze pędzisz przez cmentarz na rowerze...

Spojrzałam z rozpaczą w jego oczy.

- John. Jeśli pan Mueller był Furia, to nie jest pierwszy raz, kiedy krzywdzą kogoś z mojego powodu. Bo... Hannah. Co z Hannah?

John patrzył na mnie bez słowa. Deszcz przybrał na sile. Teraz lało już na całego.

- Powinnam była pozwolić ci go zabić - powiedziałam słabym głosem.

- Nie - odparł, ściskając mocniej moje ramiona. -Dobrze zrobiłaś, że mnie powstrzymałaś. I z tym jubilerem też. Bo to nie ci ludzie zabijają, Pierce. Zabijają Furie, które ich opętały.

- Musimy je powstrzymać, zanim skrzywdzą jeszcze kogoś, John. Musimy je powstrzymać.

- Nie zrobimy niczego takiego - odparł. - Bo Furii nie da się powstrzymać. Możesz im połamać kości, możesz nawet zabić ciała, w których mieszkają. To nic nie da.

- Ale...

- Gdyby spuszczenie im lania cokolwiek dawało, to myślisz, że zostałyby chociaż jedna? - spytał ze złością. - Ciągle spoglądał za róg, jakby się spodziewał, że babcia pojawi się lada chwila. - Uwierz mi, stłukłem ich już tyle, że powinny być wymarłym gatunkiem. Ale one zawsze wracają. Po prostu znajdują nowe ciało do zamieszkania, kolejny słaby charakter do zatrucia.

- Więc co zrobimy? - spytałam, obejmując go za szyję, rozpaczliwie szukając pociechy.

Ukrył twarz w miejscu, gdzie moja szyja spotykała się z ramieniem i przylgnął do mnie tak mocno, jakby znów był miotany przez fale, porzucony pośród sztormu,

i znalazł jedyną podpórę, której mógł się trzymać. Ja szukałam pociechy u niego, ale to on znajdował pociechę we mnie. To przeraziło mnie niemal bardziej niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory.

- Nie wiem, dlaczego pomyślałem, że skoro postanowiłaś nie być ze mną - powiedział głosem stłumionym przez moje włosy - będziesz bezpieczna, skoro przez cały czas zagrażała ci twoja ro...

- Ciii. - Nie chciałam, żeby kończył to zdanie. Nie mogłam znieść tej myśli. Co on mógł takiego zrobić, że moja babcia tak go nienawidziła? - Będzie dobrze. Znajdziemy sposób...

- Nie. - Wyprostował się nagle. Ale wciąż mnie nie puszczał. Trzymał mnie za ramiona. - Nie będzie dobrze, Pierce. To są Furie. Są na ziemi. I ścigają ciebie.

- Ale naszyjnik. - Wskazałam kamień. Chciałam mu powiedzieć, że potrafię się chronić. I chroniłam się. Nie potrafiłam tylko ochronić nikogo innego. - Przy odrobinie wprawy, teraz, kiedy już rozumiem, co się dzieje, na pewno będę...

Pokręcił głową. Nie musiał mówić tego głośno. Wiedziałałam: byłam odpowiedzialna za śmierć Jade.

Może nawet za śmierć Hannah, choć dopiero zaczynałam rozumieć w jaki sposób.

- Pierce. Zastanawiałem się nad tym, od kiedy znalazłem Jade. I jest tylko jeden sposób, żeby móc cię obronić przed Furiami.

Spojrzałam na niego; ledwie śmiałam pozwolić sobie na nadzieję.

- Naprawdę? Jaki?



- Obawiam się, że ci się nie spodoba.

- Dlaczego? Co to za sposób?

Pocałował mnie delikatnie w czoło; jego usta pozostały tam przez chwilę.

- Zamknij oczy.

- Po co? - spytałam skołowana.

- Po prostu to zrób. Obiecuję, że nie będzie bolało.

Kiedy do mnie dotarło, co zamierza zrobić, rzuciłam się w bok. Gdy mnie złapał, zaczęłam wierzgać.

Szarpałam jego stalowe dłonie i błagałam go. Walczyłam, żeby uciec.

- John! - krzyczałam. - Nie. Nie rób tego. Nie w ten sposób. Babcia mi powiedziała, że one właśnie tego chcą. Proszę, błagam cię...

Ale było za późno. Był za silny. Nie mogłam się wyrwać.

I oczywiście w końcu mrugnęłam.

Raz.

Dwa.

Trzy.

*Starsze ode mnie twory nie istnieją,  
Chyba wieczyste - a jam niepożyta!  
Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...*

### **Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III**

Nic się nie zmieniło. Zwiewne, białe zasłony w eleganckich łukach okien, wzdymane łagodnym wietrzykiem. Gobeliny wiszące na gładkich, marmurowych ścianach. Ogień w kominku. Owoce w błyszczących, srebrnych misach na długim stole. Nawet niebo było takie samo. Wciąż różowe - nieustanny zmierzch.

I łóżko. Łóżko też oczywiście tam stało. Nadal miało białą pościel, baldachim, i nadal było dwuosobowe.

Wyrwałam się z jego ramion, kiedy tylko mnie puścił - sekundę po naszym przybyciu.

- Nie! - krzyknęłam cicho, otwierając oczy.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie mogłam uwierzyć, że znów jestem tutaj, w miejscu z moich koszmarów.

- Pierce - powiedział John ze spokojem, który doprowadzał mnie do szału. - Nie denerwuj się. Wiesz, że tak będzie najlepiej.

„Nie denerwuj się? Tak będzie najlepiej?” Byłam nawet w tej samej sukience.

No, może niedokładnie tej samej. Ale kiedy spojrzałam w dół po sobie, zobaczyłam, że mam na sobie coś bardzo podobnego do sukni, w którą mnie ubrał - wyłącznie myślami - ostatnim razem, gdy przeniósł mnie do tego pokoju. Była długa, biała i zwiewna. Kiedy obronnym ruchem uniosłam dłoń do głowy, poczułam we włosach coś kłującego.

- Kwiaty? - Wyciągnęłam je z włosów i z obrzydzeniem rzuciłam na ziemię. - Czyś ty zwariował? I przestań mnie przebierać! Sama się umiem ubrać.

- Myślałem, że ci się spodoba - powiedział urażonym tonem. - Wyglądasz bardzo ładnie.

Nie mogłam znaleźć na to odpowiedzi.

- Zabiję cię! - wybuchnęłam tylko. Zastanowił się nad tym.

- Na to już za późno - poinformował mnie. Przeszedł przez pokój do jednej ze swoich półek, zdjął z niej książkę, podszedł do sofy, usiadł, otworzył książkę i zaczął czytać.

Tak po prostu. Koniec rozmowy. Ciekawe, co będzie dziś na kolację.

O, jeśli myślał, że na tym koniec, to grubo się mylił.

Przebiegłam obok niego na trzęsących się nogach prosto do sklepionego korytarza, który ostatnim razem wyprowadził mnie na wolność.

Nie próbował mnie zatrzymać. Nie odezwał się słowem.

Powinłam była coś podejrzewać. Ale oczywiście nie podejrzewałam. Miałam nadzieję. Jeszcze.

Ciągle tam były... schody, dokładnie takie, jakie zapamiętałam. Obejrzałam się przez ramię, czekając, aż powie: „Stój. Czekaj. Porozmawiajmy o tym. Furie. Co zamierzasz z nimi zrobić, jeśli stąd wyjdiesz?”

Ale nie powiedział nic.

Unosząc tę moją idiotycznie długą suknię, popędziłam po schodach w dół, tak samo jak ostatnim razem.

Drzwi były zamknięte na klucz. Oczywiście.

Powinna była się domyślić, że to przewidział. Nie dał się podejść drugi raz.

Mimo to rzuciłam się na drzwi całym swoim ciężarem. Kopałam je i pchałam.

Kiedy stało się oczywiste, że nie ustąpią, poszłam drugimi schodami, tymi, które kręto prowadziły w górę. Drzwi na szczycie też były zamknięte.

Nawet wtedy się nie poddałam. Przeszukałam resztę korytarza jak pies tropiący narkotyki na odprawie celnej; obmacywałam ściany, szukając sekretnych przejść.

Nie znalazłam nic oprócz eleganckiej łazienki z wbudowaną w podłogę wanną, z ręcznikami dla pana i dla pani z widokiem na piękny ogród, gdzie rosły kwiaty, którymi przystroił moje włosy.

Wylazłam przez okno łazienki i pobiegłam przez ogród, a potem spróbowałam wdrapać się na mur.

Kiedy dotarłam na szczyt, zobaczyłam...

Jeziro. To samo jezioro, na którego brzegu półtora roku temu stałam i trzęsłam się z zimna z resztą zmarłych.

Nie było żadnych łodzi, oczywiście. Oprócz tych łodzi.

A te zabierały pasażerów tylko po drugiej stronie jeziora, nie po mojej.

Kiedy wróciłam - pokonana, w sukience podartej i brudnej po wspinaczce na ogrodowy mur - do pokoju z łóżkiem, John siedział dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, i czytał tę samą książkę.

- Mam nadzieję, że mnie nie zamierzasz kopać - oświadczył, nawet nie odrywając wzroku od tekstu - tak mocno jak kopałaś te drzwi.

- Skopię cię - obiecałam - jeśli następne słowa, jakie wypowiesz, będą brzmiały: „Pierce, musisz się wyluzować”. Od jak dawna to planowałaś?

- Wiesz, że to jedyny sposób. - Odwrócił kartkę. Nie umknął mi fakt, że zignorował moje pytanie. - Jeśli chcesz, możemy później zwiedzić stajnie. Na pewno Alastor przewyciężył już swoją niechęć do ciebie.

Usiadłam na sofie obok niego. Zaczynałam rozumieć, dlaczego za każdym razem, kiedy widywałam go przez ostatnie półtora roku, wyglądał tak dziko. Ja czułam się tak samo - jakby ściany wieży zacieśniały się wokół mnie.

- John. - Położyłam mu dłoń na ramieniu. - Czy ja umarłam?

Opuścił książkę i spojrzał mi w oczy. Miał nieodgadniony wyraz twarzy.

- Nie, Pierce - odparł. - Oczywiście, że nie umarłaś. Przyprowadziłem cię tu właśnie po to, żeby chronić cię przed Furiami, które próbują cię zabić. Myślałem, że rozumiesz.

Odebrało mi mowę.

- Więc na Isla Huesos ja po prostu... zniknęłam?
  - Tak myślę - powiedział, zastanowiwszy się nad tym przez chwilę. - Właściwie nie wiem. Nigdy wcześniej nie ratowałem swojej ukochanej przed Furiami. -Zrobił zaniepokojoną minę, kiedy zobaczył, że moje oczy napęlniają się łzami. - Nie płacz.
  - Jak mam nie płakać? - spytałam go. - Właśnie powiedziałeś, że mnie kochasz.
  - A twoim zdaniem dlaczego to wszystko się działo? - Odłożył książkę, żeby mnie objąć. - Furie nie próbowałyby cię zabić, gdybym cię nie kochał.
  - Nie wiedziałam. - Łzy płynęły mi po policzkach, ale nawet nie próbowałam ich powstrzymywać. Wsiąkały w jego koszulkę. - Nigdy mi nic nie powiedziałeś. Za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, zachowywałeś się tak... dziko.
  - A jak miałem się zachowywać? - spytał. - Ciagle robiłaś rzeczy w rodzaju oblewania mi twarzy herbatą.
- Spojrzałam na niego ze złością przez łzy.
- To nie jest zabawne. Wiesz, że jak nie będę przy samochodzie mojego kuzyna Alexa, moja przyjaciółka Kayla zadzwoni na policję? Zrobi to. I kto wie, jakich kłamstw naopowiada im babcia, kiedy zaczną ją pytać? Pewnie powie, że mnie zabiłeś i wrzuciłeś moje ciało do oceanu. Moja matka tego nie przeżyje. - Zaczęłam szlochać na jego piersi na samą myśl o mamie. - Ona nie ma pojęcia, kim jesteś.
  - Ciii. - Pogłaskał mnie po włosach szorstką dłonią. - To nie musi tak być. Richard wie, kim jestem. Mogę powiedzieć Richardowi. Mogę go poprosić, żeby

przekazał twojej mamie, jeśli chcesz, że on mnie zna i że uciekliśmy razem, żeby się pobrać. Mogę mu nawet dawać listy od ciebie, żeby jej przekazywał...

- John. - Uniosłam głowę, żeby na niego spojrzeć. -W jakim stuleciu ty żyjesz? Nikt dziś nie pisze listów, a już na pewno nie ucieka, żeby się pobrać w wieku osiemnastu lat. A jeśli dasz Richardowi Smithowi listy ode mnie, żeby je przekazywał mamie, to mój tato nie tylko każe go aresztować za współudział w porwaniu, ale pewnie każe go zabrać w jakieś tajemnicze miejsce i torturować. Czy ty w ogóle wiesz, kim jest mój ojciec?

Teraz John całował moje włosy.

- Nie obchodzi mnie, kim jest twój ojciec.

- A powinno cię obchodzić, John, bo mam dla ciebie nowinę. Nie jestem dziewczyną, która może się rozpuścić w powietrzu i której zniknięcia nikt nie zauważy. Jak sam kiedyś stwierdziłeś, są ludzie, którzy się o mnie troszczą. Może nie jest ich tak wielu, jak myślałam, biorąc pod uwagę, że moja babcia okazała się Furią, ale wystarczy. Po prostu w głowie mi się nie mieści, że mi to zrobiłeś.

Szczególnie jako ktoś, komu poświęcono całą rytualną noc, bo jego ciało nigdy nie miało przyzwoitego pogrzebu. Mam rację? Noc Trumien jest na twoją cześć, prawda? - Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył; po prostu całował mnie dalej. - Musisz przyznać, że to nie fair, że odmawiasz mi tego samego przywileju.

- Pierce. - Wreszcie uniósł głowę i spojrzał w moje mokre, miękko patrzące oczy. Jego spojrzenie nie było miękkie. Było pełne opiłków stali i tak zdeterminowane,

jak nigdy. Jego głos był jeszcze twardszy. - Wiem, co próbujesz zrobić. I odpowiedź brzmi nie. Możesz się na mnie złościć. W porządku. Już wcześniej się na mnie złościłaś i jakoś to przetrwałem. Zwykle jesteś na mnie zła, więc już się przyzwyczailem. Jestem gotów siedzieć tutaj i pozwalać ci się na mnie złościć przez całe miesiące. Nawet lata, jeśli będzie trzeba. Bylebym tylko wiedział, że jesteś poza ich zasięgiem, w miejscu, gdzie mogę cię chronić.

Jego ramiona objęły mnie ciaśniej. Były równie twarde, jak jego głos i spojrzenie.

- Ty nie wiesz, do czego one są zdolne. To, co zrobiły Jade... to było nic. Musiały się zorientować, że to nie ty. Gdybyś to była ty... nawet nie mogę ci powiedzieć, co by zrobiły. Bo to byłoby niewyobrażalne zło.

Przestałam płakać. Nie dlatego, że dotarło do mnie, że nic mi z tego nie przyjdzie - bo on się na mnie zawniósł -ale dlatego, że coś w jego głosie kazało mi zapomnieć na chwilę o własnym smutku i zauważyć cudzy smutek.

Jego.

- Kiedy zobaczyłem ją tam dzisiaj rano - ciągnął -przez sekundę czy dwie myślałem, że to ty. Gdybyś to była ty... to nie wiem, co bym zrobił.

Wydawało mi się, że dostrzegłam coś - przebłysk bólu - w jego oczach. Był przez moment, a potem zniknął, jak ryby, które czasem migają pod powierzchnią wody, kiedy przejeżdżałam rowerem po moście.

Cokolwiek przeżył John - jak cierpiał przez nie i przeze mnie - zostawiło bliznę. Tym razem we wnętrzu, gdzie nie mogłam jej dotknąć.



To kolejna wina, którą mogłam zapisać na swoje konto.

- Więc nie możesz znów próbować stąd wyjść - oświadczył twardym głosem. - Rozumiesz? Cokolwiek by się działo. Tym razem nie możesz wyjść. To nie będzie łatwe, ale tutaj przynajmniej mam szansę cię chronić. Tam nie mam żadnej.

Nie wiem, co mnie do tego skłoniło.

Ale uniosłam rękę i pogłaskałam go po twarzy. Powinnam być na niego wściekła.

I byłam.

Ale byłam też pewna, że choćby nie wiadomo jak szczelnie zapieczętował te drzwi, musiało być jakieś wyjście.

I wiedziałam, że je znajdę. Musiałam. Nie po to, żeby uciec od Johna, ale żeby wrócić do swojego świata i zawiadomić mamę, że nic mi nie jest. I udowodnić, że wujek Chris jest niewinny. I zadbać o to, żeby babcia i inne Furie zostały ukarane, a przynajmniej by nie skrzywdziły już więcej nikogo, również Johna.

Bo wbrew temu, co mówili John i Richard Smith, byłam pewna, że istnieje jakiś sposób, by powstrzymać Furie. Po prostu musiał istnieć.

A tymczasem chciałam, żeby wiedział, jak bardzo żałuję... Naprawdę żałuję, że przysporzyłam mu tyle bólu. I żałuję tego, jak go zraniłam ostatnim razem, kiedy byłam w tym pokoju. Już mówiłam, że mi przykro, wtedy, na cmentarzu.

Ale tym razem, kiedy wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać tę twarz, którą poparzyłam herbatą półtora

roku wcześniej, i szepnęłam do niego „przepraszam”, naprawdę mówiłam szczerze.

Chwycił moją dłoń i przycisnął do niej usta.

- Może tym razem dasz nam szansę? - spytał z tym swoim uśmiechem, który poruszał moje serce. -

Kto wie? Może nawet zaczniesz ci się tu podobać.

Uśmiechnęłam się do niego... a potem bezwiednie zerknęłam na majaczące za nim łóżko.

I z mdlącym uczuciem zdałam sobie sprawę, że on ma rację. Naprawdę istniała szansa, że mi się tu spodoba.

I może właśnie tego - nie jego - najbardziej się zawsze bałam.

Od Autorki

Co tak naprawdę dzieje się z nami, kiedy umieramy? Oto pytanie, na które próbowała odpowiedzieć każda kultura na świecie, od starożytnych Azteków po współczesnych chrześcijan i muzułmanów. Każda stworzyła własną mitologię dotyczącą zaświatów, przez które muszą przejść dusze nowych zmarłych. Ucząc się o tych zaświatach (jeszcze w szkole średniej), zainteresowałam się bóstwami śmierci, w szczególności mitem o Hadesie i Persefonie, i załączek historii, która miała stać się niniejszą powieścią, zaczął kiełkować.

Choć *Porzuceni* to fikcja, wiele aspektów tej historii jest zakorzenionych w faktach. Z ogólnej liczby ludzi, którzy przeżyli bliskie spotkanie ze śmiercią, dwadzieścia procent doświadczyło śmierci klinicznej, która może się wiązać z najróżniejszymi odczuciami. Często bliskie otarcie się o śmierć jest opisywane przez ludzi jako bardziej nieprzyjemne niż sama śmierć kliniczna. Oczywiście w przypadku głównej bohaterki tej powieści, Pierce Ołwiery, jest zupełnie inaczej.

Podczas rewolucji francuskiej Ludwik XVI i Maria Antonina zostali pozbawieni prawa własności do klejnotów koronnych, które stały się własnością narodu i natychmiast zostały skradzione z królewskiego skarbcza. Wiele klejnotów odzyskano, ale nie wszystkie.

Miejsce akcji powieści częściowo jest wzorowane na wyspie Key West, której oryginalna, hiszpańska nazwa brzmiała Cayo Hueso (*cayo* to po hiszpańsku „mała wyspa”, a *hueso* to „kość”; uważa się, że Key West to właśnie angielskie zniekształcenie nazwy Cayo Hueso).

Wyspie nadał tę nazwę Ponce de Leon, który, jak głosi plotka, szukając źródła młodości, odkrył ludzkie kości zaśmiecające plażę Key West, gdy on i jego załoga nanosili okolicę na mapy około 1515 roku. Kości najprawdopodobniej należały do pierwotnych mieszkańców wyspy, Indian Calusa. Zatruta strzała, wypuszczona z łuku przez tychże Indian, zabiła Ponce'a de Leona w 1521 roku. W roku 1846 huragan kategorii piątej, znany jako Wielki Huragan Hawański, zniszczył niemal wszystkie budowle na wyspie Key West (która do tego czasu rozrosła się w największe miasto Florydy, dzięki swej doskonałej lokalizacji dla handlu z Bahamami, Kubą i Nowym Orleanem), choć dokładna liczba ofiar wciąż jest dyskutowana.

Huragan zniszczył latarnię morską na Key West i szpital marynarki, a także zmył do morza większość trumien z cmentarza - to znane fakty. Właśnie z powodu tego huraganu cmentarz na Key West został przeniesiony w obec-

ne miejsce przy Passover Lane, a nadziemne krypty są obowiązkowe.

Mówi się, że również z jego powodu Tydzień Trumny - podczas którego seniorzy z Liceum Key West budują i ukrywają na wyspie trumnę, którą ma odszukać młodsza klasa - stał się corocznym (choć niezbyt pochwalanym) rytuałem.

Każdy rozdział powieści zaczyna się cytatem z *Boskiej komedii* Dantego Alighieri, a dokładnie z części *Piekło* (w której Dante opisuje swoją podróż do Świata Podziemi pod przewodnictwem rzymskiego poety Wergiliusza), ponieważ wiele postaci powieści zostało w pewien sposób opuszczonych czy porzuconych. Niektórzy być może nawet porzucili wszelką nadzieję.

Jeśli chcielibyście poczytać więcej o Podziemnym Świecie starożytnych Greków, polecam zbiory mitów greckich. Czy Świat Podziemi Johna Haydena i starożytny Hades są tym samym miejscem? Oto pytanie, na które znajdziecie odpowiedź w kolejnych tomach trylogii.

Bardzo się cieszę na tę serię i mam nadzieję, że Wy też. Nie mogę się doczekać, by podzielić się z Wami kolejnym tomem.

Meg Cabot